



Jeszcze przez chwilę patrzył na wysokiego
szczupłego mężczyznę w deszczowcu i bez
kapelusza, który garbiąc się ze zmęczenia,
powolnym krokiem ruszył w samotną drogę
w Alejom Jerozolimskim. – A jednak docent! – powie-
dział do siebie pan Wacek
uśmiechnął się z satysfakcją.



Karol
Wilt
przekładanka

Czytelnik
Warszawa
1983

Zamiast wstępu

Była połowa lipca. Ponieważ jednak pogoda już od dawna nie liczy się z kalendarzem, warszawskie niebo, nadziane ołowiem, pracowicie chłostało ziemię ostrymi strugami deszczu, raz po raz dorzucając do niego szczyptę śniegu.

Postój taksówek na Marszałkowskiej naprzeciw kina „Bajka” upchany był wozami, ostatni ledwie się zmieścił przy tabliczce „Koniec”. Kierowca, Waclaw Pawlak, wychylił się, zmierzył okiem długość kolejki i przeciągle gwizdnął. Jego zegar wskazywał kwadrans po piątej. O tej porze roku, miesiąca i dnia na innych postojach nie było inaczej.

„Może to i lepiej - pomyślał. - Przynajmniej człowiek się wyśpi”.

Usadowił się wygodniej i przymknął oczy sposobiąc się do dłuższej drzemki. Wtem wóz drgnął wskutek gwałtownego szarpnięcia! obok usiadł pasażer. Trzask zamykanych drzwiczek ostatecznie wyrwał kierowcę z półsnu.

- Dokąd? - rzucił niechętnie i złamał chorągiewkę.

- Wszystko mi jedno

Przy tak niecodziennej odpowiedzi Pawlak na dobre otworzył oczy. Jak prawie każdy warszawski taksówkarz w tym wieku (dobijał pięćdziesiątki) uważał się za psychologa i rzeczywiście nim był. Bezbłędnie zgadywał wiek, profesję, stan majątkowy, usposobienie i aktualny humor człowieka, który towarzyszył mu przez minut kilka czy kilkanaście, nawet jeżeli otworzył usta tylko po to, by wskazać, gdzie należy go zawieźć. Zawsze wolał jednak wdać się z nim w pogawędkę, ażeby uzupełnić pierwsze wrażenia szczegółami o politycznych poglądach, materialnych kłopotach i sytuacji rodzinnej gościa. Czynił to bezinteresownie, po prostu był ciekaw życia i świata.

Spojrzał uważniej na siedzącego obok mężczyznę. Był to szczupły szatyn o żółtawej cerze (wątrobiarz - zawyrokował Pawlak), o pociągłej twarzy z wczesnymi bruzdami na czole i wzdłuż ust (umysłowy), z pewnością już po trzydziestce (będzie

miał trzydzieści pięć). Pod rozchylonym granatowym płaszczem nieprzemakalnym (PKO, a może z komisu, włoski) widać było jasnoszare spodnie z tropiku i nieco ciemniejszy sweter z puchatej wełny. Był bez kapelusza, zmoczone deszczem włosy zlepily się uwydatniając głębokie zatoki nad czołem. Złożył na kolanach czarną, nierówno wypchaną teczkę i skrzyżował na niej chude ręce. Wzrok utkwil w szybie, jakby Zafascynowany deszczową zasłoną.

„Docent to będzie” - podsumował swoje obserwacje kierowca, przypomniawszy sobie sąsiada, asystenta Uniwersytetu Warszawskiego.

- No to jak, proszę pana? - zapytał. - Dokąd jedziemy?

- Powiedziałem przecież: wszystko mi jedno. Gdzie pan sobie życzy.

- A jeżeli nigdzie sobie nie życzę?

- To możemy tu stać.

„Wariat czy co?” - mignęło w głowie Pawlaka.

Z tyłu nadjechała następna taksówka, usłyszał: „Spływaj, to nie dom noclegowy!” - i włączył gaz.

- Musimy ruszać. Młociny będą dobre?

- Bardzo dobre.

Pojechali. Pasażer się nie odzywał.

„Gapi się w szybę, a nic nie widzi” - złościł się Pawlak. Ale kiedy zatrzymali się przed czerwonym światłem na placu Dzierżyńskiego, pasażer powiedział:

- Proszę nie skręcać na Leszno.

„Przytomny, cholera. Siedzi niby kruk i gęby nie otworzy. Jak on do studentów gada? Docent! A ściślej mówiąc, niekoniecznie docent. Może zwyczajnie oszust? Może przyłapali go i ucieka? Bzdura, nie ucieka: powiedział «możemy tu stać». Czort go wie, co za jeden. Stuknięty i już. Ma fantazję, żeby wyrzucić pieniądze. Dobra, będzie cię kosztowała ta głupia jazda!”

Nie kryjąc się przerzucił licznik na drugą taryfę. Pasażer spojrział na jego rękę - i nici

„Czy aby zapłaci? - spłoszył się nagle Pawlak i znów przyjrzał nieruchomej postaci. - Zapłaci. Nie awanturnik”.

Mimo to głupią jazda irytowała go coraz bardziej, milczenie zaczęło ciążyć jak dzisiejsze niebo z ołowiu. Pędził wymijając, Wszystkie Wozy. Wreszcie w oddali ukazał się laszek młociński. Ostro zahamował przed ogrodzeniem i rzucił oschle:

- Czterdzieści dwa złote, proszę pana.

Pasażer się nie poruszył.

- Już Młociny? No to jedźmy dalej.

Pawlaka ścisnęło w dołku, spojrzał nienawistnie na profil gościa i burknął:

- Nie mam czasu. O szóstej się zmieniam, muszę odstawić wóz do garażu.

- Gdzie pan ma garaż?

- Na Powązkach.

- Doskonale. Jedźmy na cmentarz.

- A może' do Pruszkowa, do Tworek? - wyrwało się kierowcy, zanim ugryzł się w język.

Pasażer się uśmiechnął i Pawlak musiał przyznać, że uśmiech ma ładny - wesoły i ciepły.

- To byłoby najlepiej - przytaknął z pogodną kpina. - Szkoda, że pan nie wpadł na ten pomysł od razu.

I znów jakby zniknął — zaszył się w milczeniu.

W parę minut później byli na miejscu. Pawlak stanowczym ruchem wyrzucił tabliczkę „wolny”, ostentacyjnie dając do zrozumienia, że nikt nie namówi go do dalszej przejażdżki.

- Pięćdziesiąt osiem złotych-oświadczył nie odwracając głowy.

Pasażer pogrzebał w portfelu i wyciągnął setkę.

- Nie będę miał reszty.

- Trudno. Odda mi pan innym razem - powiedział kładąc papieraek na siedzeniu. - Dziękuję i do widzenia.

Pawlak już bez pośpiechu ruszył do przecznicy, żeby zawrócić do miasta. Gdy mijał dziwnego gościa, straganiarka zawijała mu bukiet białych lilii.

„Na grób narzeczonej się wybrał, frajer! W taką pieską pogodę, Obym więcej na oczy nie oglądał tego lebiegi.”

Nie przeczuwał wtedy, że jego gorące życzenie nie zostanie spełnione.

Rozdział pierwszy

Początek narady

- Przybywam na rozkaz - powiedział doktor Gellert, wchodząc do mieszkania kapitana Wołodki.

- Cześć, Leszku. Jak zawsze punktualny, z biciem zegara.

Istotnie, zegar wybił pół do ósmej głosem melodyjnym, choć nieco schrypniętym.

Była to bardzo przytulna kawalerka na tyłach Nowego Światu. Na prawo od przedpokoju łazienka, na wprost wejścia mała, za to pięknie obudowana kuchnia bez okna, które zastępował oszklony otwór wychodzący na pokój, położony z lewej strony.

Pokój był rozległy i jasny, z balkonem na całą ścianę naprzeciw drzwi. Teraz był szczelnie zasłonięty ciemnoszarą kotarą, co tworzyło wdzięczne tło dla owalnego stolika i dwóch klubowców. Na widok ich połyskliwej skóry człowiek czuł przedsmak wygodnego odpoczynku.

Główną ozdobę pokoju stanowiła wolna przestrzeń. Sprzętów było niewiele. Na lewo od balkonu biurko i wysoki regał z książkami, a między tymi nowoczesnymi meblami - osiemnastowieczny zegar z czarnego dębu; przez, lustrzaną szybę widać ruchy miedzianego wahadła, wyżej - srebrzystą tarczę z rzymskimi cyframi i wizerunkiem słońca, a pod samym daszkiem - trzy misternie Wyrzeźbione żaglowce, które przy wybiciu godziny zaczynały się kołysać, jakby próbując odpłynąć.

Na przeciwległej ścianie stał drugi regał z książkami, półka obniżająca się w kształcie schodków, na której ustawiono telewizor, radio z adapterem i przenośny magnetofon; obok - szafka na płyty i taśmy.

W rogu przy czwartej ścianie, na prawo od drzwi, mieścił się szeroki tapczan przykryty popielatą wełnianą narzutą, przy nim taborecik z nocną lampką, a w drugim rogu czarny lakierowany stolik na kółkach.

Kilka lekkich krzesełek i wschodni wzorzysty puf uzupełniały

umeblowanie. Sprzęty drewniane były utrzymane w ciemnych kolorach, ładnie stonowane z białą ścian i z szarą kotarą. Prawie całą podłogę pokrywał zabytkowy dywan afgański w kolorze dobrego burgunda, o charakterystycznym granatowo-żółtym deseniu. Dobrze jest pracować i odpoczywać w takim pokoju.

Gospodarz pasuje do gustownego wnętrza. Z zawodu jest radcą prawnym w kilku instytucjach naukowych, z zamiłowania - kryminologiem. Uczestniczy w badaniach Zakładu Kryminologii PAN-u, publikuje wyniki swoich prac w czasopismach specjalistycznych. W milicji stołecznej dobrze go znają i zapraszają do współpracy przy sprawach szczególnie trudnych.

Do rangi kapitana, którą gdzieś kiedyś uzyskał ponoć w wojsku, ma sentyment, choć później zrezygnował z kariery wojskowej. W biurze tytułuje się go „panie radco”, natomiast przyjaciele wiedzą, że miłszy mu jest zwrot per „kapitan”.

Leszek Gellert jest cenionym lekarzem psychiatrą młodszej generacji. Znany jest nie tylko w Polsce: zapraszają go na kongresy psychiatrów w Niemczech, w Anglii, w ZSRR. Ma kilka prac o terapii umysłowo chorych, które zyskały rozgłos i za granicą.

- Głodny jesteś? - spytał gościa Wołodko. - Zrobię, kolację, jest już w połowie przyrządzona.

- Dziękuję, późno jadłem obiad. Może najpierw popracujemy?

- Jak wolisz.

- To poczekajmy z godzinkę. Cholernie zmarzłem, przyszedłem tu na piechotę. W mieszkaniach oczywiście nie palą, bo to lipiec. Może masz piecyk elektryczny?

- Zaraz włączę.

Piecyk od razu rozżarzył się do czerwoności, kapitan zapalił kinkiet nad półką z magnetofonem i piękną lampę na biurku, przerobioną z amfory greckiej. Zgasił górne światło, w pokoju zrobiło się jeszcze przytulniej. Przez czas jakiś siedzieli w fotelach paląc papierosa.

- Gdybyś się ożenił, żona nie miałaby tu nic do ulepszenia - powiedział doktor. - Właściwie to nie wygląda na kawalerkę w

sensie dosłownym, czyli miejsce schronienia samotnego mężczyzny, raczej na gniazdko urządzone kobiecą ręką.

- Myślisz? Może. Tylko że ja się nie ożenię.

- Szkoda. Marnuje się mieszkanie i dobry materiał na męża - jedno i drugie w naszych czasach towar deficytowy. Popatrz na siebie: chłop młody, przystojny, dobrze zarabiający, a nawet niegłupi.

- Dziękuję. Nie jestem przystojny ani młody: czterdziestka skończona.

- Wyglądasz młodziej ode mnie. W każdym razie jesteś przystojniak a la Gary Cooper, gdy był w sile wieku. Przekonsultuj sprawę z waszą sekretarką.

- Nie omieszkam, szefie.

- Kiedy rozprawa?

- Za tydzień, w sądzie na Lesznie. Przyjdziesz?

- Myślę, że jako rzeczoznawcy obaj powinniśmy tam być: ty - kryminolog włączony do prowadzenia śledztwa, i ja - psychiatra, pod którego obserwacją znajduje się jeden z podejrzanych.

- Oczywiście. Jakże się ucieszyłem, kiedy zwrócili się właśnie do ciebie! Bez skrupułów skorzystałem z okazji, żeby wyzyskać twoją wiedzę fachową dla szerszych celów naszych dochodzeń. Masz piekielną intuicję, a w sprawie poszlakowej jest to szczególnie ważne.

- Prawisz mi komplementy! Posiadasz doświadczenie, którego starczyłoby na dwóch takich jak ja.

- To nie komplementy. Bez ciebie nie rozwikłałbym tej diabelnej sprawy. Tylko taki tęgi znawca psychiki ludzkiej mógł zinterpretować pewne zagmatwane sytuację i charaktery, zwłaszcza mordercy. Sam niekiedy wahałem się, traciłem grunt pod nogami.

- A dzisiaj nie wahasz się?

Gospodarz zastanawiał się chwilę.

- Wiesz... mówiąc szczerze, jak na spowiedzi, nawet dziś nie mam stuprocentowej pewności. Dlatego właśnie prosiłem cię, żebyś przyszedł. Przesłuchajmy niektóre taśmy i znów wszystko przeanalizujmy na nowo, od początku. Bądź co bądź, chodzi o życie człowieka: dadzą mu czapę, to pewne. Po co mam później

się męczyć?

- Mało to zdarza się pomyłek sądowych?

- Nie chcę do tego przykładać ręki.

- Nie wiedziałem, kapitanie, że jesteś taki wrażliwy. To piękny rys duszy, jak mawia mój profesor. No, to skoro przyszedłem, zaczynamy.

Kapitan przysunął do klubowców stolik na kółkach i umieścił na nim magnetofon i taśmy w ponumerowanych pudełkach. Założył jedną z nich i włączył aparat.

„Przesłuchanie w sprawie zabójstwa Agnieszki Marczak dokonanego w dniu szóstego lutego roku 1966 - rozległ się urzędowo bezbarwny głos protokolanta. - Zeznaje Paweł Oszczyrko, dozorca”.

Trzask, chwila ciszy, znów trzask - i popłynął nieco zmieniony baryton Wołodki:

- „Proszę opowiedzieć dokładnie, coście zobaczyli w mieszkaniu obywatelki Marczak siódmego lutego roku bieżącego p godzinie dziesiątej rano”.

Odpowiedział mu głos chrypiąco-świszczący, jakby z przepicia:

„To był poniedziałek, proszę pana. W poniedziałek moja żona zawsze sprząta schody, bo w niedzielę pijaki pchają się na wszystkie klatki schodowe, niektóre włączają aż pod strych, to potem wszędzie brudy i potłuczone butelki, można nogi pokaleczyć. Otóż, siedzę ja w kuchni, piję herbatę na ból głowy, jak to w poniedziałek, a tu wpada żona i mówi, że w mieszkaniu numer czternaście na ostatnim piętrze okropnie czuć gaz i nikt na dzwonek się nie odzywa.

Biegnę tak, jak stoję, a mróz, wacham - faktycznie gaz. Dzwonię raz, drugi i jeszcze, bez pożytku. Co robić? Szarpnię klamkę, a drzwi się otwierają - nie zamknięte. To ja biegiem do kuchni, jedną ręką nos zatykam, bo wytrzymać nie można, drugą okno na oścież. Żona ze schodów krzyczy, że się uduszę. Faktycznie, gaz z kuchenki aż syczy, dwa kurki odkręcone.

- Kuchenka na ile fajerek? ,

- Na cztery. Przykręciłem te kurki, patrzę - czy ktoś jest w mieszkaniu? Faktycznie, młoda Marczakówna leży w swoim

pokoju na tapczanie.

- W jakiej pozycji?

- Na pozycję nie patrzałem, tylko widzę, że nieżywa. A stara, to znaczy pani Marczak, jeszcze w sobotę wyjechała do Łodzi, wiedziałem. Otworzyłem czym prędzej balkon, bo już mi się na mdłości zbierało. Z tego zrobił się okropny przeciąg, drzwi na schody się zatrzasły, a Marysia

- żona znaczy - w krzyk. Wyskoczyłem i do niej: dzwoń na milicję...

- Czy zauważyliście na stole kartkę papieru?

- Może i była, nawet faktycznie była, bo gdy milicja przyjechała, to pan porucznik odczytał, że niby ojciec drań. A jaki tam, za przeproszeniem, ojciec? Przecież pani Marczak to wdowa, z dziesięć lat już wdowa..."

Doktor nacisnął klawisz i zatrzymał taśmę.

- Myślę, że nie warto słuchać dalej zeznań dozorca. Lepiej przeczytać sprawozdanie porucznika.

Kapitan poszukał w aktach złożonych na biurku i wyciągnął kilka kartek maszynopisu. Przeglądali je razem.

Porucznik opisywał z drobiazgową dokładnością, że na tapczanie zaścielonym lnianą kapą znaleziono zwłoki młodej kobiety całkowicie ubranej; leżała na wznak, lekko podwinąwszy lewą nogą i wyciągnąwszy ręce wzdłuż ciała. Na biurku znajdowała się kartka, na której samobójczyni skreśliła parę słów, na przystawce u wezłowania tapczanu - fiołka z nalepką apteczna „Luminal XXX”, w której brakowało pięciu tabletek. Świeżych odcisków palców, prócz śladów denatki, nie wykryto.

- Cóż, raport jak raport - powiedział doktor odkładając maszynopis. - Powiedz: co właściwie naprowadziło cię na myśl, że to nie samobójstwo, lecz morderstwo? Jeżeli się nie mylę, w milicji byli skłonni potraktować wypadek jako zwykłe samobójstwo?

- Tak, ale akurat byłem u majora, kiedy przynieśli ten raport. Przede wszystkim wzbudziła moje podejrzenia pozycja zwłok. Dlaczego kobieta była ubrana i dlaczego tak sztywno wyciągnięta? Człowiek, który zażył proszki nasenne i otworzył gaz, układa się do snu jak najwygodniej, choć nie od razu

zasypia. Zanim przyjdzie zamroczenie, odczuwa niepokój, wierci się, wielokrotnie zmienia pozycję. Ostateczne uśpienie łapie go w pozie wyczerpania, jak po długiej walce. Zresztą, sam wiesz.

- Owszem.

- Obejrzałem miejsce wypadku. Kapa na tapczanie nie była pognieciona, wgłębienie pośrodku dokładnie odpowiadało pozycji zwłok.

- Tak, to nie było naturalne.

- Jeszcze bardziej podejrzana wydała mi się kartka samobójczyni. Masz tu oryginał.

Na seledynowym arkusiku listowego papieru widniała data na górze, z prawej strony: 6 II 1966, a trochę niżej dwie niecałe linijki czytelnie wypisanego tekstu:

Nie mam zamiaru urodzić dziecka, którego ojciec jest kabotnym i draniem

Tu zdanie się urywało - bez kropki i bez podpisu. Reszta papieru została nie zapisana.

- Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem.

- To wygląda raczej na list, który rozpoczęto i nie ukończono z jakichś powodów, niż na kartkę pożegnalną.

- Tak, niewątpliwie. Ile miała lat?

- Dwadzieścia dwa.

- „Nie mam zamiaru urodzić dziecka...” Niekoniecznie musiała się zabijać, wystarczyłoby zrobić skrobankę.

- Na to już było za późno. Sekcja wykazała, że była w czwartym miesiącu ciąży.

- To co innego. No i jakie wnioski wyciągnąłeś wtedy ze swoich odkryć?

- Kilka, i to dosyć ważnych. Mianowicie:

Morderca nie jest rutynowany w tym fachu, to raczej dyletant, nowicjusz. Słyszał o zatarciu śladów, bo to powszechnie znane abecadło zbrodni, ale wziął to zbyt dosłownie. Starannie otarł ze swoich śladów wszystko, czego dotyczył. W ten sposób się zdradził, bo wraz ze swoimi starł odciski palców denatki nawet z przedmiotów, które niezawodnie musiałyby mieć w ręku, gdyby istotnie popełniła samobójstwo - choćby ta

fiolka z luminalem czy odkręcone kurki.

W rezultacie sam niejako wskazał, czego dotykał. Idąc za tą wskazówką, nietrudno było wyodrębnić takie przedmioty, jak dwa pozbawione wszelkich śladów kieliszki i napoczęta butelka czerwonego wina Egri Bikaver. Stąd jasne, że środek nasenny był podany właśnie w tym winie; ma ono mocną goryczkę, która powinna była zagłuszyć smak luminalu. Logiczne?

- Tak. Dotychczas szedłeś bezbłędną drogą.

- Dalej. Musiał to być ktoś z jej bliższych znajomych, nie po raz pierwszy odwiedzający mieszkanie.

- Dlaczego? Równie dobrze mogła to być pierwsza wizyta.

- Mało prawdopodobne. Według ekspertyzy zaśniećie po luminalu nastąpiło gdzieś koło północy. Drzwi na dole w tej kamienicy zamyka się w niedzielę o dwunastej. Miał więc bardzo mało czasu, musiał działać szybko i sprawnie. Nowy człowiek nie zorientowałby się tak dobrze w rozkładzie mieszkania i w domowych zwyczajach - gdzie co się kładzie. A ten był obeznany ze wszystkim, odstawił wymyte kieliszki i butelkę, gdzie trzeba: szkło na półkę w kredensie, a wino do szafki pod oknem.

- No wiesz, to niewielka filozofia. Rozkład mieszkania jest standartowy, jak to w domach powojennych, a wystarczyło otworzyć kredens i szafkę, żeby zorientować się, gdzie co odstawić. Nie, Jurku, tu masz słaby punkt uzasadnienia.

- Dobrze, zgadzam się, zresztą to nieistotne. Ważniejsze, że to nie był człowiek z ulicy, złodziej czy chuligan, który wdarł się podstępem czy przemocą.

- O tym przecież w ogóle nie ma mowy. Z takim nie zasiadłaby przy butelce wina, a proszków nasennych nie wpycha się komuś do ust - zauważył doktor.

- Jasne. Tym bardziej że z mieszkania nie zginęło nic prócz całej korespondencji nieboszczki. I to wskazuje, że mordercy zależało na zniszczeniu swoich listów do niej. Widocznie mogły go skompromitować, - ujawnić motyw zbrodni. Nie miał czasu, żeby otworzyć zamknięte na klucz pudełko, więc zabrał je ze sobą. To jednak, uważam, świadczy o bliższych stosunkach z denatką. Utrzymywał z nią korespondencję.

- Niekoniecznie. Jeżeli, powiedzmy, uprawiał szantaż, co nie

jest wykluczone, albo domagał się randki, to wystarczyłby jeden list. Nie dziw się, Jurku, że drobiazgowo czepiam się twojej argumentacji. O ile dobrze cię zrozumiałem, urządziłeś dzisiejszą naradę właśnie po to, żebym poddawał w wątpliwość każdy słabszy punkt twojej koncepcji zbrodni. Prawda?

- Oczywiście - potwierdził gospodarz.

- Więc sformułujmy inaczej dotychczasowe wnioski: wyklucza się zabójstwo w celach rabunkowych czy chuligańskich. .. śladów gwałtu przecież nie było?

- Nie..

- Natomiast przyjmujemy jako pewne, że sprawca należał do znajomych zabitej, nie określając dokładniej, jaki stopień zażyłości go z nią łączył. To są rzeczy ustalone. Kropka. Jaki, twoim zdaniem, był motyw zbrodni?

- O podłożu uczuciowym, mówiąc jak najogólniej. Ale o motywach później. Najpierw postarajmy się zrekonstruować fakty.

- Słusznie.

- Kolejność wypadków dałoby się odtworzyć mniej więcej w ten sposób. Ofiarę uśpiono, potem przeniesiono na tapczan i wtedy morderca zajął się upozorowaniem samobójstwa. Postawił fiolkę z proszkami u jej wezgłowia, położył na biurku rozpoczęty list w charakterze kartki pożegnalnej, zatarł wszystkie swoje ślady z dotykanych przedmiotów, odkręcił gaz i oddalił się, nie zamykając drzwi na klucz.

- Jak sądzisz: po co zostawił otwarte drzwi?

- Nie mógł postąpić inaczej. Zamek w tym mieszkaniu nie zatrzaskuje się automatycznie; nie miał klucza, a gdyby skorzystał z klucza denatki i zamknął drzwi z zewnętrznej strony, niemożliwością byłoby podrzucenie go z powrotem. Gdyby zaś w zamkniętym mieszkaniu nie znaleziono klucza, byłby to dowód niezbity, że zamknął je ktoś inny niż domniemana samobójczyni.

- Masz rację. Przyznaj, że tu akurat dyletant okazał przezorność fachowca.

- W drodze wyjątku. Tak więc był to ktoś z kręgu jej znajomych; upieram się, że z tych bliższych, ponieważ wiedział o

jej liście dotyczącym intymnych spraw. Na tej kartce w znacznej mierze oparł sugestię samobójstwa. Widocznie pokazała mu ten rozpoczęty list - przypuszczalnie do niego właśnie był skierowany. Może on także pisał do niej w tej sprawie i dlatego wykradł korespondencję? To wszystko nasuwa podejrzenie, że był to sprawca jej ciąży.

- Podejrzenie, trzeba powiedzieć, jeszcze nie dość ugruntowane..

~ Toteż nie od razu wpadłem na ten pomysł. Zacząłem od ustalenia jej znajomości, dalszych i bliższych. Milicja wzywała wielu świadków. Jako studentka szkoły teatralnej, Agnieszka Marczak obracała się przeważnie wśród aktorów, reżyserów, pracowników filmu i telewizji. Posłuchajmy, co mówili świadkowie.

Wołodko odnalazł taśmę, założył ją i nacisnął klawisz.

Zeznawała koleżanka Agnieszki, Magdalena Rybacka. W głosie jej wyczuwało się zdenerwowanie, mówiła urywanymi zdaniami.

Kiedy pani poznała Agnieszkę Marczak?

- Na początku studiów, cztery lata temu.

~ Proszę o niej opowiedzieć.

- Co opowiedzieć?

- Czy panie się przyjaźniły?

- Tak. Ja mieszkam w Dziekance, a Agnieszka ma... miała dobre mieszkanie. Jej matka mnie lubiła i często zapraszała na obiad, na kolację. Jak was tam karmią, w tych waszych stołówkach? - mówiła zawsze. - Strach na ciebie popatrzeć, istna szkapa. A kiedy wyjeżdżała do krewnych, do Łodzi, nocowałam u Agnieszki. Razem przygotowywałyśmy się do egzaminów i w ogóle. I na święta zawsze razem, i na zabawę...

- Jakie były stosunki między Agnieszką i matką?"

Chwila ciszy.

Nie wiem, jak by to powiedzieć. Bardzo lubię panią

Marczak, ona jest taka dobra, życzliwa dla ludzi, uczynna. Gotowa z każdym się podzielić. Agnieszka uważała, że aż zanadto. Pan znał Agnieszkę? Nie? Ona też bardzo dobra, ale inaczej. Pani Marczak nikomu nie odmówi, niech to nawet

będzie łobuz i drań. Panią Marczak ludzie często wykorzystują i nabierają. Tak nie można, mówiła Agnieszka i złościła się, a matka: już nie wychowasz mnie po swojemu, córeńko, Za stara jestem.

- Czy na tym tyle były kłótnie?

- Nie, nie kłótnie. Po prostu nie mogły się porozumieć. Różnica pokoleń, wie pan.

- A czy były też inne powody do nieporozumień?"

Znów cisza, dłuższa.

Proszę pana, czy ja muszę wszystko mówić? Są sprawy rodzinne...

- Ważnie sprawy rodzinne są ważne, bo mogą naprowadzić na ślad mordercy. Zależy nam, żeby możliwie dokładniej poznać środowisko pani przyjaciółki, jej stosunki z różnymi ludźmi. Niechże pani nam pomoże. Zapewniamy dyskrecję.

- Dobrze... będę mówiła. Pani Marczak jest starsza, niż jej lata. Żyje właściwie w wieku dziewiętnastym. Nie fizycznie, oczywiście, bo trzyma się dobrze i dużo robi w domu. Ale psychicznie... przeżytek, relik, mówię panu! Jak ona się tak uchowała?

- W czym to się wyraża?

- No, te jej poglądy! Myśli, że my, dzisiejsze dziewczęta, to jej koleżanki z pensji. Nie zauważyła, jak zmienił się świat. Pensjonarki myślały tylko o wianuszkach - dobra nazwa, co? W jej pojęciu i my musimy zaśmiecać sobie głowy takimi bzdurami.

- Co pani ma na myśli?

- Sam pan chyba rozumie. Że niby my też musimy strzec cnoty, bo nie daj Boże, nie będziemy mogły wyjść za mąż. Śmieszne! Kto dziś na to zwraca uwagę? Tylko brzydka dziewczyna chodzi ze swoim wianuszkiem, bo nie może go się pozbyć. I taka to naprawdę się wstydzi.

- Pani wypowiada oryginalne opinie.

- Oryginalne! Czy pan oczu nie ma? Albo chce mnie bajerować? Dziś nie ma głupich, same wiemy coś niecoś. I z jakiej racji, proszę mi wytłumaczyć, mamy odmawiać sobie życia? Lubimy się bawić nie gorzej od chłopców. Kiedyś to się nazywało emancypacja. Nam nawet takiego ładnego słowa nie

trzeba. Obejdzie się.

- Bo uprawiacie emancypację super, zostawiając nas w tyle.

- Żeby pan wiedział. A pani Marczak nie może tego zrozumieć. Wiek dwudziesty to dla niej za mocna rzecz. Agnieszka męczyła się z nią, a nic nie mogła jej wytłumaczyć.

- Czy pani chce powiedzieć, że Agnieszka traktowała te sprawy swobodnie?

- O tak, bardzo! - w głosie dziewczyny zabrzmiał zachwyt. - Była całkiem, ale to całkiem wyzwolona z przesądów. Jak rzadko która z nas.

- Czy miała romanse?

- Oczywiście! Dużo. W Dziekance nazywano ją «seks bomba numer jeden». Chłopcy szaleli za nią. Starsi panowie też. Mogła sobie wybierać, kogo chciała.

- A kogo wybrała?

- Wielu.

- Mogłaby pani wymienić nazwiska?

- Nie wszystkich. Musiałabym sobie przypomnieć dokładniej.

- Czy przyjmowała ich w domu?

- Niektórych tak. W ogóle lubiła przyjmować gości, ma przecież osobny pokój.

- To znaczy, matka wiedziała o jej trybie życia?

- Wiedziała, Agnieszka wcale z cym się nie kryła. Mówię panu, fajna była. Nie uznawała obłudy. Matka gderала: zastanów się, co powiedzą sąsiedzi? Córka profesora daje powód do plotek! Na to Agnieszka: niech się wypchają, nie ich interes. To moja prywatna sprawa. No, oczywiście, pani Marczak robiła z tego problem...

- To jest problem! - Głos Wołodki zabrzmiał niespodziewanie ostro. - To jest problem, proszę pani...

(Zboczył z tematu - pomyślał doktor. - Bardzo nie w porę.)

- Problem? Jak dla kogo. Dla nas, młodych, nie ma tu żadnego problemu. Czy pan też dziewiętnastowieczny? Winszuję przesądów.

- Nie chodzi o przesady. Kiedy dziewczyna nastawia się na ciągłe romansowanie, z byle kim, dziś z jednym, jutro z drugim, bo chce używać życia... w końcu przestaje być kobietą, staje się

ścierką.

- Co pan się tak przejmuje? Pewnie ma pan taką żonę, a może córkę? Przepraszam..."

(Pyskata! - uśmiechnął się do siebie Gellert.)

Kapitan nerwowym ruchem nacisnął wyłącznik:

- Tego chyba wystarczy. Posłuchajmy innego świadka.

- Jakie wymieniła nazwiska?

- Pokażę ci cały spis. Imponujący. Nawet dla nowoczesnej dziewczyny.

- Zdaje się, że ją potępiasz?

- Nie potępiam ani pochwalam. Podziwiam. Miała widocznie nieograniczone możliwości i apetyty.

- Sądząc ze wszystkich fotografii, była ładną.

- Tak. Bardzo. I piekielnie zgrabna. Nazwa „kociak” pasowała do niej: miała ruchy drapieżnej kocicy. Nie, raczej dzikiego kota. W każdym razie coś kociego.

- Skąd wiesz? Poznałeś ją już w postaci zwłok, a nie był to chyba widok pociągający.

- Zapominasz, że mam wyobraźnię. Od pięciu miesięcy opisują mi ją wszyscy świadkowie, mogę odtworzyć jej obraz w najdrobniejszych szczegółach. W końcu tak zżyłem się z tą postacią, że chwilami nie wierzę, żeby umarła. Dziwne, prawda?

- Miałeś już kiedyś takie objawy?

- Nie pamiętam. Raczej nie. Wiesz, czasem łapię się na tym, że w myśli rozmawiam z nią, usiłuję o czymś przekonać, ostrzec... Czy to mi przejdzie?

- Na pewno. Włożyłeś w tę sprawę za dużo nerwów, to się mści. Masz tak zwane krótkotrwałe natręctwo myślowe. Od razu po procesie powinieneś wypocząć.

- W Tworkach?

- Do Tworek cię nie przyjmą. Nie kwalifikujesz się na naszego pacjenta.

- No, dobra. Dość żartów. Co teraz nastawimy?

- Sprezyzujemy metodę selekcji. Na to, żeby przesłuchać wszystkie taśmy, nie starczyłoby i tygodnia. Zresztą to nam nie jest potrzebne. Dziś musimy skończyć, bo jutro wyjeżdżam służbowo na parę dni.

- Więc wybierzmy najważniejsze zeznania. Które?
- Może tej sprzątaczkę, co przychodzi do pani Marczak?
- Franciszki Kozłowskiej?
- Tak. Poszukaj tego miejsca, gdzie mówi o chłopcu z punktu usługowego, tego od naprawy radioodbiorników.

Gospodarz zakrzętnął się przy magnetofonie.

„...pani Marczak lubi porządek, u niej wszystko musi być... (trzask) ...a ja zawsze mówiłam, że jak pościelisz, tak się wyśpisz... (trzask) ...to już nie te czasy, proszę pana... (trzask) ...taki duży aparat, ciężki, nie mogłam go udźwignąć. Agnieszka, mówi pani starsza, zanieś to radio do naprawy, bez niego jak bez rąk. Ty sobie wieczorem gdzieś pójdziesz, a ja choć muzyki posłucham. No, panienska zzięła i zaniosa. Niedaleko, na Marszałkowską przy placu Unii.

- Kiedy to było?

- Bodaj w styczniu, przed świętem Trzech Króli. Chyba w środę, bo akurat byłam. Chodziłam do nich w środy i soboty. Więc panienska zaniosa i potem mówi: drogo wezmą, trzysta złotych, bo aparat zniszczony, muszą części zmieniać. A pani starsza: zawsze to taniej, niż kupić nowy.

No dobrze. Za tydzień, znów w środę, przychodzi chłopak z aparatem, ten Kazik. Panienska się zdziwiła: nie czekał pan, aż sama się zjawię?

- O której godzinie przyszedł?

- Już nie pamiętam, ale pewnie pod wieczór, bo ja pracuję tam po południu. Kazik mówi: reperację skończyliśmy już trzy dni temu, jak pan kierownik obiecał. Myślałem, że pani zachorowała czy co... No i za ciężko byłoby pani to nosić. Panienska się śmieje: cóż pan myśli, zdechłak jestem? Nie takie ciężary nosiłam. Potrafiłam zanieść, to i z powrotem mogłabym zabrać.

Pani starszy zaprosiła chłopca do kuchni, poczęstowała herbatą, rozpytała się o rodzinę, o pracę, ile zarabia, czy mu starczy. Profesorowa lub rozmawiać z ludźmi. Kazik opowiada, że jest sierotą, że wujek go chował, że już od roku pracuje w tym punkcie. A sam wciąż zerka do przedpokoju: tam panienska się kręci, ubiera się do wyjścia. Szła na wykłady, miała dużą teczkę z książkami. Nie dopił herbaty, podziękował grzecznie i

do panienki: pozwoli pani, że pomogę? Już muszę wracać do warsztatu. I poszli razem.

- Czy przychodził jeszcze?

- A jakże! Wiele razy. Bo to, proszę pana, był tylko początek. A wtedy, ledwie skończyliśmy sprzątanie, pani starsza usiadła przy radiu ze swetrem, co go robi na drutach. Włączyła, były piosenki. I nawet ładnie śpiewali, nie można powiedzieć. Ale zaraz potem zaczęło chrypieć, trzeszczeć, głosy coraz słabsze, aż urwało się wszystko na amen. Pani kręci jedną gałką, drugą - nic nie pomaga. Cisza i cisza, nawet nie trzeszczy.

- A to dziwne ! - mówi pani. - Dopiero przecież z naprawy!

I gwarancję dali na trzy miesiące.

Dzwoni do kierownika tego punktu - na gwarancji telefon zapisany- i zaczyna mu wyjaśniać: tak i tak, proszę szanownego pana, niech pan z łaski swojej pofatyguje się do nas, zobaczy na miejscu, co za przyczyna. A kierownik się obraża: nijak nie można, proszę panią, bo ja jestem człowiek zajęty, pracujemy od jedenastej do siódmej, dziś już się nie zdąży, bo kto będzie za godziny nadliczbowe płacił? Może pani? A czy to pani profesorowej kalkuluje się, proszę pana, za naprawę trzysta złotych płacić i za te godziny też? No i musiała zgodzić się, że jutro znów chłopaka przyślą po ten aparat, żeby go do warsztatu zabrać.

- No dobrze. Nazajutrz po jedenastej Kazik znów jest. Panienska wsiadła na niego: jak wy pracujecie? Naprawiacie szybko, ale do luftu. Zrobi się, tłumaczy chłopak, kierownik bardzo panie przeprosza, widać lampa napaliła.

Czekamy z tydzień, a może i więcej. Panienska parę razy wpadała do nich, upominała się, a oni - że remont gruntowny, muszą wszystko sprawdzić, żeby już zrobić na fest. U nich to tak się nazywa, na fest, kiedy dobry aparat zepsują.

Nie było mnie, kiedy Kazik to pudło przyniósł. Pani starsza mówiła, że panienska wyszła w szlafroku, nie uczesana, i od progu woła: cześć bohaterom pracy! Czy na długo pan nam tego grata pożyczysz? Pani starsza szybko chłopaka do kuchni zabrała, śniadaniem częstuje: bo co on, biedny, temu winien, że kierownik kręci? Przecież chłopak, widać to, stara się, robi, co

może.

Pani Agnieszka do nich w kuchni się przysiadła i naśmiewa się, że to nie punkt usług, tylko punkt udręk. Żeby Kazikowi nie było przykro, profesorowa nalala mu kieliszek wódki, i panienka też wypila. Na zgodę! - powiedziała. Ale niech pan sam powie: czy mogła być zgoda, kiedy radio znów się popsuło? No, jak pan myśli: ile dni grało?

- Nie wiem, proszę pani.

- Dobrze pan powiedział, bo i nikt by nie zgadł. Niecały dzień grało, wieczorem już huknęło - i koniec. Panienka wróciła do domu bardzo późno, a jak z rana obudziła się, pani starsza mówi: zadzwoń, córeńko, do kierownika, bo nasze radio znów się popsuło. Nie ma co dzwonić, mówi panienka, sama tam pójdę. I poszła. Co im powiedziała, nie wiem, bo nie słyszałam, tylko Kazik znów musiał aparat dźwigać do warsztatu.

Co będę panu długo opowiadać? Jeszcze ze trzy razy chłopak tam i nazad to pudło na ramieniu ciągnął, chyba odciski do dziś dnia ma. Pani Agnieszka nawet złościć się nie chciała, kiedy radio się psuło, tylko śmiała się, dawno tego nie było, znów zaprosimy naszego bohatera pracy, bo mama lubi z nim przy kieliszku rozmawiać!

A jeden raz, proszę pana, to nawet sam kierownik pofatygował się. Powyjmował Wszystko z tego pudła, głową pokręcił i powiada: zaczarowany aparat, nie inaczej! Męczymy się, reperujemy, a on nie chce grać!

Ja tam nie wiem, czy zaczarowany, a że grać nie chciał, to święta prawda. Trzysta złotych zapłacone, gwarancja jest, a pani starsza bez muzyki w domu siedzi. Heca, mówię panu! Czy to dawniej tak naprawiali?

- Proszę powiedzieć: czy ktoś inny, oprócz Dudka, przychodził z warsztatu po ten aparat?

- Nie, zawsze Kazik. On już się przyzwyczaił i myśmy też. Panienka mówiła: będzie pan do nas chodził z tym pudłem, aż panu się znudzi. A on: mnie, proszę pani, nigdy się nie znudzi. Grzeczny chłopak, nie można powiedzieć.

No dobrze. Ostatni raz naprawili radio, grało niczego sobie. Z pięć dni, a może z tydzień. A potem, niech pan tylko pomyśli,

akurat w sobotę, trzasło i - koniec. Rób co chcesz.

- Kiedy to było?

- Przed samym nieszczęściem.

- To znaczy, piątego lutego?

- No chyba. Pani Marczak wybierała się do Łodzi, pakowała walizkę. Panienska też była w domu. Dosyć tego dobrego! - krzyknęła. - Już ja im powiem do słuchu, będą pamiętali! I zadzwoniła.

Co ona im nagadała! Pani starsza aż uszy zatkała. Że to skandal, łajdactwo, że to nie są ludzie, że pada do prasy - i różne takie słowa. Nic jej nie obchodzi, powiada, że jutro niedziela, radio musi być natychmiast zreperowane i już. Okropnie się gniewała.

No dobrze. Po chwili wpada Kazik, cały blady. Nie dała mu dojść do głosu: zabieraj pan to nieszczęsne pudło i dziś żeby było z powrotem. Chłopak się trzęsie: dobrze, proszę pani, jak nie dziś, to jutro, będę w niedzielę siedział w warsztacie, przyniosę, jak tylko skończę. Bardzo panienkę szanował”.

Kapitan zatrzymał taśmę.

- Jak wiesz, Kazimierz Dudek w dniu morderstwa poczynając od szóstej kilka razy przychodził z radioodbiornikiem i nikogo nie zastał. Ostatni raz dozorca widział go o wpół do jedenastej: siedział na schodach prowadzących na strych i czekał. Nikt nie zauważył, kiedy wyszedł.

- A radio znalazło się w mieszkaniu?

- Tak, na swoim zwykłym miejscu. Z tego wynika, że Dudek doczekał się Agnieszki i razem z nią wszedł do mieszkania. Jest to jedyna osoba, o której z pewnością możemy powiedzieć, że widziała ofiarę niedługo przed jej zabiciem, i to w samym miejscu zbrodni.

- Uważasz, że to go poważnie obciąża?— spytał doktor.,

- Według formalnych oznak niewątpliwie.

- Formalne oznaki bywają zawodne.

- Ja też tak uważam, przynajmniej w danym wypadku.

Tu należałoby w pierwszym rzędzie uwzględnić sytuację psychologiczną. Brak, moim zdaniem, jakiegoś ważkiego powodu do mordu. Chyba, że Dudek jest zbrojcem. Badałeś

go; jaki on jest pod tym względem?

- Zupełnie normalny. Ma raczej zahamowania, kompleks niższości, ale też w granicach normy, zważywszy jego wiek, spóźniony rozwój fizyczny i okoliczności życiowe. Z usposobienia w ogóle jest nieśmiały, łatwo daje się zapeszyć.

- X ja odniosłem takie wrażenie. Powtarzam, trudno tu znaleźć jakiś wiarygodny motyw zabójstwa. Jeżeli nawet między nim a denatką nawiązało się coś w rodzaju znajomości, to nic bliższego o charakterze tej znajomości nie wiemy. Jasne, że Agnieszka oszołomiła go swoją urodą, dlatego szukał pretekstów, żeby ją zobaczyć.

- I po to - podchwycił Gellert - przynosił sam ten aparat i podjął się jego naprawy w niedzielę.

- Natomiast prawie pewne, że Dudek był jej zupełnie obojętny. Może początkowo zaciekała ją rozmowa z chłopakiem należącym do tak odległej sfery społecznej, ciekawość ta jednak musiała szybko się wyczerpać.

- Co Dudek zeznał w śledztwie?

- Że Agnieszka wróciła do domu za kwadrans jedenasta, bardzo zmęczona. Weszli, on postawił radio na stoliku, chciał sprawdzić w jej obecności, ale ona nie pozwoliła: „Już późno, chcę trochę odpocząć, bo jeszcze ktoś do mnie przyjdzie”. Ponoć od razu wyszedł.

- Dokąd?

- Jak twierdzi, do punktu usługowego, gdzie nikogo nie było. Sprzątnął swój warsztat, zjadł przyniesione z domu kanapki, napił się herbaty, zamknął pomieszczenie i pojechał do domu. Mieszka na Jelonkach. Wujek zeznał, że kiedy chłopak wrócił, było już koło pierwszej.

- Więc Dudek nie ma alibi? - spytał Gellert.

- Tak, nie ma. To go dodatkowo obciąża. Ale, jak powiedziałem, to formalny aspekt sprawy. W aspekcie psychologicznym nie wydaje się prawdopodobne, żeby ten prosty, nieśmiały chłopiec późnym wieczorem namawiał panienkę z dobrego domu do wspólnego popijania.

- Mogła to być jej inicjatywa. Po pierwsze, wszystko wskazuje na to, że lubiła ekstrawagancje; po drugie, już był taki

precedens: jak wiadomo, pili razem wódkę w obecności pani Marczak-

- Jeżeli nawet! To jeszcze nie tłumaczy, po co miał ją zabijać. Znali się bardzo pobieżnie.

- O tym nic nie wiemy, jak sam zaznaczyłeś. Przy rozwikłaniu trudnych spraw, jak mi się zdaje, należy przyjąć zasadę ogólną: nie wolno z góry odrzucać wersji najmniej prawdopodobnych, żeby nie zawęzić pola widzenia. Nieraz właśnie najmniej prawdopodobne zawiera prawdę poszukiwaną.

- To teoria! - oburzył się kapitan.

- Ale słuszna. Naszkicuję ci jeden z możliwych wariantów tego wieczoru. Zakochany młodzian marzący o pozostaniu sam na sam z dziewczyną wchodzi z nią do pustego mieszkania...

- Wiedział przecież, że wkrótce ma ktoś do niej przyjść.

- To on tak twierdzi; nikt teraz nie sprawdzi, czy rzeczywiście mu tak powiedziała. Więc przypuścimy, że trafił na dobrą chwilę. Agnieszka jest dla niego życzliwa i, - podtrzymując tradycje matki, zaprasza go na kolację. Popijają wino, gawędzą o tym i owym. Agnieszka zażywa środek nasenny, bo chce odespać poprzednią noc.

- I połyka od razu pięć proszków?

- Dlaczego pięć? Bo tyle brakowało w fiołce? Mogła napocząć ją wcześniej, a tego wieczoru zażyła jedną lub dwie. Póki nie jest jeszcze śpiąca, włącza radio. Tańczą. Chłopak się roznamiętnia, jego nieśmiałość mija. Dziewczyna gasi jego zapalę kpina. Jest urażony. Luminal w połączeniu z winem działa szybko, Agnieszka gwałtownie zasypia.

- Mimo że w pokoju jest obcy?

- Może kazała mu wyjść i od razu zasnęła. Kazik więc siedzi, patrzy na śpiącą i z goryczą rozmyśla nad tym, że piękna córka pani profesorowej nigdy nie zgodzi się wyjść za mąż za technika radiowego. Sam nie wyobraża sobie, żeby mogła nazywać się „pani Dudkowa”. Tu doznaje chwilowego zamroczenia umysłu. Nie wiedząc, co czyni, idzie do kuchni, odkręca gaz...

- Chyba sam w to nie wierzysz? - sarkastycznie przerwał mu gospodarz.

- Zgadłeś. Lecz nie dałbym głowy, że to niemożliwe.

- Pozwól sobie powiedzieć, że nie mamy czasu na rozważania czysto teoretyczne. Ja osobiście uważam, że Dudek jako ewentualny winowajca odpada.

Doktor wesoło się roześmiał:

- Nie złość się, kapitanie. Ja też tak uważam. Możemy przejść nad nim do porządku dziennego.

- Chwała Bogu, nareszcie! - gospodarz wstał. - Proponuję, żebyśmy się napili. Mam koniak francuski. Napoleon.

- Oooo! To zawsze warto.

- Więc idę robić kolację.

- Nie dla ,mnie, Jurku. Jakoś niewyraźnie się czuję, widać złapałem grypę przy tym lipcowym śniegu. Nie będę nic jadł. A koniak chętnie się napiję.

- Dasz się skusić, na pewno! Przewidziane są pieczarki w specjalnym sosie, mój numer popisowy.

- Może ci pomóc?

- Broń Boże! Kuchnia to moje sanktuarium, obcym wstęp wzbroniony. Nie śmiej się, ale takie mam hobby. Jak inni bawią się rozwiązywaniem krzyżówek, tak ja się bawię w sztukę kulinarną. Nie znam lepszego wypoczynku.

Umiem przyrządzać najwykwintniejsze potrawy, wymyślam własną recepturę i nikomu nie zdradzam sekretu, by mieć monopol.

- Nie jestem oczywiście mistrzem, ale jako podkuchenny mogę się przydać. Umiem obierać ziemniaki, zmywać naczynia, zaparzać herbatę...

- Nie, dziękuję. Kuchenka jest za mała, żeby kręciły się po niej dwie osoby. Dam sobie radę, mam wprawę. A ty tymczasem siedź i wypoczywaj. Czekać cierpliwie. Weź sobie do przejrzenia nowe zagraniczne magazyny ilustrowane.

- Nie warto. Jestem zmęczony, a ten fotel usposabia do drzemki.

- Tym lepiej! Prześpisz się, a potem ze świeżą głową będziesz pracował - powiedział gospodarz znikając w kuchni.

Zegar wybił ósmą i żaglowce nad tarczą posłusznie zakołysały się na falach. Doktor przybrał wygodną pozycję i zamknął oczy.

Deszcz za oknem bębnił z niewyczerpanym uporem.

Rozdział drugi

Refleksje i widziadła

Gellert miał dziwne uczucie, że deszcz bębni po jego czaszce. Pod powiekami przesuwały mu się obrazy, niby bezładne i migawkowe, a przecież układające się w jakiś określony, logiczny ciąg.

Jerzego Wołodkę znał od paru lat, ale po raz pierwszy zetknął się z nim teraz bliżej w pracy. Do obydwu zwrócił się urząd śledczy milicji kryminalnej o pomoc w sprawie zabójstwa Agnieszki Marczak.

Funkcje Gellerta ograniczały się właściwie do psychiatrycznych badań kilku podejrzanych, Wołodko jednak skorzystał z tego, że doktor zapoznał się częściowo z materiałami śledztwa, żeby poprosić go o przyjacielską pomoc również w swojej dziedzinie.

- Sprawa się gmatwa - powiedział. - Kandydatów na winowajcę mam kilku, lecz dowodów rzeczowych brak, muszę opierać się na dociekaniach psychologicznych. Boję się pomylić, tu trzeba doświadczonego specjalisty.

Doktor się zgodził. Przejrzał cały materiał, niektórych świadków poznał osobiście, rozmawiał z nimi prywatnie, co daje większe szanse dotarcia do prawdy.

...Kazimierz Dudek, lat dziewiętnaście. Wysoki, szczupły, trochę się garbi. Szatyn o falujących włosach, twarz ani ładna, ani szpetna - pospolita. Ubrany i uczesany starannie, lecz nie według obowiązującej dziś mody młodzieżowej: niedrogi ciemny garnitur, krawat, koszula w paski, mankiety ze spinkami. Kiedy jest zdenerwowany, zaczyna się jąkać. Unika rozmów o zabitej, ze szczególnym uporem powtarza: „W niedzielę byłem tam dwie minuty, nie dłużej”.

...Magdalena Rybacka. Dziewczyna, jakich tuziny spotyka się na ulicach Warszawy. Niebrzydka. Wzrostu zaledwie średniego, ale zgrabna. Płowe włosy w przepisowym nieładzie, jakby nie domyte, lepią się w kosmyki. Nogi nader skąpo, do połowy uda osłonięte spódniczką mini. Rzeczywiście mini, już

wyżej nie można. Oczy z rana niebieskie, wieczorem zielone - zależnie od kredki, gęstą warstwą nałożonej na powieki. Mężczyźni oglądają się za nią. Ale daleko jej do Agnieszki! To była dopiero dziewczyna-as.

Strzelista, bardzo wysoka, doskonale zbudowana (fotografia z pływalni: Agnieszka na trampolinie szykuje się do skoku). Wyraźny typ brunetki, choć kolor włosów, jak i uczesanie, zmieniała co pół roku, idąc za modą.

Frapującego wyrazu nadawały jej brwi: gęste, czarne, zrosnięte, przecinające twarz grubą, prawie równą kreską, jak szybkie pociągnięcie węglem. Pociągnięcie, chciałoby się powiedzieć, brutalne. Nad nim - spokojna płaszczyzna ładnie sklepionego czoła; pod nim - oczy ogromne, o migotliwym połysku. Wyraz ich musiał być bardzo zmienny: co zdjęcie, to inne spojrzenie. Kpiące, smutne, namiętne, zamyślane, beztroskie, rozmarzone, zaczepne... Lubiała się fotografować. Najlepiej wypadają amatorskie migawki. Zwłaszcza ta...

Na ekranie jego powiek zatrzymał się obraz dziewczyny, która przysiadła na krawędzi biurka. Oparta lewą ręką o stół, w drugiej trzyma zapalonego papierosa. Włosy ściągnięte w wysoki kok odsłaniają małe, foremne uszy. Głowa z lekka podniesiona, broda wyzywająco wysunięta naprzód, na ustach ironiczny grymas. Oczy patrzą wprost w obiektyw, przekornie i lekceważąco. Mimo skrzywionych ust jest piękna.

...Matka. Zupełnie niepodobna do Agnieszki. Pani profesorowa. Otyła, ale ruchliwa, pełna życiowej energii. Ślady kobiecej urody, istotnie dziewiętnastowiecznej. I dobroć, o której mówiła Magdalena, bije z wyblakłych oczu, patrzących na świat z dziecinną ufnością. Nawet jeszcze teraz...

Dostaje rentę po mężu i honorarium za wznowienia jego podręcznika biologii; trzy czwarte tej sumy, według prawa spadkowego, przypadają Agnieszce. Starczyło tego obu kobietom na egzystencję wprawdzie nie luksusową, ale przyzwoitą.

Pani Marczak prowadziła gospodarstwo skromne, za to lubiała robić prezenty osobom niezamożnym, a także udzielać pożyczki tym, którzy znaleźli się w kłopotach; dłużnicy najczęściej

zapominali o zwrocie. Agnieszka oburzała się na nieuleczalną łatwowierność matki, nigdy jednak nie wtrącała się do spraw pieniężnych, zadowolając się wydzielanymi jej kieszonkowymi.

...Rozmowa o Agnieszce z profesorem szkoły teatralnej:

- Była trudną uczennicą. Zdolna, niewątpliwie, i doskonałe warunki zewnętrzne, ale wie pan, trudna. Nie lubiła systematycznie pracować. Czytała dużo, tylko że z własnego wyboru. Inteligentna, owszem. Kiedy omawialiśmy w klasie jakąś postać sceniczną, nieraz potrafiła powiedzieć coś takiego, że... Na przykład: „Makbet na pewno był impotentem, żona musiała być niewyżyta”. Jak to się panu podoba? Swoją drogą, zręczny krytyk mógłby na tym domyśle oprzeć całą rozprawę naukową.

...Antoni Klimczak, syn dyrektora departamentu, przystojny blondynek. Kolega i kochanek Agnieszki, dobry partner o zbliżonej postawie. Kochać się - owszem, ale bez zaangażowania. To obopólna przyjemność dwojga wolnych ludzi, z wolnego wyboru. Póki przyjemność trwa, wszystko w porządku. Nie może trwać wiecznie, to prawo fizjologiczne. Miłość? Wymysł literatury, m użytek frajerów. Nie bądźmy dziećmi.

- Czy pan nie upraszcza sprawy? - spytał wtedy Leszek.

- Jeżeli dojdę do przekonania, że upraszczam, to będzie znaczyło, że się starzeję.

...Inny kochanek, Witold Gracz, operator filmowy. Lat trzydzieści osiem. Łysiejący brunet o przysadzistej budowie. Uprawia sporty, ma pokaźne bicepsy. Twarz o banalnej urodzie, wygląda raczej na specjalistę zatrudnionego w firmie prywatnej niż w filmie. Dobrze zarabia, ma wartburga i własnościowe mieszkanie.

Po śmierci Agnieszki Gracz psychicznie się rozkleił. Przychodził do Gellerta i godzinami opowiadał o zabitej, właściwie nie potrafił mówić o niczym innym. Niekiedy tracił wątek i siedział w jakimś odrętwieniu, zapominając o obecności doktora. A potem znów mówił płynnie.

- Pan chciał ożenić się z Agnieszką? - spytał go Leszek przy pierwszej wizycie.

- To było dwa lata temu, w lecie. Pracowała wtedy jako modelka w Modzie Polskiej i nosiła się z zamiarem porzucenia studiów. Tam dobrze płacą, dziewczyna może się ubrać. No i - szkoła urody. Uczą je chodzić, uśmiechać się, z wdziękiem nosić szatki. Wyrabiają poczucie stylu, ogólną ogładę. Agnieszka czuła się w swoim żywiole, bardzo jej się to podobało. Zwłaszcza że zabrali ją na pokaz polskich modeli w Paryżu, na dwa tygodnie. Wróciła olśniona i jeszcze bardziej olśniewająca. Zeszliśmy się niedługo przed jej wyjazdem. Po powrocie zaproponowałem jej małżeństwo. Akurat dostałem mieszkanie.

- Zgodziła się?

- Na próbę zamieszkaliśmy razem. Była niełatwa we współżyciu. Chaotyczna i nie uznająca żadnego regulaminu. Spała czasem do południa, kładła się późno. Podczas gdy ja miałem dzień w dzień zdjęcia od ósmej, ona czytała w łóżku do rana, nie chciała gasić światła.

- Czy nie obowiązywała jej dyscyplina pracy?

- Nie była zajęta przez cały tydzień, miała dni wolne.

O przyrządzaniu posiłków w domu oczywiście nie było mowy. Jadaliśmy po restauracjach, nie zawsze razem, bo trudno się było z góry umówić. Zakupy robiłem ja, inaczej w kredensie byłyby pustki. Rozpieściła ją matka, wszystko za nią w domu robiła. Agnieszka nie umiała zacerować pończochy ani przyszyć guzika.

Musiałem raz wyjechać na dwa tygodnie do Gdyni, kręciłem tam film reportażowy. Wróciłem przed terminem, późnym wieczorem. Agnieszka nie spała, przywitała mnie bardzo serdecznie. Wykąpałem się i chciałem coś przegryźć. Nie było herbaty ani cukru, ani skóreczki chleba.

- Bój się Boga - powiedziałem - czy postanowiłaś się zagłodzić? Czym żywiłaś się przez tyle dni?

Wzruszyła ramionami:

- Czasami jadałam u mamy, czasami w stołówce, a w ogóle to nie jest ważne. W nocy, jak byłam głodna, gryzłam czekoladę. Dziś akurat mi się skończyła.

Taka była...

- Więc pan zrezygnował z ożenku? - spytał doktor.

- Nie. Jednak chciałem. To ona nie chciała. Pewnego dnia spakowała rzeczy i powiedziała: „Nie gniewaj się, Witku. Nic z tego. Jaka ze mnie żona? Jesteś dobry chłopak, zasługujesz na lepszą”.

- A kiedy Agnieszka porzuciła pracę w Modzie Polskiej?

- Na jesieni. Jak na jej gust, trzymano tam dziewczęta zbyt krótko. Ostra dieta, codzienna gimnastyka, regularny tryb życia i temu podobne. Kierowniczką nie tolerowała flirtów na swoim terenie, wtrącała się do osobistych spraw. Agnieszka miała tego wszystkiego powyżej uszu. Wróciła do szkoły i do mieszkania matki.

- Wtedy przestaliście się spotykać?

- Nie, spotykaliśmy się nadal, aż do końca stycznia tego roku; wtedy wyjechałem z Warszawy. Oczywiście, stosunki nasze były już tylko przyjacielskie. Widywaliśmy się nieregularnie. Dzwoniłem do niej często, chciałem wiedzieć, co się z nią dzieje. Ona też niekiedy do mnie dzwoniła, żeby się zobaczyć. Opowiadała o sobie szczerze, nie ukrywała swoich romansów. Wiedziałem i o tym ostatnim...

- Pan był o nią zazdrosny?

- Czy ja wiem? W tym okresie, kiedyśmy żyli ze sobą, nie miałem powodów. A potem... no chyba byłem. Zwłaszcza na początku. Wydawało mi się absurdem, że jest komuś bliska. I bałem się o nią. Oczywiście nie wyobrażałem sobie tego, co się stanie, po prostu bałem się, że nie potrafi sensownie ułożyć sobie życia...

Rozległ się huk. Wiatr uderzył w szyby ze szczególną pasją i rozchylił drzwi balkonu. Kotara się wyrzuciła, powiało zimnem. Doktor zerwał się, lecz wyprzedził go gospodarz.

- Siedź, Leszku, sam zamknę! - krzyknął mocując się z kotarą.

- Cóż za wstrętna pogoda! I tak od samego rana. No już. Przepraszam cię, ale musisz jeszcze trochę poczekać. Bardzo się nudzisz?

- Wcale. Odpoczywam. Nie jestem głodny, tak że nie śpiesz się. Znowu usiadł w fotelu i przymknął oczy.

...Piotr Olgiert Nadomski. Felietonista, lat trzydzieści cztery.

Na pierwszy rzut oka postać z cyrku: duża głowa osadzona na małym tułowiu i podparta jakby o połowę skróconymi nóżkami. Gdyby był czarnowłosym brodaczem, przypominałby Toulouse-Lautreca z słynnego filmu „Moulin Rouge”. Ale jest ogniście rudy i na ogolonej twarzy kwitną mu piegi. Bujna czupryna powinna w jego założeniu wydłużać niefortunną konstrukcję, w praktyce zaś tylko podkreśla jej dysproporcje.

Stały współpracownik podrzędnego pisemka o wygórowanych pretensjach, mającego między innymi dział naukowy i literacko-społeczny. Drukuje też okazjnie w innych periodykach polskich. Ma tak zwane lekkie pióro, czyli potrafi pisać o wszystkim i dla wszystkich, byleby się opłacało.

Szczęśliwy dar efektownych impresji zastępuje mu wiedzę z dziedzin, o które zahacza. Sądząc z rozpiętości atakowanych przez niego tematów, jest uniwersalny: film, teatr, malarstwo, organizacja produkcji, bolączki obyczajowe, postępy medycyny i innych nauk, sport, sytuacja międzynarodowa, zdobycie kosmosu - nie ma bariery dla jego lotnego umysłu.

Z doskonałą swobodą wypowiada swoje opinie i z równie doskonałą nonszalancją je zmienia, gdy chwila tego wymaga. Nadejście takiej chwili nie sprawia mu kłopotu: chwile mogą być różne, ale on mocno trzyma się siodła. Frasuje się jedynie tym, że jeszcze nie wypłynął na szersze wody, choć w jego mniemaniu na to dawno już czas.

Obok pełnego nazwiska używa wymownego skrótu: P. O. Nad. W tym tkwi coś więcej niż groszowy kalambur. Chyba nawet we śnie gryzie się swoją karłą budową i pragnie ją czymś zrekompensować. Nie wystarczy mu zrównanie się z innymi ludźmi - psychicznie skazany jest na wywyższanie się, na stawianie siebie ponad nimi. Jeżeli nie fizycznie, to intelektualnie. Toteż na ustach jego zawsze błąka się uśmieszek lekceważenia.

„Tego typu mężczyzn mikrusów, z grubsza biorąc, dałoby się podzielić na dwie kategorie - pomyślał Gellert. - Jednym to dodaje bodźca do rozwoju duchowego, osiągają duże wyniki twórcze, a jednocześnie wyzbywają się egocentryzmu, są ofiarni, uczynni, wyrozumiali, co im zdobywa powszechną

sympatię i rekompensuje ich upośledzenie fizyczne. Nadomski należy do kategorii odwrotnej, jest mizantropem i żyje w stanie ciągle podsycanej zawiści”.

Kompleks „ponad” rzutuje i na jego stosunki z kobietami. Zdaje sobie sprawę, że obok miniaturowej istotki wyglądałby podwójnie śmiesznie (dobrali się, lilipucia parka!). Nie! Jego kobieta musi być bardzo wysoka i bardzo piękna, za to na twarzy musi mieć wypisane, że posiada intelekt miniaturowy. Właśnie takie są wszystkie jego wybranki.

Agnieszkę poznał rok temu w klubie SPATiF-u, jako recenzent filmowy (a jakże!) jest tam stałym bywalcem. Był późny wieczór, wszystkie miejsca okazały się zajęte.

- Mały Piotruś! - zawołał z-głębi bocznej salki Kazik Grubski, reporter „Ekranu”.

Nadomski precyzyjnie przesunął się do jego stolika, gdzie bawiło się towarzystwo dobrze już podpite.

- Zróbmy miejsce dla małego Piotrusia! - z pijacką werwą gorączkował się Kazik.

Wszyscy wstali, zaczęło się przesuwanie krzeseł, żeby można było wcisnąć jeszcze jedno. Obok Radomskiego znalazła się Agnieszka, bardzo wysoka i piękna, z rozwianą grzywą księżycowego koloru (wówczas to było modne). W ciągu następnej godziny, którą spędzono na niewybrednych wygłupach, wydało mu się, że sąsiadka posiada również trzecią niezbędną zaletę, inteligencję mini. Stanowczo była w jego guście.

Tak nawiązała się znajomość, która - jak zbyt późno się okazało - nie wróżyła mu nic dobrego.

Nie przypuszczał, żeby zdobycie tej dziewczyny wymagało dłuższego czasu. Był szeroko znany z wybrednego gustu: zostać jego kochanką znaczyło uzyskać wysoką lokatę na konkursie urody. Wiedział już z doświadczenia, że wielu kobietom imponuje także jego styl bycia: na konto przyszłej sławy i wyprzedzając nieco wypadki, trzymał się jako uznana przez ogół znakomitość. I wreszcie - miał gest, umiał otoczyć wybraną przez siebie piękność należnymi jej honorami, zaopatrzyć w odpowiednio szykowną oprawę. To wszystko

razem stanowiło jego niezawodne atuty.

Przy Agnieszce przyszło mu jednak porządnie się natrudzić i co najprzykrzejsze - bez skutku. Odwiedzając ją w domu, zawsze przynosił kwiaty, bombonierki, wytworne wino lub najnowsze zagraniczne płyty. Był szarmancki wobec pani Marczak, cierpliwie prowadził z nią konwersację ubolewając nad ogólnym upadkiem obyczajów.

- Jaki miły! - mówiła pani profesorowa. - Pewnie jest bardzo zdolny, trzeba będzie czytać jego utwory. Szkoda, że tak wygląda, zasługiwałby na lepszą prezencję.

I smutnie kiwała głową, zaparzając w kuchni mocną herbatę, do której miał specjalne upodobanie.

Nadomski zabierał Agnieszkę na filmowe i teatralne prasówki, zapraszał do Grand Hotelu, Bristolu i innych drogich lokali, woził swoją dekawką na weekendy do Kazimierza nad Wisłą i do Sopotu. Napisał reportaż o szkole teatralnej jedynie po to, żeby zareklamować Wereszczakównę, Wschodzącą gwiazdę. Spłodził kobrę telewizyjną, wystarawszy się o powierzenie jej głównej roli. I - nic!

Agnieszka dosyć chętnie przebywała w jego towarzystwie, zwłaszcza kiedy nie byli sami. Bawił ją jego złośliwe dowcip, umiejętność odnajdywania w każdym śmieszności i wstydlivych grzeszków, dar unicestwienia człowieka jedną celnie wsadzoną szpilą. Podsycala te jego zamiłowania, zaśmiewała się i podziwiała wprawę i kunszt, to zaś jeszcze bardziej dopingowało jego wrodzoną zjadliwość.

Już po paru spotkaniach zorientował się, że źle oszacował jej inteligencję, mimo to nie wycofał się z rozpoczętej kampanii, nabierając coraz większej ochoty do pomyślnego finiszu. Stopniowo rozsmakował się w popisach przed tą dziewczyną, która potrafiła tak ekspansywnie aprobować gatunek jego humoru. To pociągało go nie mniej od jej sex appealu.

Ani się spostrzegł, jak obcowanie z nią stało się dla niego potrzebą. Wzniecała w nim zapaly myśliwskie, tak że potem pisanie napastliwych artykułików szło mu zgrabniej i szybciej. Warto było poczekać czas dłuższy, aż go wynagrodzi za wierność. Trwało to parę miesięcy. Potem zauważył, że'

platoniczne konkury ośmieszają go wobec kolegów, stawiając w głupiej sytuacji.

- Piotruś wpadł na dobre - mówiono. - Bez żadnej szansy na powodzenie.

Zagrażało to jego reputacji Don Juana nie znającego porażki. Zaniepokojony, gotów był zerwać znajomość z Agnieszką, ale jednak nie zerwał. Znalazł inne wyjście. Gwoli próżności męskiej zadbał o pozory zwycięstwa, poświęcając im zwycięstwo prawdziwe.

Znając ekscentryczność Agnieszki i jej pogardę dla konwenansów, kilka razy namówił ją, żeby odwiedziła go w domu. Zachował się po dżentelmeńsku - był gościnnie, przyjacielski i nic poza tym. Wieść o tych wizytach szybko się rozeszła, zaczęto mu wieszować. Gratulacje przyjmował z miną dyskretnego tryumfu.

Postarał się jednocześnie o widoczne dowody ustabilizowanej zażyłości z Agnieszką. Z soboty na niedzielę jeździli razem do domu literatów za Warszawę, wpadali tam także w tygodniu na podwieczorek lub kolację. Święta Bożego Narodzenia spędzili w Zakopanem, w domu ZAIKS-u.

W środowisku literackim i artystycznym takie wypadki komentuje się na ogół jednoznacznie.

Potrafił prowadzić grę na dwa fronty, bo wobec Agnieszki utrzymywał postawę zrezygnowanego absztyfikanta, który pogodził się z funkcją li tylko przyjaciela. Była z tego zadowolona. W chwilach smutku czy nudy wołała zabijać czas z nim niż z kimś innym. Uważała, że jest bardzo zabawny. Ta sytuacja trwała przeszło miesiąc.

Nie można było jednak przeciągać jej w nieskończoność. Już rozglądał się za godną następczynią Agnieszki, żeby powoli wycofać się z ryzykownej znajomości i oświadczyć wszem i wobec, że idylla się skończyła. I tu uderzył grom. Było to 26 stycznia bieżącego roku.

Jak w ubogiej farsie zakończenie pseudo romansu rozegrało się w scenerii z pierwszego aktu, czyli w tymże SPATiF-ie, tylko w liczniejszym gronie. Po wieczorze jubileuszowym znanego aktora zestawiono w głównej sali kilka stolików i rozpoczęto

uczcie. Spirytualiów nie brakło, atmosfera stawała się coraz weselsza. Agnieszka i Piotruś siedzieli naprzeciw jubilata.

- Wypijmy zdrowie szczęśliwej pary! - zawołał jubilat, kiedy życzliwość dla gości wezbrała w nim falą zbyt burzliwą, mącąc jasność Umysłu. Serdecznym gestem wyciągnął kielich w ich stronę. - Udało się panu, redaktorze! Nie dziwię się: kontrasty ładnie, he, he... układają się w całość.

Wybuchły nie tłumione salwy śmiechu. Jak stół długi śmieli się wszyscy prócz „szczęśliwej pary”.

- Czy to do nas? - spytała Agnieszka z zimną wściekłością. - Pomyłka.

Odwróciła się do Piotrusia i zlustrowała go spojrzeniem krawca, który bierze miarę klienta:

- Widziałam większych karzelków.

Rozległy się dyskretne śmieszki i zgasły natychmiast. Wśród ogólnego milczenia Agnieszka podniosła się z miejsca:

- Jeżeli to kogoś interesuje, podaję do wiadomości, że nigdy nie miałam przyjemności z tym oto panem. Bardzo żałuję.

I wyszła.

Skandal był niecodzienny, syciły się nim długo plotkarskie języki „całej Warszawy”.

„Zabawne, że każde snobistyczne grono mianuje siebie całą Warszawą - odnotował mimochodem Gellert. - Trzeba znać układ nerwowy i psychiczny osobników w rodzaju Nadomskiego, żeby zrozumieć, co znaczył dla niego ten cios. Nie zapomni go aż do śmierci, nigdy nie przestanie kurczyć się z bólu na samo wspomnienie. I nigdy już nie zaspokoi swojej męskiej próżności, choćby zdobył Sofię Loren. Przetrącono mu stos pacierzowy, nie uleczy go żadna kariera. Będzie żył tylko wizją zemsty.

Czy to jest wystarczający motyw do zbrodni? Najzupełniej. Zwłaszcza pod ciśnieniem pierwszej wściekłości. A dziewczyna zginęła w trzy tygodnie po tym incydencie”.

Przez otwarte drzwi doleciał zapach pieczarek, przyjemnie podrażniając nozdrza doktora. Słysząc było skwierczenie tłuszczu na patelni i brzęk przesuwanych naczyń;

...Marcelina Jankowska, nauczycielka francuskiego w szkole

średniej, daleka kuzynka Agnieszki, o piętnaście lat od niej starsza.

Ciemna szatynka średniego wzrostu, budowy nie tyle szczupłej, co kościstej; jej zylasta skóra sprawia wrażenie twardej w dotyku. Ruchy ma szybkie i sprawne, ale bez wdzięku. Trudno sprecyzować, czego brakuje tej twarzy, żeby być ładną, bo z wyjątkiem zbyt spiczastego nosa ma układ dość regularny. Chyba szpeci ją piętno stałego napięcia i zatroskania - tak jakby żyła w oczekiwaniu na dawno zapowiedziane nieszczęście. Nie ma w tym tragizmu, który rzeźbi twarz posągowo, tylko znużenie, które odbarwia rysy i kładzie przykre kreski przy kątach ust.

Owdowiała dziesięć lat temu, dzieci nie miała. Ciężko przeżywała nie tyle śmierć męża, ile własną samotność. Miała wówczas 27 lat, była już po studiach, pracowała w szkole. Z kolegami i sąsiadami (mieszkała w sublokatorskim pokoju) nie utrzymywała bliższych stosunków.

Po trzech latach jej samotnej egzystencji do mieszkania wprowadził się Władysław Jankowski, 45-letni inżynier z Żerania, też wdowiec, bezdzietny. Zaprzyjaźniła się z nim, w następnym roku pobrali się. Był dobrym fachowcem, ceniono go, często dostawał premie. Przez kolegów załatwił zamianę ich rozległych pokoi w starym domu na dwupokojowe mieszkanie na krańcach Żoliborza. Zaopatrzył je w nowe meble.

Dopiero po ślubie przyznał się, że w młodości dużo pił, miewał okresy nałogowego pijaństwa. Twierdził, że to się definitywnie skończyło. Przez rok żyli ze sobą w zgodzie. Potem nastąpiła recydywa.

- Nigdy nie miałam do czynienia z pijakami - mówiła pani Marcelina, podnosząc na doktora zalęknione spojrzenie. - Próbowałam perswazji, brałam go na ambicję - że ma silną wolę i potrafi się powstrzymać. Pomagało, ale na krótko. Potem przestało pomagać, zrobił się arogancki, coraz mniej liczył się ze mną...

Wracał niekiedy nad ranem, zupełnie nieprzytomny, ledwie mógł dowiec się do łóżka i zwał się jak worek, w ubraniu i

brudnych butach. Nieraz zarzygał mi całe mieszkanie. Nazajutrz nie szedł do biura, wzywał lekarza, udawał atak serca lub grypę i dostawał zwolnienie. Przez parę dni zostawał w łóżku, nie odzywał się do mnie, tylko patrzył tak jakos podejrzliwie...

Kobieta zamyśliła się.

-- Wie pan, panie doktorze, co było najgorsze? - podjęła znów. - Ni z tego, ni z owego zaczął mnie podejrzewać, że chcę go wykurzyć z domu i zagarnąć całe mieszkanie dla siebie. Sam płacił rachunki w administracji i wszczynał długie rozmowy - że chociaż mieszkanie przydzielono nam obojgu, a jednak on jest głównym lokatorem i w razie czego... to stało się jego obsesją. Może, panie doktorze, opowiadam rozwlekle, wchodzę w niepotrzebne szczegóły?

- Nie szkodzi. Niech pani opowiada o wszystkim, co wydaje się pani ważne.

I dodał w myśli: Sprawa mieszkaniowa jest tu elementem zasadniczym, jako ważny symptom jego choroby.

- W fabryce przez pewien czas tolerowano jego bumelanctwo, potem dwa razy dali mu upomnienia, a za trzecim zwolnili. Szybko przepił całą forszę, otrzymaną przy rozliczeniu, i wtedy dopiero zaczęło się piekło. Myślałam już, że przeżyłam najgorsze. Nieprawda! Człowieka można dręczyć bez końca, wszystko zniesie...

Musiałam wtedy wziąć dodatkową posadę i prywatne lekcje w domu. Pracowałam ponad siły, od rana do późnej nocy. Odmawiałam mężowi kieszonkowych, sama kupowałam mu papierosy i rzeczy, których potrzebował. Nie chciałam, żeby miał pieniądze na wódkę.

Wściekał się, groził, że mnie porzuci. Powiedziałam, że tym lepiej, nareszcie znów będę człowiekiem. Wtedy mnie uderzył. Po raz pierwszy. To był wstrząs dla nas obojga.. Przyrzekł mi, że więcej nie weźmie kropli do ust. Po trzech miesiącach przyjęto go do fabryki motocykli. Pracował dobrze, w domu też stosunki jakoś się ułożyły. Oczywiście nie było tak jak dawniej, oboje zrobiliśmy się nerwowi i wzajemnie nieufni. Jednak myślałam, że pomалу wszystko wróci do normy. Już nie pracowałam tak

dużo, chodziliśmy niekiedy do kina i do teatru, odwiedzaliśmy znajomych. Lubił chodzić ze mną do pani Marczak...

Ciocia dla wszystkich jest dobra, więc i on zwierzał się jej z biurowych kłopotów, a na osobności, mam wrażenie, uważał się, że traktuję go oschle. W każdym razie ciocia potem brała mnie na stronę i mówiła, że to człowiek w gruncie rzeczy dobry i że trzeba okazać mu więcej serca.

Ja natomiast bardzo się przyjaźniłam z Agnieszką. Nie wyczuwało się między nami tak znacznej różnicy wieku, mogłam jej opowiedzieć, jak wygląda moje domowe życie, potrafiła wszystko zrozumieć i zawsze znalazła właśnie to słowo, które mogło mnie podnieść na duchu. Tylko ona wiedziała, co musiałam przecierpieć...

- Potem nastąpił drugi nawrót, prawda?

- Tak, w dwa lata później. Poszło jeszcze prędzej niż za pierwszym razem: wywalenie z pracy, ostateczne rozpijaczenie się, awantury w domu. Znow musiałam wziąć dodatkową posadę i lekcje prywatne. Myślałam, że skonam z przemęczenia. Agnieszka namawiała mnie na rozwód, ale ja jeszcze nie straciłam nadziei, że mu znow przejdzie. We trójkę z Agnieszką i z ciocią namówiliśmy go wreszcie do kuracji odwykowej w specjalnym zakładzie.

- Pomogło?

- Po trzech miesiącach. Odetchnęłam tymczasem trochę, pozbierałam się, zrobiłam porządek w domu. Wrócił w dobrym stanie, ale jakiś zmieniony. Nie spieszyło mu się do pracy, mówił mi, że czuje się słabo, nie da sobie rady. No cóż, myślałam, niech sobie odpocznie, choćby i parę miesięcy. Oby nie pił. Harowałam nadal.

On tymczasem przytył jeszcze, dobrze wyglądał, humor mu się poprawił. Rzeczywiście nie pił, bo znalazł sobie coś lepszego, a ja nic o tym nie wiedziałam. Kiedy pytałam go, co z pracą, mówił, że wszędzie szuka, ale na razie nie ma wolnych etatów. Trudno. Agnieszka wtedy mi powiedziała:

- Kręci. Sprawdź, co on robi, jak ciebie nie ma w domu.

Wstyd mi było, ale przemogłam się i spytałam sąsiadki.

Okazało się, że kiedy jestem w szkole, przychodzi do niego

dziewczyna. Widziałam ją - zwolniłam się z zajęć i wpadłam do mieszkania. Zupełnie prosta dziewczyna, nawet nie ładna, tyle że młodzianka. A on już miał pięćdziesiąt lat, akurat pora, kiedy mężczyźni tracą ostatni rozum dla byle jakiej spódniczki. I wie pan, co mnie dobiło? Przypięła sobie moją srebrną broszkę z turkusami, jeszcze od mamy...

- Co pani wtedy zrobiła?

- Ja nie umiem się awanturować, proszę pana. Wróciłam bez słowa do szkoły, a kiedy przyszedłam na obiad, jego w domu nie było. Widocznie wstydził się albo bał, że urządzę scenę zazdrości. Sprawdziłam swoje rzeczy: wyjaśniło się, że skradł mi jeszcze złoty zegarek na łańcuszku, po mamie, niebieskiego lisa, aksamitną sukienkę i koronkowy szal. Trzymałam to wszystko na czarnej godzinę.

Zadzwoiłam do Agnieszki. Powiedziała z miejsca:

- Przyjeżdżaj do nas, zamieszkaś ze mną, w moim pokoju. Musisz złożyć podanie o rozwód.

Spakowałam się i pojechałam, zostawiłam na stole kartkę, że się z nim rozwodzę, a na razie zamieszkałam u cici.

- I złożyła pani podanie?

- Chciałam, ale to było przykre, więc wciąż odkładałam. Miesiąc przemieszkałam z Agnieszką, po nocach rozmawialiśmy w kółko o tym samym. Ona wyłożyła mi, jak dwa razy dwa, że to już dno, nie można dać się wdeptać w błoto, że jestem kobietą materialnie niezależną, samowystarczalną, która sobie doskonale poradzi, tysiąc razy lepiej, niż wyprawiając żyły dla pijaka, wałkonia. Pytała:

- Czy jesteś zdecydowana? No to złóż prędzej to podanie.

A ja, wie pan, rozumiałam, że ona ma rację, i sama wygadywałam na niego okropne rzeczy, jednak w głębi duszy, tak naprawdę, to nie byłam do końca przekonana. Coś mnie jakby w sercu skrobało... Kobieta samowystarczalna, ale nie taka znów młoda czy ładna... Nie znajdę już nikogo, gdzieś tam, tyle młodych naokoło, za duża konkurencja... Zostanę sama, już do samej śmierci sama...

A tu Jankowski zaczął telefonować. Jeżeli odbierała telefon Agnieszka, to ciskała słuchawkę albo krzyczała:

- Niech pan się odczepi od nas i od Marceliny! Zobaczy ją pan tylko w sądzie, na rozprawie rozwodowej!

A jak trafił na ciocię, to mnie wołała do telefonu. Błagał o przebaczenie, mówił, że z tamtą już zerwał... Przyjść to się bał, wiedział, że jak zostanie w domu Agnieszkę, to go zrzuci ze schodów. W ogóle nie jest bardzo odważny. I tak kotłowało się przez cały miesiąc.

- A potem?

- Załamalam się. Podziękowałam cioci, przeprosiłam Agnieszkę za zawracanie głowy.

- Nie ma za co - powiedziała. - Nie moja to sprawa, tylko twoja. Jesteś od mnie starsza, powinnaś przecież wiedzieć, co robisz. Chcesz się topić - nic na to nie poradzę. Na siłę nie można kogoś ratować.

No i wróciłam. Na pozór jakoś się wszystko między nami ułożyło. Twierdził, że nikogo nie ma, że tamto skończone. Chciałam wierzyć, więc nie sprawdzałam. Starał się obchodzić ze mną przyzwoicie, udawał życzliwego. Tylko jak wspominał o Agnieszce, wściekał się nieprzytomnie:

- To jej sprawka! To ona cię namówiła, a ty poszłaś do nich, jak głupia. Czego ona się wtrąca? Co to ją obchodzi? Niech lepiej pilnuje swoich spraw. Kim ona jest, żeby innych pouczać? Zwykła... - tu używał brzydkich wyrazów.

Powróciła mu znów ta sama obsesja:

- Wiem, czego jej się zachciewa. Ma chrapkę na moje mieszkanie... Gdybyś została tu sama, miałaby wygodne gniazdko na flirty. A jakże!

Nie mogłam nawet jej bronić, bo jeszcze bardziej się wściekał:

- Niech no przyjdzie tu, do mnie, to jej pokażę! Nie pozbiera się. Rozwalę jej tę prześliczną buzię!

I zabronił mi raz na zawsze odwiedzania kuzynki. Zresztą po tym, co zaszło, sama nie miałam specjalnej ochoty.

Niedługo trwał spokój w naszym domu. Do pracy wcale nie poszedł, a stawał się coraz wybredniejszy co do jedzenia i innych rzeczy. Nie pytał, skąd wezmę pieniądze, tylko żądał. Z przerażeniem obserwowałam, jak szybko odbywa się moralna

degrengolada tego człowieka.

Dwa lata temu, kiedy mnie uderzył, sam przeżył wstrząs. Teraz w złości nieraz mnie szarpał, a nawet bił pięścią. Całkiem przytomnie - tak, żeby nie zostawić sińca. Coraz mocniej i coraz częściej. Po cóż miałabym iść do Agnieszki? Żeby przyznać jej rację, że sama pchałam się do zguby?

Znów podniosła na doktora umęczone oczy, które w tej chwili nie widziały chyba nic oprócz majaków przeszłości.

- No i tak już to szło. Nie będę panu zabierać czasu, postaram się krócej... Do cici jednak musiałam przyjść parę razy, żeby pożyczyć pieniądze. Oprócz niej nie miałam do kogo się zwrócić. Jeden raz zastałam Agnieszkę. Spojrzała na mnie i już o nic nie pytała. Mówiła o byle czym, tylko żebym nie pomyślała, że nie chce ze mną rozmawiać.

W końcu, kiedy już i ciocia nie mogła mi pożyczać, a w domu nie było obiadu, zbił mnie tak, że nazajutrz nie mogłam iść do szkoły. Poczekałam, aż wyszedł, i zadzwoniłam do Agnieszki. Już mi było wszystko jedno. Pozostawało tylko samobójstwo albo ucieczka. Przyjechała po mnie taksówką, spakowała moje rzeczy. Kiedyśmy odjeżdżały, zza rogu nadszedł Jankowski. Widział nas i pogroził pięścią.

Agnieszka przypilnowała, żebym szybko złożyła podanie w sądzie i wzięła dobrego adwokata. Rozprawę wyznaczili za dwa miesiące. Za pierwszym razem, wie pan, tylko proponują małżonkom, żeby się pogodzili. Taka formalność. Kiedy wyszłam z sali, dogonił mnie na korytarzu (nikogo w pobliżu nie było) i powiedział:

- Pamiętaj, jeżeli uzyskasz rozwód, zabiję Agnieszkę i ciebie. Ją pierwszą. Nic mi nie zrobią, lekarze potwierdzą, że cierpię na halucynozę alkoholową.

Po raz pierwszy powiedział tak. Przeraziłam się, powtórzyłam jego słowa Agnieszce.

- Pijackie pogrożki - powiedziała. - Nie będziesz przez to za życia kłaść się do grobu. Ja się go nie boję, a ty nie masz nic do stracenia.

- Kiedy to było?

- Dwudziestego lipca zeszłego roku, przed samym świętem.

Potem była jeszcze jedna rozprawa, a ostatnia odbyła się czwartego października. Adwokat dobrze przygotował cały materiał, skład sędziowski był dla mnie przychylny. Dali mi rozwód. Jankowski czekał na ulicy, poszedł za mną. Powiedział cicho:

- Uprzedzałem cię, ale się uparłaś. Kuzyneczka cię podkreśliła, dlatego stałaś się taka odważna. I mieszkanie mi zabieracie. Dobrze, nie daruję wam. Przejdźcie się na tamten świat, moja w tym głowa!

Rzeczywiście Agnieszka przez przyjaciół załatwiła mi wymianę zoliborskiego mieszkania na kawalerkę dla mnie i sublokatorski pokój dla niego. Taka potrójna kombinacja. Przeniosłam się do tej kawalerki od razu, nie czekając na uprawomocnienie wyroku, a na ferie zimowe wyjechałam do Łądku, gdzie mam dawną koleżankę. Więcej już go nie widziałam.

Doktor potrząsnął głową, jakby opędzając się od przykrych widziadeł. Zdawało mu się, że w powietrzu jeszcze brzmi monotonny głos, snujący monotonną opowieść.

...Władysław Jankowski, lat pięćdziesiąt dwa. Otyły i nieruchawy. Świński blondyn. Cierpi na chorobę Basedowa, ma wylupiate bladoniebieskie oczy, cofnięty podbródek i nos jak kabłąk: profil papugi.

Obecnie leży w Tworkach. Rzadko wychodzi na korytarz - w niedopiętym szlafroku, powłócząc nogami w opadającej piżamie. Częściej leży.

Podczas badań nie daje jasnych odpowiedzi na stawiane pytania. Płacze fakty z niedawnej przeszłości, ma zanik pamięci. Zaprzecza, że zna krewnych żony. Natomiast chętnie roztrząsa perypetie mieszkaniowe, popadając w podniecenie: „Wyrzucili mnie z własnego mieszkania! Tyle pieniędzy kosztował mnie remont i meble... A teraz idź do sublokatorskiej dziury!” Jak stwierdzono, od kilku lat ma na tym tle urojeniowe podejrzenia.

Jeden raz wśród nocy zerwał się, usiadł na łóżku i krzyczał patrząc obłądnie w przestrzeń: „Po coś przyszła? Wynos się! Zabiję jak psa!” I później: „Dobrze ci tak, ścierwo! Masz za swoje”. Ponieważ omamy stanowią rzadki wyjątek przy jego

schorzeniu, wywołało to ożywioną dyskusję wśród lekarzy.

Diagnoza: paranoja alkoholowa. W ciągu pół roku nie osiągnięto widocznej poprawy.

Do szpitala Jankowski zgłosił się sam w poniedziałek siódmego lutego, nazajutrz po zgonie Agnieszki Marczak.

„Właściwie Jankowski jest najwięcej obciążony wśród podejrzanych - pomyślał Gellert. - Należy z największą skrupulatnością rozpatrzeć jego przypadek”.

Z kuchni doleciał brzęk stłuczonego szkła i okrzyki cholera! Doktor otworzył oczy, zapalił papierosa. Myślimi nadal wędrował gdzieś bardzo daleko. Przesunęły się przed nim twarze innych znajomych zabitej, modelek, pani kierowniczkii, sąsiadów... Spoza tych twarzy, w beładzie napływających i znikających wraz z urywkami rozmów, migąła postać jakby ukrywająca się w cieniu, uciekająca przed jego spojrzeniem. Znów przyknął oczy i w pewnej chwili uprzytomnił sobie, że sam unika tej twarzy. Dlaczego?

...Seweryn Milski, oskarżony o zabójstwo Agnieszki Marczak i osadzony w areszcie śledczym. Lat dwadzieścia osiem. Ekonomista, asystent SGPiS-u. Wysoki, wątłej budowy, typu wymoczek. Włosy szare, już przerzedzone. Twarz bezbarwna, można by powiedzieć nijaka, gdyby nie oczy: jasnozielone, w ładnej oprawie brązowych powiek, wróżące ogrom zrozumienia i ciepła. Wygląda na suchotnika o wzmożonej pobudliwości, nawet gdy jest spokojny, wydaje się czymś podniecony.

Mówi szybko, płynnie, z literacką swadą, sypiąc cytatami i wtrącając angielskie, francuskie i łacińskie powiedzonka. Meloman, corocznie wykupuje abonament na piątkowe koncerty Filharmonii. Dowcipny, czasem zjadliwy. Potrafi być ujmujący, zwłaszcza gdy mówi z kobietą. Umie spojrzeć na nią z zachwytem: „Pani jest niezrównana!” Wtedy ma wyraz oszołomienia. Kobietom poświęca sporo czasu, ma powodzenie.

Wykonuje dużo prac zleconych, pisze popularne broszury. Nieźle zarabia, ale nie jest skłonny do rozrzutności. Ubiera się raczej skromnie, nie przywiązuje wagi do swego wyglądu. Czaruje nie elegancją. W środowisku przyznano mu już rangę

intelektualisty, przyszłej sławy.

Agnieszkę poznał w październiku ubiegłego roku na prywatce w jej domu. Przyszedł ze swoją ówczesną dziewczyną, aktoreczką z telewizji. Była sobota. Dużo pili, tańczyli do rana, wyglupiali się. Agnieszka skoczyła na stół i odtańczyła taniec brzucha. Była w stroju bardziej niż niedbałym.,,Pani jest niezrównana!” powiedział Seweryn.

W dwa dni potem jedli już we dwójkę kolację w Klubie[^] Dziennikarza. Nocowała u niego.

Później...

- Obudź się - powiedział gospodarz zjawiając się z tacką. - Koniak już masz, kolacja za chwilę.

Rozstawił na stole dwa pękate kieliszki bursztynowego koloru i napoczętą butelkę napoleona. Nalał gościowi i sobie, po czym wrócił do kuchni, gdzie przeraźliwie gwizdał czajnik z gotującą się wodą. Za drugim razem przyniósł olbrzymią tacę zastawioną smakowitymi zakąskami: ryby, wędliny, sałatki, cały asortyment serów.

- To dopiero przystawki - powiedział odsuwając stolik z magnetofonem do ściany. - Gwóźdź programu to pieczarki, czekają na swoją kolej.

- O-ho-ho! Uroczyste przyjęcie! - zawołał doktor. - Czuję się zaszczycony.

- Często jadam taką kolację, tylko tyle że w samotności. To są najprostsze rzeczy.

- Zależy dla kogo. No i ten koniak...

- Napoleon to istotnie rzecz niecodzienna. Musiałem jakoś uświetnić wieczór dzisiejszy. Nasza ostatnia narada! Sam wiesz, ile dla mnie zrobiłeś. Nie będę się nad tym rozwodzić, ale doprawdy jestem ci wdzięczny.

- Dobra, dobra. Nie ma o czym mówić. Co to?... Słyszałeś ten szmer?

- Nic nie słyszałem.

- A ja słyszałem wyraźnie. Jakieś skrobanie na klatce schodowej. Może ktoś nas podsłuchuje?

- Zaraz sprawdzę - Wołodko wyszedł na palcach i znienacka uchylił drzwi. - Przesłyszało ci się - powiedział wracając. - No,

zaczynamy. Nasze kawalerskie!

Obaj z namaszczeniem pociągnęli z kieliszków.

- Znakomity - orzekł doktor. - Czuję, że powróci mi apetyt.

- Radzę zacząć od sardynek.

- Trochę się boję. Spróbuję na razie kawałek szynki z bułką. I wiesz co? Wykwintna kolacja wymaga wykwintnych tematów. Nie psujmy jej rozmową o sprawie.

- Masz rację. Nie wolno tak w kółko, można dostać kręčka. Na moim zegarku jest ósma dwadzieścia. Robimy przerwę na pół godziny. Chyba starczy?

-Aż nadto!

I doktor z widoczną rozkoszą znów pociągnął z kieliszka.

Rozdział trzeci

Eliminacje

- Zapal gauloise'a - powiedział gospodarz, odzierając niebieską paczkę z celofanu. - Jak przyjęcie, to przyjęcie.

Byli już po kolacji. Rozmawiali cały czas o rzeczach postronnych. Na przykład o pokerze i brydżu, w których obaj celowali.

Kapitan wołał pokera, bo daje większe emocje: wysokie stawki, bluff, ryzyko dużej przegranej. Dawniej nawet bywał przyczyną samobójstwa - kiedy jakiś potentat w ciągu jednej nocy przemieniał się w nędzarza. Doktor wołał brydża, ponieważ nie posiadał zaplecza finansowego, które pozwalałoby na prawdziwy rozmach w grze. Pokerzysta bez rozmachu z góry skazany jest na klęski.

Potem przeszli na temat filmów wojennych, omawiali też filmy kryminalne. Zaczęli od doskonałej komedii teatralnej, później przerobionej na ekran: „Arszenik i stare koronki”. Dziś to już utwór niemal klasyczny, który jako pierwszy potraktował zbrodnię na wesoło, odzierając ją ze wszelkiej grozy.

- Praojcem tego gatunku na ekranie był Chaplinowski „Monsieur Verdoux” - zauważył Gellert. - Ileż ma on teraz potomków na świecie! Zjawisko charakterystyczne dla czasów,

powojennych: ludzie przesyleni grozą pragną wyrugować ponure wspomnienia za pomocą humoru.

Zaczęli przypominać sobie najcenniejsze pozycje: „Czerwoną Oberżę” z Fernandem, „Siódme niebo” z Danielle Darieux, całą falę podobnych filmów angielskich, w rodzaju „Jak zabić wujaszka”. W tych obrazach humor makabryczny osiąga perfekcję: każdy nowy trup, z góry zapowiedziany i niejako przez widza już upragniony, witany jest salwami śmiechu.

Omawiali też kryminały „na serio”. Dłużej zatrzymali się przy „Rififi”, gdzie zademonstrowano doskonały sposób obrabowania paryskiego jubilera. Po starannej inwigilacji całego domu włamywacze przebijają sufit pustego mieszkania nad sklepem jubilerskim, dostają się do skarbów i znikają bez śladu.

- Kilkakrotnie obejrzałem „Rififi” - powiedział kapitan. - Nie tylko dla jego wspaniałej konstrukcji i wykonania. Pokazano tam, jak niezmiernie ważną rzeczą w zawodzie złodziejskim jest precyzja i, rzec by można, dyscyplina pracy. Brakoroby i bumelanci sami pchają się do wsypy. Przecież- ten zespół włamywaczy jest znakomicie zgrany i fachowo wyćwiczony! Niejeden dyrektor zakładu produkcyjnego musiał czuć zazdrość. To dopiero była brygada przodująca!

- Jednak znalazł się i wśród nich jeden niezdyscyplinowany - wtrącił sceptycznie doktor.

- No i właśnie on położył całą imprezę. Gdyby nie skusił się na głupi pierścionek, który skradł „prywatnie”, na własny użytek, wszystko byłoby okej. Zaofiarował pierścionek rewiowej dziwie, i przez to wszyscy wpadli. Masz więc i morał: najpierw obowiązek, potem dopiero sentyment. Można by nazwać „Rififi” produkcyjniakiem dla przestępców.

- Za dobry film na produkcyjniaka - zaprzeczył Gellert. - Mnie uderzyło w nim jeszcze jedno: powiedziałbym, jego humanizm.

- Humanizm?

- Właśnie. Ukazuje złodziejską część przestępczego podziemia z dużą wnikliwością i ciepłem. Są to wykolejeńcy, owszem, lecz nie wiadomo, czy z własnego wyboru. Życiorysy ich, zaledwie naszkicowane, każą myśleć o genezie socjologicznej. Wiemy,

jakie to ważne.

- Tak, zwłaszcza w świecie kapitalistycznym, pokazanym tam bardzo szyderczo.

- W każdym. Główny bohater jest postacią tragiczną. Po wyjściu z więzienia okazuje się jakby zawieszony w próżni, straciwszy pozycję wybitną wśród swoich, a nie mając odwrotu do „przyzwoitych”, bo nie posiada pieniędzy. Toteż ginie śmiercią dramatyczną, zaskarbiając sobie współczucie widzów.

- Właśnie to jest stroną szkodliwą filmu.

- Myślisz? Nie jestem tego pewien. Tym bardziej że ci sympatyczni włamywacze giną w walce z gatunkiem o wiele groźniejszym, bo z gangsterami, specjalistami od mokrej roboty. Przyznaj, że w każdym społeczeństwie obywatele wolą być okradzeni niż zabici.

- Tylko na zasadzie „z dwojga złego”.

- Spytaj się pani Marczak. Ż pewnością wołałaby, żeby jej córka została tylko okradziona.

- Płacisz karne! - z udanym oburzeniem krzyknął kapitan. - Poruszyłeś temat zakazany.

Wycofali się więc z tego tematu, pozostając jednak na terenach zbliżonych.

- Powiedz - zagadnął gospodarza Gellert - dlaczego nigdy nie pracowałeś etatowo w milicji? Przecież masz pasję do wykrywania przestępców. Czy nie nudzi ci się na stanowisku radcy prawnego?

- Owszem, nudzi się. Zdecydowały tu względy materialne. Mam kilka etatów, nie przepracowuję się, a dobrze zarabiam. Pisuję też na tematy kryminologiczne, to zaspokaja moje ciągoty w tym kierunku. Poza tym, szczerze mówiąc, gdybym chciał nosić mundur, wołałbym wojskowy.

- Jako bardziej twarzowy?

- Jeżeli chcesz - uśmiechnął się kapitan.

- Przecież i tak współpracujesz z milicją?

- Na prawach wolnego strzelca, to co innego, bez obowiązku ślęczenia w urzędzie. Ciężka to praca i niewdzięczna. Byłbym zmuszony prowadzić również i przeciętne sprawy, które są nie mniej nudne niż moje porady prawne. A tak milicja zwraca się

do mnie tylko w przypadkach wyjątkowo trudnych i ciekawych. To właśnie mi odpowiada. Wpadam w szczególny hazard, gdy tropię facetów cwanych i na swój sposób inteligentnych, którzy konstruują tak zwane „zbrodnie doskonałe”. To fascynuje. Nigdy nie polowałem na drapieżniki, lwy czy tygrysy, ale myślę, że takie polowanie daje podobne emocje.

- Nie wiem, w ogóle nigdy nie polowałem.

Rozmowa zahaczyła o problemy kryminologii w aspekcie psychopatologicznym.

Obaj nie zgadzali się z Lombroso, którego teoria „antropologicznego typu zbrodniarza” była popularna jeszcze na początku naszego stulecia. Jego główna teza - że zbrodniarze należą do określonego typu biologicznego, predysponującego ich do zbrodni (zwłaszcza specyficzna budowa czaszki) - nie znalazła potwierdzenia w późniejszych badaniach naukowych. Kryminologia dzisiejsza, w tym również polska, uznaje pewien wpływ cech wrodzonych na czyny przestępcy, większą jednak wagę przywiązuje do zjawisk społecznych, które mogą te cechy neutralizować lub, na odwrót, rozwijać.

Temat tak ich pochłaniał, że zapominali o jedzeniu. Na zakończenie kolacji Wołodko przyniósł belgijską maszynkę do kawy, włączył ją do kontaktu i z namaszczeniem zajął się przygotowaniem aromatycznego płynu. Gellert przypatrywał się sakralnym zabiegom gospodarza.

- Przypominasz czarnoksiężnika, który wywołuje duchy - rzucił z rozbawieniem.

- Owszem, wyczaruję cudotwórczy napój, który przywróci nam prężność mózgu.

Za kwadrans dziewiąta, delektując się wyśmienitą kawą, z pewnym zadowoleniem uznali, że przerwa się skończyła.

- Wznawiamy obrady - oznajmił Wołodko. - Proponuję zrobić przegląd kandydatów na winowajcę. Kto referuje?

- Oczywiście ty. Będę tylko uzupełniał twoją relację w miarę potrzeby. Myślałem nad tą sprawą, kiedy ty przyrządzałeś kolację.

- Dobrze. W toku śledztwa, odrzucając najmniej wiarygodne kandydatury, ustaliłem (przy twojej wydatnej pomocy!)

następującą listę. Numer jeden: Kazimierz Dudek.

- Przecież dziś załatwiliśmy go odmownie?

- Toteż nie będziemy do niego wracać. Po prostu wymieniam podejrzanych według kolejności chronologicznej. Numer dwa: Witold Gracz. Numer trzy: Piotr Olgierd Nadomski. Numer cztery: Władysław Jankowski. Numer pięć: Seweryn Milski. Zgadza się?

- Tak. Potwórz, proszę, dlaczego wyeliminowałeś całkowicie kobiety, mimo że niejedna chętnie ukatrupiłaby Agnieszkę z zazdrości.

- Ze względów oczywistych. Wiemy, że ofiara została uśpiona nie na tapczanie, a gdzie indziej, prawdopodobnie w fotelu. Otóż Agnieszka miała 174 centymetry wzrostu i wagę przepisową, ponad 60 kilogramów. Udźwignąć bezwładne ciało śpiącego człowieka tej wagi i przenieść je na tapczan - to zadanie ponad siły kobiety. Chyba że jest polską Dumbadze. Takich w otoczeniu zabitej nie było.

- Przekonywające. Więc zajmijmy się mężczyznami. Rozpatrzmy przede wszystkim kwestię alibi, to automatycznie usunie jeszcze parę osób z naszego pola widzenia.

- Pod względem alibi Dudek wygląda fatalnie - referował dalej kapitan - ale uznaliśmy przedtem, że to nie jest moment decydujący. Czy mam do tej kwestii powrócić?

- Nie warto. Rozważyliśmy ją dość szczegółowo.

- Owszem. Co do Witolda Gracza, ten ma alibi murowane. Pierwszego lutego wyjechał do Nieborowa, gdzie kręcił w okolicznych wsiach krótkometrażówkę na tematy rolnicze. Nocował w pałacu filii Muzeum Narodowego. Wrócił do Warszawy w środę dziewiątego lutego, natychmiast po przeczytaniu w gazetach nekrologu o śmierci Agnieszki. Alibi nie do zaatakowania.

- Nie powiedziałbym - zaprzeczył Gellert. - Mówisz, że w pałacu tylko nocował?

- Tak.

- Czy pojechał do Nieborowa swoim wozem?

- Jak zwykle.

- Przy sprzyjającej pogodzie można dobrym samochodem

obrócić tam i z powrotem w ciągu niecałych dwóch i pół godzin.'

- Co masz na myśli?

- Nie jest wykluczone, że w niedzielę szóstego wyjechał, dajmy na to, koło dziesiątej, a wrócił po pierwszej.

- Nikt nie zauważył, żeby był nieobecny.

- Nikt też nie miał powodu zwracać na to uwagi. Przyjeżdżał na nocleg w porach nieregularnych, nieraz już po kolacji, wóz zostawiał przed bramą. Mieszkał w samym pałacu czy w oficynie?

- W oficynie.

- No widzisz. Tam nie zamyka się drzwi wejściowych na noc, nie musiał budzić dozorcę.

- Sądziś więc...-stropił się Wołodko.

- Nic nie sądzę. Po prostu przy okazji wskazuję przykład, jak zawodne mogą być niezawodne alibi, a z drugiej strony, jak mylące mogą okazać się okoliczności podejrzane. Akurat co do Witolda Gracza nie mam podejrzeń, nie kwestionuję jego alibi. Gdyby nawet wcale go nie miał, też skłaniałbym się do twierdzenia, że to nie on zabił Agnieszkę.

- Więc wykluczasz jego winę?

- Zupełnie. Mimo że gdyby istotnie zjawił się u niej tego wieczora, to właśnie z nim, swobodniej niż z kimkolwiek innym, mogłaby się napić wina.

- Dlaczego?

- Bo miała do niego zaufanie. I nie bez podstaw. A propos, czy to on zorganizował potrójną zamianę mieszkania dla jej kuzynki Jankowskiej?

- Tak, on. Znał parę małżeńską, która mieszkała osobno, na różnych krańcach Warszawy; kiedy urodziło się im dziecko, brak wspólnego mieszkania stał się bardzo dokuczliwy. Oboje są filmowcami, mają pieniądze, więc zaczęli usilnie poszukiwać dwupokojowego lokum, biorąc główne wydatki na siebie.

- Gracz zajął się tym na prośbę Agnieszki?

- Tak. Zawsze, kiedy tylko się do niego z czymś zwracała, robił wszystko, co było w jego mocy.

- Wiem o tym - potwierdził doktor. - Otóż wydaje mi się, że w

jego wypadku, podobnie jak z Dudkiem, wysuwa się na czoło aspekt psychologiczny sprawy. Jego osobowość nie pasuje do tego mordu. Jest dobroduszny i niepamiętliwy, a strukturę myślową ma jednokierunkową i raczej bierną. Wątpię, by w jego mózgu powstał plan tak przebiegły, oparty na zręcznym oszukiwaniu ofiary.

- Mnie też się tak zdaje.

- A najważniejsze, że naprawdę kochał Agnieszkę. Nie tym uczuciem, które opiera się na prawie własności. Trudno by zaliczyć go do mężczyzn, którzy traktują ukochaną kobietę jak przedmiot posiadania, jak rzecz i wolą ją raczej zniszczyć, niż odstąpić innemu. Po zerwaniu, które nastąpiło przeszło półtora roku przedtem, Gracz zachował z nią przyjacielskie stosunki, mimo że wiedział o jej następnych romansach.

- Nie mam zastrzeżeń. Można skreślić Gracza z listy kandydatów?

- Należy.

Wołodko sięgnął po następną teczkę:

- Przechodzimy do Nadomskiego. Jego alibi jest dość dziurawe. Dało się jednak mniej więcej ustalić, jak spędził niedzielny wieczór i noc. Do dziesiątej trzydzieści, jak twierdzi, był w domu, na co nie ma świadków. O dziewiątej widziano go w Kameralnej. Siedział przy osobnym stoliku, bo po skandalu w SPATiF-ie unikał towarzystwa.

- Wcale mu się nie dziwię.

- W godzinę później, czyli gdzieś koło jedenastej, skończył kolację i opuścił lokal, wypiwszy sporo alkoholu. Zeznali to obserwujący go z ciekawością goście oraz obsługujący kelner.

- A gdzie poszedł z Kameralnej? Właśnie zbliżała się krytyczna godzina.

- Otóż to. Nie wiadomo, jak spędził czas między jedenastą a dwunastą. Utrzymuje, że spacerował, schodząc Książęcą w dół do Parku Kultury, i nie spotkał znajomych osób. Zważywszy na późną godzinę i mało zaludnioną dzielnicę, jest to prawdopodobne.

- Tak, dosyć.

- W każdym razie kwadrans po pierwszej znalazł się w

Melodii na Nowym Świecie. Znów siedział przy osobnym stoliku, dużo pił i, jak oświadcza kelner, był wyjątkowo ponury, zdenerwowany. Do nikogo się nie odzywał i wyszedł niedługo przed zamknięciem lokalu. Poszedł stamtąd widocznie do domu, co już nie jest dla nas ważne.

- Alibi, krótko mówiąc, kiepskie. -

- Właściwie żadne. W ciągu godziny, kiedy odbyło się uśpienie ofiary i odkręcanie kurków, mógł znajdować się na miejscu zbrodni.

- Trudno jednak przypuszczać, żeby po tej drastycznej scenie w SPATiF-ie Agnieszka wpuściła go do mieszkania i częstowała winem.

- Trudno, ale nie całkiem niemożliwe. Należy wziąć pod uwagę nieobliczalne zmiany jej nastroju. Może zjawił się zdruzgotany, bardzo nieszczęśliwy, więc poczuła wyrzuty sumienia?

- Tak, to niewykluczone. Dodajmy, że w aspekcie psychologicznym, który uznaliśmy za najważniejszy, wiele świadczy na jego niekorzyść. Ja osobiście ustawiłbym go nie na trzecim, lecz na pierwszym miejscu na liście podejrzanych - oznajmił doktor.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim dlatego, że miał bardzo mocny powód do zbrodni: zemstę. Czy rozumiałeś dogłębnie jego charakter? Cechuje go zaciętość, chorobliwa ambicja męska, żądza górowania nad otoczeniem za wszelką cenę, żeby zrekompensować swoje upośledzenie fizyczne. Nadomski z usposobienia należy dej osobników, którzy w ostateczności nie cofną się przed czynem zbrodniczym. Ale...

- Zlituj się! Widzisz tu jeszcze jakieś „ale”? Brak alibi, odpowiednia konstrukcja psychiczna, potężny motyw do ' zamordowania kobiety... Czy tego jeszcze za mało?

- Na dowód swojej niewinności ma coś lepszego niż alibi. To z pewnością jedyny wypadek, kiedy karla budowa ' jest dla niego błogosławieństwem. Po prostu nie udźwignąłby śpiącej Agnieszki.

- Brałem to i ja pod uwagę. Zastanówmy się jednak: jeżeli działał w afekcie, to w tym stanie siły człowieka niemal się ustokrotniają.

- Afekt, jak zgodziliśmy się od początku, w tym wypadku jest wykluczony. To mord z premedytacją, dokonany z zimną krwią i wyrachowaniem.

- Tak, prawda. Więc Nadomski odpada.

- „Bardzo żałuję”, jak powiedziała na owym jubileuszowym wieczorze Agnieszka.

- Dlaczego żałujesz?

- Bo jestem głęboko przekonany, że gdyby Nadomskiego nie wyręczył ktoś inny, wcześniej czy później popełniłby ten mord, znajdując dogodniejszy dla siebie sposób. To zresztą w tej chwili nie jest dla nas istotne.

- Rzeczywiście. Czy możemy teraz przejść do Jankowskiego? - z ulgą zapytał Wołodko.

- Jak najbardziej.

- Jest obecnie twoim pacjentem, więc ty będziesz mówić o nim obszerniej. Zreferuję tylko kwestię alibi.

Sięgnął po jakiś papierek i przejrzawszy go ciągnął dalej:

- W listopadzie ubiegłego roku, jak wiesz, Jankowski przeniósł się do komunalnego mieszkania. Ma za sąsiadów rodzinę listonosza, cztery osoby zajmujące pozostałe dwa pokoje. Ci sąsiedzi zeznali, że od chwili wprowadzenia się do nich Jankowski pił bez przerwy, nie oglądali go nigdy w stanie trzeźwym. Toteż w niedzielę zawsze starali się gdzieś wyjechać, najczęściej na wieś pod Warszawą, do krewnych. Tak było i w krytyczną niedzielę. Wrócili wczesnym rankiem w poniedziałek siódmego lutego. Czy Jankowski był u siebie w pokoju, nie wiedzą. Tyle w sprawie alibi.

Doktor nie od razu zabrał głos.

- Sprawa Jankowskiego jest bardzo trudna. Nie pod względem psychopatologii, lecz z punktu widzenia śledztwu. Bardzo złożona i trudna.

- Mówiłeś rai o tym.

- Badałem go z największą skrupulatnością jako lekarz prowadzący i jako rzeczoznawca milicji. I wciąż jeszcze nie mam jednoznacznej opinii. Wchodzą tu w grę bardzo różnorodne elementy i nie wiadomo, które z nich dominują.

- Co masz na myśli?

- Na przykład, w sposób dwojaki można interpretować już to, że do naszego szpitala przyszedł z własnej woli, co nałogowym alkoholikom rzadko się zdarza. Podejrzane?

- Bez wątplenia.

- A z drugiej strony mogła go do tego zmusić zwykła konieczność materialna. Wyprzedał już wszystkie meble, ubrania i wartościowe rzeczy, które zostawiła mu odchodząc Jankowska. Nie pracował, więc nie miał z czego żyć. Prawdopodobnie w ostatnich dniach po prostu głodował. Szpital okazał się dla niego jedynym miejscem, gdzie miał zapewnione wyżywienie. Już raz przebył kurację odwykową i wiedział, że w takim zakładzie karmią znośnie i chorych traktują po ludzku.

- Taka interpretacja oczywiście też nie jest wykluczona. Mów dalej.

- Drugi moment dwuznaczny. Zjawił się u nas akurat w poniedziałek siódmego, czyli od razu po zgonie Agnieszki Marczak. Zbieg okoliczności?

- Raczej wygląda na to, że szukał schronienia przed organami ścigania.

- To pierwsze, co się nasuwa na myśl. My, lekarze, a tym bardziej wy mało wierzycie w takie zbiegi okoliczności. A jednak nie należy ich wykluczać. Może zdecydowany był na pójście do szpitala już w niedzielę, ale musiał poczekać do poniedziałku, bo w niedzielę przyjmujemy chorych tylko w wypadku nagłego obłąd.

- Znów masz rację.

- Po badaniach stwierdzono u niego paranoję alkoholową ze wszystkimi typowymi objawami, jak od dawna zakorzenione urojenia i tak dalej. Paranoja trwa zwykle latami, z trudem poddaje się leczeniu i bezwzględnie wymaga kuracji szpitalnej.

- Czy paranoję stwierdzono już w zakładzie poprzednim?

- Nie, wtedy postawiono diagnozę „halucynozę alkoholową”. Ale od tego czasu zniszczenia poczynione w jego organizmie przez notoryczne pijaństwo, zwłaszcza rozchwianie ośrodkowego układu nerwowego, daleko posunęły się naprzód. Wystąpiły dysforie gniewliwe i częste kulminacje efektów, doprowadzające do awantur. Zdarzało ci się stykać z

paranoikami tego typu?

- Owszem, nieraz. Niektórzy moi podopieczni do nich należą.

- Więc obraz choroby Jankowskiego nie jest dla ciebie nowy. Mają oni zazwyczaj głęboko utrwalone urojenia wyobrazeniowe. Głównym takim urojeniem Jankowskiego od kilku lat było podejrzenie, że małżonka chce go pozbawić mieszkania. Wkrótce tym podejrzeniem objął również Agnieszkę.

- Dlaczego?

- Bo kiedy po raz pierwszy zabrała kuzynkę do siebie i zaczęła ją namawiać na rozwód, Jankowski ubzdurał sobie, że knują intrygę, żeby w żoliborskim mieszkaniu została tylko Marcelina, a wtedy ona miałaby, jak się wyraził, „wygodne gniazdko na flirty”.

- To nawet było logiczne.

- Na swój sposób. Urojenia zawsze są w jakimś stopniu logiczne, tylko że nie zgadzają się z rzeczywistością. Przy paranoi alkoholowej najczęściej występuje tak zwane urojenie niewiary małżeńskiej, kiedy chory zupełnie bezpodstawnie podejrzewa żonę o zdradę. W tym wypadku jednak chory, jak można sądzić, miał tak bezpłciowy stosunek do swojej żony, że nawinęło mu się urojenie na temat mieszkaniowy. W ogóle w ich układzie małżeńskim dominowały kwestie bytowo-materialne. Przecież od wielu lat był wyłącznie na jej utrzymaniu.

- Dziwne, że Jankowska tak długo się na to godziła...

- I ona ma kompleks: lęk przed samotnością. To znacznie przedłużyło sprawę ich rozejścia się. Kiedy wróciła do domu po pierwszej ucieczce, Jankowski zabronił jej widywania się z Agnieszką, groził, że „rozwali jej prześliczną buzię”. A przy spotkaniu z żoną na rozprawie sądowej zagroził już wręcz, że Agnieszkę zabije. I, co jest szczególnie znamienne, powołał się na swoją niekaralność, argumentując, że cierpi na halucynozę alkoholową.

- To by świadczyło, że obmyślał jakiś konkretny plan, czy tak?

- W każdym razie najłatwiej to tak zinterpretować. Potem, jak wiadomo - przy wydatnej pomocy Agnieszki, Jankowska uzyskała rozwód, a Jankowski stracił żoliborskie mieszkanie i

znalazł się w sublokatorskim pokoju, znacznie gorszym od tego, który zajmował przed ożenkiem.

- Czyli sprawdziły się jego obawy.

- No, właśnie. Przyznaj, że nawet w zdrowym, a nie rozchwianym umyśle taki obrót sprawy mógłby skonkretyzować podejrzenia, które legły się w jego mózgu od paru lat. Wtedy zagroził, że zabije Agnieszkę, a potem żonę.

- W jakim jest stanie teraz?

- W ciągu pięciu miesięcy od czasu do czasu dała się zauważyć nieznaczna poprawa, która się jednak po paru dniach cofała. Na ogół pozostaje on w stanie nie wróżącym zmian w najbliższym okresie. Raz miał majaczenie nocne, co u paranoików jest wyjątkowo rzadkie. Zjawił się przed nim obraz jakiejś zabitej kobiety. Na badaniu uchyla się od jasnych odpowiedzi, powołując się na zanik pamięci. Całkowicie ukrył znajomość z Agnieszką i panią Marczak. Takie są fakty.

- Trzeba bez ogródek powiedzieć, że te fakty są w wysokim stopniu podejrzane.

- I tak, i nie. Jako lekarz stwierdzam, że mogą one zarówno dowodzić jego winy, jak też świadczyć tylko o jego ciężkim stanie chorobowym.

- Wytłumacz to jaśniej.

- Czy Jankowski mógł zjawić się w ową niedzielę u Agnieszki z ukartowanym planem zabójstwa? Mógł. Stany obsesyjne niekiedy do tego doprowadzają. Czy mogła go przyjąć i poczęstować winem? Sam przed chwilą wspomniałeś o nieobliczalnych zmianach jej nastroju.

- No, wiesz... Mówiłem to w związku z Nadomskim, tu jednak rzecz przedstawia się inaczej. Jankowski dwukrotnie groził, że ją zabije, Marcelina jej to powtórzyła.

- Ale Agnieszka lekceważyła te groźby, o czym też wiemy. Widząc go w stanie zupełnego rozkładu i poczuwając się w pewnym sensie do winy, mogła ulec odruchowi współczucia. Czy mieści się to w jej charakterze?

Kapitan zastanowił się.

- Mieści się. Skąd ty to wszystko wiesz? - powiedział, wpatrując się ze zdziwieniem w Gellerta. - Doprawdy, zdumiewa

mnie ta twoja umiejętność dotarcia do najskrytszych odruchów człowieka.

- Wiem z obowiązku - uśmiechnął się ironicznie doktor. - Za to mi płacą i za to, między innymi, dostałem dziś pyszną kolację.

- Przeceniasz ją - skromnie zaprzeczył gospodarz.

- Nie udawaj, sam jesteś z niej dumny. A co do najskrytszych odruchów, chciałbym również dobrze zgłębić charakter zabójcy, zanim zasiądzie na ławie oskarżonych.

- Z ciekawości zawodowej?

- Nie. W ramach TOCZ, tak zwanej troski o człowieka.

Obaj głośno się roześmieli i ta chwila odprężenia dobrze im zrobiła.

- Więc zgadzamy się, że Jankowski mógł spędzić wieczór niedzielny z Agnieszką. W takim razie przebieg krytycznego wieczoru jest nam mniej więcej znany.

- To też prawda.

- Przedstawiłem jeden z ewentualnych wariantów. Ale nie wykluczony jest także inny. Mimo obsesyjnej nienawiści do Agnieszki Jankowski mógł poprzestać na chorobliwych wizjach' dokonanego morderstwa. Odbiera on wrażenie zmysłowe bez realnego bodźca, ma zniekształcone rozeznanie rzeczywistości. Czyn fikcyjny, popełniony jedynie w jego wyobraźni, mógł uważać za rzeczywiście popełniony.

- I stąd postać zabitej kobiety, która mu się w nocy ukazała?

- Tak. Nie zapominaj, że ostatnio pił bez opamiętania, mało więc prawdopodobne, żeby był zdolny do precyzyjnego obmyślenia skomplikowanego, bądź co bądź, planu morderstwa z upozorowaniem samobójstwa. Na tym upozorowaniu ostatecznie nie tak bardzo mu zależało, ponieważ istotnie jest niekaralny z powodu swojej choroby.

- Nie zamierzał przecież spędzić całego życia w domu wariatów!

- Ale tych paru lat, jakie tam przeżyje, w zupełności wystarczy, żeby dochodzenia skierować w inną stronę i przy szczęśliwych dla Jankowskiego okolicznościach skazać za tę zbrodnię kogoś innego. Mógł liczyć i na to.

- To by już świadczyło o bardzo przytomnym rozumowaniu.

Sam sobie przeczysz.

- Tylko pozornie. W podobnych wypadkach bywają przejaśnienia umysłu, chociaż przejściowe. Ale szczególnie ten w ogóle nie jest istotny. Na zakończenie przejdę do punktu, który w moim pojęciu może zaważyć na podsumowaniu sprawy Jankowskiego.

- Jaki? Ciekawe...

- Dla nas nienowoty. Jankowski w chwili przybycia do szpitala był pod względem fizycznym kompletną ruiną.

Więc on także nie potrafiłby udźwignąć uspięonej ofiary i przenieść jej na tapczan. Jeżeli dotąd szale „za” i „przeciw” można było uważać za równie obciążone, to właśnie ten argument przechyla w dół szalę „niewinien”.

- Wyłożyłeś to niezwykle jasno, nie mam nic do dodania

- powiedział kapitan, przynosząc z szafki butelkę kryniczanki i porcelanowe kubki z wizerunkiem krynickiej pijalni.

Obu natychmiast przypomniały się kąpiele i syk pęcherzyków w wannie.

- Jak ja lubię z tobą pracować, Leszku! - powiedział gospodarz.

- To prawdziwa gimnastyka umysłowa, która człowieka odświeża.

- Mogę ci się odwzajemnić tym samym komplementem

- zrewanżował się doktor.

- Więc ogłaszamy wyrok uniewinniający dla Jankowskiego?

- Nie. Mówiąc ściślej, tylko skreślamy go z listy podejrzanych, z braku niezbitych dowodów.

- Czy to nie wychodzi na jedno? Praktycznie rzecz biorąc, jedynie to nas w obecnej chwili interesuje.

- Jeżeli zapomnimy o takiej drobnostce, jak rzeczywisty obraz zbrodni, który usiłujemy wykryć.

- Do dalszych poszukiwań Jankowski nie jest nam potrzebny, skoro obaj skłaniamy się do wniosku, że poprzestał na złych chęciach i nie zabił Agnieszki. Możemy więc dać mu spokój, i tak już ma za swoje.

- Masz rację. W tym wypadku psychiatria i kryminologia mogą podać sobie ręce.

- Wypadek chyba nie taki znów rzadki?

- Jak by to powiedzieć? - zastanowił się doktor. - Nasze dziedziny nauki mają parę punktów stycznych, ale pod wieloma względami zasadniczo się różnią.

- Na przykład?

- Różnią się, jak mi się zdaje, głównie w jednym punkcie.

Nas, na równi z chorobą, obchodzi sam pacjent, człowiek. Chcemy go ratować, to pierwszy cel. Was obchodzi społeczeństwo, chcecie przede wszystkim chronić je przed elementem groźnym, zakłócającym ustalony w tym społeczeństwie porządek. Przestępca, z którym stykacie się twarzą w twarz, jest dla was przede wszystkim tropionym wrogiem, a nie człowiekiem. Pragniecie go odizolować, to wasz cel pierwszy.

- To jest zrozumiałe. W ostatecznym jednak wyniku my też troszczymy się o człowieka, bo o społeczeństwo.

- Bezsprzecznie. Tylko że bardziej abstrakcyjnie. Społeczeństwo - to pojęcie daleko mniej konkretne niż żywy człowiek. A to określa różnice w nastawieniu i w pożądanych cechach kryminologa i psychiatry.

- Chyba masz rację. A jak widzisz nasze cechy wspólne?

- No, chociażby hazard myśliwski, tak nam w pracy przydatny.

Gellert rozwinął swój pogląd. U podstaw obu specjalności leży tropienie - chorób i przestępstw. I obie wymagają znajomości psychiki ludzkiej, normalnej i wypaczonej. Obiekt ich badań, przestępca czy umyślowo chory, opiera się tym badaniom, choć z różnych powodów. Trzeba więc używać złożonej techniki obserwacji, rozmów, zasadzek, nacisku itd., żeby w końcu dotrzeć do prawdy.

- Mówiąc nawiasem, z prawdy tej robimy odmienny użytek - dodał doktor. - My obracamy ją na korzyść badanego, bo go leczymy, wy zaś wymierzacie mu karę. Istotna różnica.

- No, wiesz! Jeżeli chory na kilka lat trafia do waszego zakładu, to też mała przyjemność.

- Trafia tylko wtedy, jeżeli to jest konieczne dla jego kuracji. W naszych zakładach wcale nie jest tak źle, jak głosi fama powszechna. „Dom wariatów” jako piekło - to przestarzałe wyobrażenie nie odpowiadające rzeczywistości dzisiejszej.

- A ja ci powiem, że pobyt w więzieniu też musi być traktowany jako swego rodzaju kuracja profilaktyczno-społeczna. Tak jest w założeniu.

- A w praktyce?

Kapitan zrobił niepewną minę i obaj się roześmieli.

- Cóż, twoim zdaniem, jest cechą szczególnie pożądaną w naszych specjalnościach? - spytał gościa.

- Intuicja i dar wnikliwej obserwacji. W pojęciu laików intuicja jest przeciwieństwem świadomości i wynika z jakichś innych, tajemniczych źródeł, a nie z doświadczenia i świata konkretów. A w istocie intuicja to tylko ukryty głębiej w naszej psychice aparat spostrzegawczy, bardziej wyczulony i doskonały. Sygnalizuje nam to, co może ująć uwadze naszej świadomości, kontrolującej bardziej namacalne spostrzeżenia naszych zmysłów. Takie przynajmniej jest moje przekonanie, z którym nie każdy z kolegów się zgodzi.

- Że intuicja jest dla nas narzędziem niezastąpionym, przekonałem się wiele razy - potwierdził gospodarz. - Kiedy intuicja popada w konflikt z logiką rozumową, najczęściej skłaniam się ku tej pierwszej. I rzadko tego żałuję. Tym bardziej że po wykryciu prawdy zazwyczaj się okazuje, iż na poparcie tezy intuicyjnej istniały przesłanki w samej rzeczywistości.

- Zdaje si^ę, tak było w sprawie Dąbrowy, którą rozwiązałeś metodą bardzo oryginalną?

- Tak, między innymi. Oryginalną i, w gruncie rzeczy, na własną rękę. Ufaj mi, mam znaczny margines swobodnego działania.

- A wiesz, co ci powiem? - rzucił w zamyśleniu Gellert. - Istnieje pewien czynnik, od nas niezależny, który nieraz wypowiada swoje słowo decydujące, ostatnie.

- Jaki?

- Przypadek, zwykły przypadek, czy też zbieg okoliczności albo zrządzenie losu, jak kto woli.

- Oryginalny pogład! - zawołał Wołodko.

- Sprawdzony przez życie. Przypadkowość ma swoją regularność, dla nas nieuchwytną. Ale, jak dobry myśliwy na odległość, szóstym zmysłem wyczuwa zwierzynę, tak niektórzy

ludzie wyczuwają korzystny lub niepomyślny przypadek. I ten właśnie dar uważam za najcenniejszy.

- To, co mówisz, zalatuje metafizyką.

- Może moja wiara w przypadek jest nieco metafizyczna - przyznał doktor - ale niezupełnie. Wydaje mi się, że sędzia śledczy albo psycholog nie uwzględniający roli przypadku jest fachowcem z felerem i przypadek rzadko bywa dla niego łaskawy. Ja osobiście korzę się przed panem Przypadkiem i błagam, żeby miał dla mnie względy.

- To pomaga?

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. Czy można wytropić przypadek, dla naszych poszukiwań przychylny? Wydawałoby się, że byłby to zabieg irracjonalny, lecz tak nie jest, doprawdy. Nasza mowa to potwierdza. „Zdać się na przypadek” - to zwrot niezwykle ścisły. W pewnych okolicznościach należy właśnie zdać się na przypadek. Podobnie jak wtedy, gdy nie znając drogi poddajemy się fali, aby płynąć, gdzie nas poniesie. Uśmiechasz się ironicznie?

Kapitan rozłożył ręce:

- Chcesz powiedzieć, że należy zdać się na żywioł?

- Nie zawsze, nie za często, ale czasem - tak. Nie głoszę tego jako stałej zasady postępowania, to byłoby oczywistym nonsensem. Powiedz jednak sam: czy nie zdarzyło ci się zetknąć z faktem, że właśnie przypadek spowodował wykrycie prawdy lub, odwrotnie, jej zmanipulowanie?

- Raczej nie lubię takich przypadków - pośepnie stwierdził Wołodko. - Ale my tu gadu gadu, a czas ucieka. Porzućmy tematy oderwane, choć znalazłby się niejeden porywający. Wróćmy do konkretów, czyli do kandydatury

Seweryna Milskiego. To nasz główny oskarżony, więc zajmijmy się nim z należytą uwagą.

- Jeszcze chwilę poczekaj. Dziś zgłaszam nowe dane, które zupełnie przypadkowo trafiły do mnie parę dni temu.

- Dlatego tyle mówiłeś o roli przypadku?

- Tak, między innymi to miałem na myśli. Nowe dane ustawiają w całkiem nowym świetle sprawę zamordowania Agnieszki Marczak i wymagają gruntownego sprawdzenia wielu

okoliczności.

- O rany! Czy wszystko zacznie się od początku? - z komicznym przerażeniem zawołał kapitan. - Sumienia nie masz! Ja jestem u kresu sił!

- Trudno, mój drogi. Kto ci kazał zajmować się kryminologią? Sam chciałeś. A skoro tak, miej pretensje tylko do siebie.

Doktor nalał kryniczanki i chciwie wypił kubek źródlanej wody. Na twarzy jego ukazał się błogi wyraz.

- Uzdrowiska, kąpiele, spacer... - powiedział z rozmarzeniem. - A my, jak potępieńcy, siedzimy w tę pluchę w Warszawie.

Kapitan spochmurniał.

- Bez żartów, mam tego wszystkiego dość. Ale rzeczywiście, trudno. No, wykładaj już te swoje nowe dane.

Rozdział czwarty

Postać nie całkiem nowa

- Nastaw, z łaski swojej, zeznania Kazimierza Dudka - poprosił doktor.

- Przecież z Dudkiem skończyliśmy już definitywnie?

- Interesuje mnie tylko jeden fragment jego zeznań. Tam, gdzie chłopak opisuje, jak przyszedł w niedzielę z radioaparatem, po raz drugi czy trzeci, nie pamiętam; słowem, o tym, co się działo z nim między pół do jedenastej a jedenastą wieczór.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale nastawię.

„Proszę pana - rozległ się przerażony i jękający się głos

Kazika. - Ja musiałem... musiałem oddać ten aparat, pani Marczakówna bardzo się gniewała. Powiedziała, że ją nic nie obchodzi niedziela... że jak nie przyniosę, to... Bardzo się gniewała. Przyszedłem tam ostatni raz koło pół do jedenastej. No tak... Nie było jej jeszcze.

Usiadłem na schodach do strychu. Przyszedł dozorca, popatrzył na mnie i mówi: «Że też chce się panu tyle razy dzwigać to pudło!» A ja nic nie odpowiedziałem... co mu będę tłumaczył? Niedługo czekałem, może z kwadrans. I przyszła pani Agnieszka. Taka była zmordowana, blada... Weszliśmy do

mieszkania, postawiłem radio na miejscu, chcę włączyć, żeby posłuchała, jak ładnie gra... A pani Agnieszka machnęła rękę: «Nie trzeba, Kaziku, wierzę panu na słowo... - Tak powiedziała. - Chcę trochę odpocząć, bo jeszcze ktoś do mnie przyjdzie».

- Czy nie wymieniła, na kogo czeka?

- Nie, proszę pana, ja nie pytałem. Też o tym pomyślałem, ale nic nie spytałem. «Bardzo panu dziękuję - powiedziała pani Agnieszka i podała mi rękę. - Dobranoc.» Ucałowałem jej rękę i wyszedłem... Dwie minuty tam byłem, nie więcej... Idę, a przy bramie dozorca znów do mnie: «Nareszcie pozbył się pan tego pudła, co? » Znów nic mu nie odpowiedziałem. Był pijany.

- Dokąd pan stamtąd poszedł?

- Do warsztatu...”

Doktor nacisnęła klawisz.

- Dziękuję, wystarczy.

- No i cóż w tym ciekawego? Omówiliśmy przecież już cały materiał Dudka.

- Zaznaczyłeś, że nikt nie widział, kiedy Dudek wyszedł od Agnieszki.

- Bo nikt nie zeznał, że go widział.

- A dozorca?

- Dozorca twierdzi, że go też nie widział. Przedtem widział, jak siedział na schodach, a obok postawił aparat. Było to o pół do jedenastej. Natomiast nie zauważył, żeby wyszedł.

- Właśnie to jest ciekawe. Chłopak wyraźnie mówi, że dozorca widział go przedtem i potem, i nawet dwukrotnie go zagadnął.

- Ze chłopak tak mówi, to zrozumiałe. Szukał alibi. Nie mamy żadnych podstaw, by kwestionować zeznanie dozorca na tej podstawie, że podejrzany im zaprzecza.

- Spodziewam się, że zmienisz zdanie. Przypadkowo natrafiłem, zdaje się, na trop prawdziwego winowajcy.

- Kogo masz na myśli?

- Wkrótce się dowiesz. W każdym razie śledztwo należy przedłużyć i rozprawę sądową odroczyć. Nie można rozpatrzeć sprawy, zanim się nie zbada nowych faktów.

Kapitan poderwał się z miejsca.

- Co ty wygadujesz?

- To, co dyszysz. Ale pozwól mi opowiedzieć wszystko po kolei, wtedy sam zrozumiesz, ile jeszcze jest rzeczy do sprawdzenia.

Znów nalał sobie wody i wypił trochę.

- Wyglądasz jak referent, który szykuje się do nudnego wykładu - sarkastycznie zauważył kapitan.

- Nie wiem, czy będziesz się nudził, ale moja relacja potrwa dłużej, to pewne. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Jak wiesz, pani Marczak tak ciężko przeżywała tragiczny zgon córki, że przez czas dłuższy nie można było poruszać z nią bolesnego tematu. Z tej też przyczyny nie wzywano jej do składania zeznań. Zresztą, nie było to konieczne, ponieważ w dniu popełnienia morderstwa była nieobecna w Warszawie, cały zaś domowy tryb życia zabitej dało się dokładnie odtworzyć z zeznań innych osób, jak gosposia, Magdalena Rybacka i inni bywalcy domu.

Kiedy później wtajemniczyłeś mnie w całość dochodzenia, zaciekała mnie osobowość matki, zapragnąłem zestawić zeznania świadków na jej temat z własnym wrażeniem. Była już spokojniejsza, nie na tyle jednak, żebyśmy mogli rozmawiać o Agnieszce.

Znalazły się inne tematy. Panią Marczak interesowało leczenie w ogóle, psychiatryczne w szczególności. Rozpytywała mnie o warunki, w jakich znajdują się obłąkani, o sposoby ich leczenia. Interesowała się zwłaszcza stanem Jankowskiego, Czy widać poprawę. Odpowiadałem jej o ciekawszych przypadkach. Była mi wdzięczna za tę wizytę, prosiła, abym odwiedził ją jeszcze. Obiecałem.

Kiedy miałem wolny czas, wpadałem tam - nieczęsto, raz czy dwa razy w miesiącu. Zaprzyjaźniłem się z nią i z Franciszką Kozłowską, która nadal przychodzi sprzątać, ale już tylko raz w tygodniu. Mieszkając kątem u swoich ziomeków, zameldowała się u pani Marczak, żeby tej nie dokwaterowano jakiejś obcej osoby.

Pewnego popołudnia musiałem poczekać na panią Marczak z pół godzinki, była u dentystki. Zajrzałem do kuchni. Pani Franciszka siedziała przy kuchennym stole i stawiała kabałę.

„Umie pani wróżyć z kart?” spytałem.

„A jakże, proszę pana. Dobrze umiem. Pani starsza często mnie prosiła, żebym jej powróżyła. Tylko ostatnio nie chce”.

„I pani Agnieszce też pani wróżyła?”

„Nie, panienka do tego nie miała ufności. Lipa mówiła. Nie lipa, mówię, bardzo często się sprawdza. Tym gorzej - panienka na to. Jeżeli mnie czeka coś złego, to wolę o tym nie wiedzieć. A jeżeli coś dobrego, to sama w swoim czasie się dowiem. Charakterna była nasza panienka, jak coś powie, to jej nie przegadasz”.

„A kiedy ostatni raz pani wróżyła profesorowej?”

„Chyba w środę”.

„W tym tygodniu?”

„Co też pan! Powiedziała, że teraz to pani profesorowa sobie nie życzy. To było w środę przed naszym nieszczęściem. Skończyłam ja pracę - śnieg, zawieja”.

„Niech Franciszka przeczeka, aż przestanie padać, mówi pani starsza. Powróży mi Franciszka z kart”.

„Lepiej by we wtorek lub w piątek, myślę sobie, to prawdziwe dni 4a kabałę. Ale cóż robić, jeżeli przychodzę zawsze w środy i soboty! No, i wyszło dobrze.

Wyciągnęłam ja damę dzwonkową - dla pani starszej stawiam na damę, była blondynką. Rozłożyłam karty, patrząc przy naszej damie same czerwienne. As (to własny dom,, rodzina), dziewiątka (to miłość, sympatia), jeszcze czerwień, a potem dziesiątka żółędna (to, proszę pana, musowo droga)”.

„Czy pani myśli o drodze?” pytam.

„Przecież Franciszka wie, że w sobotę wyjeżdżam do Łodzi, powiada”.

„Wiem, mówię, i karta też wie”.

„Patrząc z prawej strony, za dziewiątką czerwienią, leży walet żółędny, przy nim as wino (to dom rządowy). As wino to głupstwo, ale tuż przy nim dziewiątka tej maści. To już źle! Nie daj Boże położyłyby się obok inne czarne karty, to już . byłby koniec: żałoba albo śmierć. A tak to tylko zmartwienia. Dla tego waleta, znaczy się, nie dla naszej pani”.

„Dla pani i dla domu wielkie szczęście - mówię. - Pieniądze,

miłość i w ogóle. Jeszcze jedna osoba myśli o tej pani drodze, ten oto walet. Będzie on, widzę, miał jakieś przykrości”.

„A któż to może być, ten walet? Jak Franciszka myśli?”

„Nie wiem, proszę panią. Jakiś młody człowiek, dla domu pani bardzo życzliwy. A ta dama wino to nikt inny, tylko nasza panienka. Ona myśli o pani i o pieniądzach. Dostanie, widzę, dużo pieniędzy z rządowego domu. Czeka ją miłość i bogactwo.

No niech pan powie: czy karty kłamią? Przecież sprawdziło się”.

Przyznam się, że przy tej niespodziewanej konkluzji aż mnie zatkało.

„Jak to? Przecież panią Agnieszkę w parę dni potem zabito?”

„Nic nie znaczy, proszę pana. Ale z drogą to się kropka w kropkę zgodziło, pani starsza w sobotę wyjechała do Łodzi. No i ten walet (potem już zmiarkowałem, że to pan Seweryn) miał duże przykrości. Do dziś dnia ma, przecież go zamkli”.

- Na to mogłem tylko rozłożyć ręce - powiedział doktor i roześmiał się serdecznie.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odezwał się zniecierpliwiony kapitan. - Opowiadasz jakieś dykteryjki, tracimy czas...

- Nie tak bardzo tracimy, jak ci się wydaje. W ten sposób nawiązałem bliższą przyjaźń z panią Kozłowską, co odegrało niepoślednią rolę w postępach naszego śledztwa. Franciszka zna wszystkich mieszkańców w tej kamienicy, jest u pani Marczak niemal na prawach członka rodziny. Ale nawet Franciszce profesorowa nie pozwala wchodzić do pokoju Agnieszki, sama go sprząta. Tak że nie mogłem obejrzeć miejsca zbrodni.

Za każdym razem, widząc panią Marczak, stwierdzałem poprawę w jej stanie psychicznym. Stopniowo odzyskiwała równowagę, była bardziej opanowana, uśmiechała się już bez przymusu i szczerzej interesowała się postronnymi sprawami.

Ostatni raz byłem u niej tydzień temu. Rozmawialiśmy o różnych wypadkach na moim pruszkowskim terenie. Interesowała się, jak zwykle, głównie Jankowskim, ale innymi chorymi też. Byłem zaskoczony, kiedy przerwała mi i spytała, czy nie chciałbym zobaczyć pokoju Agnieszki. Oczywiście chciałem.

Weszliśmy razem - i muszę się przyznać, że dostałem szoku. Nie tylko ty masz wyobraźnię, nie tylko dla ciebie ta zabita dziewczyna stała się żywą postacią. Narzuciła się mojej wyobraźni równie obsesyjnie, jak tobie, chociaż ja także nigdy nie oglądałem jej za życia.

Wszyscy znający ją zaczynają swoje wspominki od jej urody. Na pewno była frapująca. Jednak myślę, że nie uroda była jej głównym magnesem. Mam przeświadczenie, że przyciągają ludzi przede wszystkim swoją osobowością - bogatą, wielostronną i spontaniczną. Posiadała wyjątkowy dar: zawsze była sobą. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka to drogocenna i rzadka właściwość. Dlatego, między innymi, działała pod wpływem impulsów, nie obliczając ich skutków. I dlatego niekiedy zrażała sobie ludzi.

- Jak na przykład Nadomskiego, Jankowskiego, Milskiego?

- I pewnie innych. Śledztwo nie mogło dotrzeć do wszystkich jej wrogów.

- Milicja zbadała duży krąg jej znajomości - sprostował kapitan.

- Zbadała, ale dość powierzchownie, trzeba to szczerze powiedzieć. W każdym razie sędzę, że właśnie jej osobowość, w tak różnych ujęciach ukazywana nam we wspomnieniach ludzi, z którymi się stykała, zafascynowała nas obu. Bo przecież jej fizyczna uroda nie może już na nas działać.

Wybacz tę liryczną dygresję.

Więc weszliśmy do jej pokoju. Znasz go, byłeś przy rewizji, ale wtedy był to nie pokój mieszkalny, lecz badane miejsce wypadku. To co innego.

Kiedy ja tam się znalazłem, pokój Agnieszki, czysto sprzątnięty, z nie doczytaną książką na biurku, otwartą na tej samej stronie, na której się zatrzymała pięć miesięcy temu, sprawiał wrażenie nadal zamieszkałego. Miało się złudzenie, że wyszła na chwilę i zaraz wróci. To właśnie wywołało u mnie szok.

Matka spojrzała na mnie, widocznie dostrzegła moje wzruszenie - i nagle się rozpląkała. Przedtem nie widziałem jej płaczącej. Mówią, że w ogóle nie płakała od dnia morderstwa.

Wprowadziłem ją z powrotem do jej pokoju, usadowiłem w fotelu, dałem kropli na uspokojenie. Prawdopodobnie te łyzy przerwały jakąś tamę w jej duszy. Kiedy się opanowała, zaczęła mi opowiadać o Agnieszce. Były to rzeczy nam już mniej więcej znane. Słuchałem jednak uważnie.

Powiedziała między innymi:

„W styczniu przyznałam się Agnieszce, że skradziono mi broszkę”.

„Jaką broszkę?”

„Platynową, z brylantami i szafirami. Prezent ślubny mojego męża, bardzo mi drogi. Miałam ją trzydzieści lat. Była naszą maskotką, nigdy bym jej nie sprzedała”.

„Kiedy ją pani skradziono?”

„Tuż przed świętami Bożego Narodzenia”.

„W jakich okolicznościach?”

„To było tak. Marcelina przyszła do mnie pożegnać się przed wyjazdem do Łądku. Martwiła się, że wyjeżdża bez grosza, bo w październiku wykosztowała się na przeprowadzkę, musiała zaciągnąć pożyczkę w szkole i spłacać co miesiąc dużą sumę. Pan doktor wie, co ta biedna Marcelina przeżyła, zanim się rozwiódła. Agnieszka miała rację, że dawno powinna było to zrobić... Agnieszka często miała rację, teraz to widzę.

Marcelina wyglądała bardzo źle, jeszcze bardziej schudła, a przecież nigdy nie była korpulentna, nie wiem, w kogo się wdała. Co prawda, teraz to taka moda, ale Marcelina już jest w takim wieku, że mogłaby się nie oglądać na modę, bo jej nie przystoi. Zresztą, co ja mówię, ona schudła z tych wszystkich zmartwień, a nie z mody. W głowie mi się płacze...

I jak na złość, ja akurat nie miałam pieniędzy, żeby jej pożyczyć. Wyjęłam więc tę broszkę ze skrytki (zawsze trzymam ją w skrytce) i powiedziałam: Zastaw to, a za parę miesięcy wykupisz i przyniesiesz mi z powrotem. Tylko nie zgub! Ale ona nie chciała. Zapewniała mnie, że w Łądku będzie miała wszystko gotowe, jedzie do koleżanki, która obraziłaby się, gdyby Marcelina chciała zapłacić. I że gdyby nawet miała pieniądze, to nie ma tam na co wydawać. Bilet powrotny już wykupiła.

Wyszliśmy razem z domu i ja zapomniałam schować broszkę z powrotem, leżała tu na sekreterze”.

„A kto został w mieszkaniu?” - spytałam.

„Franciszka. Za godzinę, już w mieście, przypomniało mi się, wróciłam czym prędzej do domu. Broszki nie było na sekreterze ani w skrytce, ani w ogóle nigdzie. Franciszka przeszukała wszystkie zakątki”.

„Czy pani podejrzewa Franciszkę?”

„Ach nie, broń Boże, jak można! Wie pan, ile lat ją znam? Dwadzieścia! Pracowała u nas, kiedy jeszcze żył mąż. Ja nauczyłam ją gotować, bo przyszła ze wsi i dosłownie nic nie umiała”.

„Czy Agnieszka pani też uczyła gotować?” - przerwałem jej.

- Jak mogłeś! - z oburzeniem zawołał kapitan, którego żywo zainteresowała historia z broszką. - Masz skłonność do wydobywania najdrobniejszych, nic nie znaczących szczegółów.

- Bo te najdrobniejsze są niekiedy bardzo wymowne. Ty też masz pasję tropienia szczegółów, tylko innego rodzaju natury nie tyle psychologicznej, co materialnej. lekarze częściej skupiają się na zjawiskach psychicznych, bynajmniej nie lekceważąc warunków konkretnych, które je powodują. Wy zaś postępujecie odwrotnie: dla was fakty mają pierwszeństwo, konsekwencje psychiczne są na planie dalszym i nieraz zostają nie docenione.

-Pierwszeństwo faktów jest naszą żelazną zasadą, inaczej być nie może. Inaczej zgubilibyśmy się w morzu dowolnych dociekań, bez żadnej busoli. Powinniśmy trzymać się twardej ziemi konkretnego. Ale analiza psychologiczna jest jednym z głównych środków pomocniczych również dla nas.

Weźmy konkretny przykład: dwóch świadków zeznaje o tym samym zdarzeniu i każdy mówi coś wręcz przeciwnego. Jeden z nich niewątpliwie podaje wiadomość mylną. Który? Dlaczego? Kłamie - czy nie pamięta dokładnie? A może cierpi na chorobliwą imaginację? Trzeba zgłębić sytuację i psychikę każdego z tych świadków, żeby ustalić, komu z nich mamy zaufać. Tak więc dopiero poprzez analizę psychologiczną docieramy do faktów.

- Słucham cię, Jurku, z wielką satysfakcją. Bo właśnie tak stało się przy zeznaniach dozorczy i Dudka. Kontrowersja w ich twierdzeniach popchnęła mnie do nowych rozważań i poszukiwań.

- Bardzo słusznie. Zdarza się tak nieraz w sprawach poszlakowych, które charakteryzuje brak dających się jednoznacznie zinterpretować dowodów rzeczowych.

- Czy zauważyłeś, że nie tylko brak faktów, lecz także ich nadmiar może sprawiać trudności?

- Oczywiście! - podchwycił gospodarz. - Mało faktów - źle, za dużo - też źle. Przecież zdajemy sobie sprawę, że w ogóle nigdy nie dotrzemy do całokształtu związanych z danym człowiekiem faktów, bo nie poznamy jego życia od a do zet. Ale trudno, z tym musimy się pogodzić, jak z nieuniknionym ograniczeniem naszych możliwości badawczych.

- Niemniej staramy się zebrać jak najwięcej wiadomości - podjął Gellert. - A zebrawszy cały ich stos, przystępujemy do selekcji. Co w tym stosie jest ważne, cenne, co zaś tylko zaśmieca pole widzenia i przesłania perspektywę? Sam wiesz, jak często musimy wyrzucać naszą zdobycz na śmietnik. Takie są koszty naszej produkcji. W miarę tego jak zbliżamy się do celu, te straty maleją, bo już lepiej orientujemy się, czego nam potrzeba. Ale na początku wydaje nam się, że wszystko może się przydać. Dlatego też zadałem pani profesorowej pytanie, które uznałeś za zbędne: czy uczyła Agnieszkę gotować.

- Na początku też obowiązuje selekcja - zaproponował kapitan. - Zresztą tydzień temu byłej już nie na początku, lecz przy samym finiszu naszych dochodzeń. Po co ci był potrzebny ten głupi szczegół?

- Nie łudź się, do finiszu jeszcze daleko. Trafiłem na zupełnie świeży trop, więc wszystko mogło być ważne.

- Dobrze już, wracaj do broszki.

- Uprzedziłem cię i powtarzam: bądź cierpliwy.

„Uczyłam ją gotować, panie doktorze - chętnie wyjaśniła profesorka - ale Agnieszka w tej domenie nie zdradzała żadnych zamiłowań ani zdolności. A w ogóle, pan wie, była bardzo, bardzo zdolna. To mówię nie tylko ja, matka; wszyscy

tak mówili: nauczyciele w szkole, profesorowie... ”

„Więc pani nie sądzi, żeby Franciszka mogła...”

„Absolutnie! To kryształ nie człowiek. Można jej powierzyć skarby, i nic nie zginie”.

„Czy ktoś przychodził podczas pani nieobecności?”

„Tak, panie doktorze, parę osób”.

„Kto mianowicie?”

„Zaraz, niech sobie przypomnę... Sąsiadka przyszła pożyczyć kilo mąki, bo piekła ciasto. Jakiś młody człowiek przychodził do Agnieszki i zostawił jej kartkę”.

„Czy wchodził do pani pokoju?”

„Nie, tylko do Agnieszki. Potem był listonosz z życzeniami, jak to na święta. Franciszka już wiedziała, że zawsze płacę mu trzydzieści złotych, to dała ze swoich. Tak samo dozorca”.

„Franciszka mu też dała ze swoich?”

„Nie. Dozorcy płacę na święta sto złotych- Franciszka uznała, że to za dużo, i dała tylko pięćdziesiąt. Więc on powiedział, że poczeka na mnie”.

„Gdzie czekał?”

„Tu, u mnie. A potem wziął tę pięćdziesiątkę i poszedł.” „Czy długo czekał w pani pokoju?”

„Franciszka mówi, że jakieś dziesięć minut, a może mniej.”

„A potem przychodził, żeby upomnieć się o drugie pięćdziesiąt złotych?”

„Nie, więcej już go nie widziałam, aż do...”

„Czy ktoś jeszcze odwiedzał mieszkanie w czasie pani nieobecności?”

„Jeszcze goniec z telegramem od mojego brata z Londynu. Zawsze wymieniamy życzenia świąteczne, to już tradycja rodzinna”.

„Goniec był tylko w przedpokoju?”

„Naturalnie! Po co miałby iść dalej?”

„A jak potem zachowywał się dozorca przy spotkaniach z panią?”

„Prawdę mówiąc, jakoś dziwnie. Zawsze był taki rozmowny, rozpytywał mnie, jak nam się powodzi, czy wydają nadal podręczniki męża, czy brat z Londynu nie wybiera się do nas...”

wszystko go interesowało. Z Agnieszką to co innego. Nie lubiła go: Po co wdajesz się z nim w rozmowy? To kreatura - mówiła mi. Ja naturalnie broniłam go: dlaczego kreatura? po co takie słowa? - Już ja wiem. Trzymaj się od niego z daleka, mówię ci”.

„Więc pani go więcej nie widziała?”

„Był tu przy rewizji. Już wróciłam z Łodzi, wezwano mnie, ale pan rozumie, byłam w takim stanie... Od tego czasu, zauważyłam to, przestał mnie zagadywać. Kłania się, i to wszystko. Czy pan sądzi...?”

„Nie wiem, proszę pani. Zawiadomiła pani milicję?” „Nie. Nie chciałam, żeby Agnieszka się dowiedziała. Bo widzi pan, panie doktorze, to jest sprawa bardzo delikatna i ma swoją historię...”

Kiedyś, Agnieszka wtedy była jeszcze w czwartej klasie, pokazałam jej tę broszkę i powiedziałam: «Patrz, to dostaniesz od nas w posagu, przyniesie ci szczęście». - I ona, niech pan sobie wyobrazi, dobrze to zapamiętała. Często potem pytała się: - Jest mój posag? Cały? Bo ona - jakież to dziwne, proszę pana! - była bardzo zabobonna. Doprawdy nie wiem, po kim to odziedziczyła, bo ani ja, ani mój mąż...

Dla niej, niech mi pan wierzy, nie miało znaczenia, że to platyna i brylanty, ani że posag - wcale nie uznawała takich rzeczy, wyśmiewała mnie, że ja mam ponoć staroświeckie poglądy. A tu przejęła się myślą, że to jej talizman, że od niego zależy, czy będzie szczęśliwą. I to, proszę zauważyć, w tak niewinnym wieku! Jak była czymś zmartwiona, prosiła: «Pokaż mi mój talizman». Później tak samo. Była dziecinna, doprawdy...”

„Cóż pani zrobiła dalej?” - spytałem.

„Powie panu w wielkiej dyskrecji: doszłam do przekonania, że to jednak dozorca wziął broszkę. Bo któż inny? Postanowiłam zebrać dużą sumę, z dziesięć tysięcy, i na osobności, konfidencjonalnie zaproponować mu, że ją wykupię. Że nie mam pretensji i nikomu nie powiem, tylko niech zwróci. Zgodziłby się, jak pan sądzi?”

„Trudno powiedzieć. Spróbowała pani to zrobić?”

„Nie mogłam od razu, bo akurat, jak już panu wspomniałam,

nie miałam pieniędzy. Musiałam poczekać z tym do marca, kiedy Wydawnictwo Podręczników Szkolnych miało mi wypłacić za wznowienie książki mojego męża.

Tymczasem chodziłam po sklepach jubilerskich i przyglądałam się: a nuż broszkę sprzedał? Taka droga rzecz na pewno czekałaby dłuższy czas na nabywcę”.

„Dlaczego pani w końcu przyznała się córce, że broszkę skradziono?”

„Musiałam, panie doktorze, byłam w sytuacji przymusowej. Agnieszka w styczniu coś przeżywała, zauważyłam to. Była bardzo pochmurna i często irytowała się bez powodu. Straciła apetyt, trudno było jej dogodzić z jedzeniem. Franciszka niekiedy przynosi kurczaki, dostaje ze wsi od krewnych; Agnieszka bardzo lubiła pieczone kurczaki, zawsze cieszyła się, kiedy były na obiad. A tu- do ust nie chciała wziąć! Wie pan, była już przy nadziei... a ja nic nie wiedziałam.

Dwudziestego pierwszego stycznia, w dniu jej imienin, sama zrobiłam tort orzechowy, jej ulubiony przysmak. I też nie jadła! A kiedy składałam jej życzenia, powiedziała: Pokaż mi mój talizman. Coś mi się zdaje, że przestał działać.

Struchlałam. Co miałam robić? Przyznałam się, dokładnie opowiedziałam, jak to się stało. Agnieszka powiedziała tylko: Czulałam to. Trudno. -I więcej o tym nie było między nami mowy”.

Kapitan słuchał z natężoną uwagą.

- Cóż, broszka oczywiście się nie odnalazła? - zapytał.

- Przygotuj się, mój drogi, do największych niespodzianek w tej dziwnej historii. Już chciałam zadać pani profesorowej to właśnie pytanie, kiedy ona podeszła do sekretery, otworzyła kluczykiem jakąś skrytkę - i ku mojemu największemu zdumieniu podała mi skórzane pudełeczko, w którym znajdowała się broszka.

- Jak wygląda?

- Wielkości włoskiego orzecha, owalna, oprawa z platyny, w środku filigranowa siateczka i trzy brylanty, po półtora karata każdy, a obwódka wysadzana szafirami. Na stronie odwrotnej - wyryty cieniutką kursywą napis: Julianna-Kajetan, na dole data:

19 136.

- No to powiedz, w jaki sposób pani Marczak odzyskała ten klejnot?

- W sposób zupełnie dla niej zagadkowy. W parę dni po pogrzebie Agnieszki Marcelina przyniosła jej tę broszkę. Patrzysz na mnie w osłupieniu? Zaraz zrozumiesz, jak to się stało. Gdzie Agnieszka spędziła ostatni wieczór sobotni?

- Sobotni? Powiem dokładnie. O szóstej widziano ją w sklepie Galluxu, kupowała pończochy. Potem odprowadziła matkę na dworzec, stamtąd pojechała chyba wprost do Jankowskiej.

- Chyba czy na pewno?

- Nie sprawdzono dokładnie. Ze zrozumiałych powodów najbardziej interesował milicję wieczór niedzielny.

- Szkoda! Gdzie nocowała?

- U Jackowskiej. Nazajutrz wróciła do domu.

- Jankowska opowiedziała mi dopiero teraz, że Agnieszka przyszła do niej bardzo zdenerwowana. Mówiła, że nie chce nocować w pustym mieszkaniu. Położyła się na kanapie, chociaż Marcelina nalegała, że odstąpi jej swoje łóżko. „I tak nie zasnę” - powiedziała Agnieszka.

Istotnie, całą noc wierciła się, kilka razy wychodziła do kuchni po wodę. Marcelina ma czujny sen, więc słyszała. Wydawało się jej nawet, że Agnieszka popłakuje. Zresztą nie jest tego pewna. Kiedy obudziła się o dziesiątej, Agnieszki już nie było.

- Do domu wróciła o dziewiątej - uzupełnił kapitan.

- Tak, zostawiła Marcelinie kartkę, że ma jakąś pilną sprawę.

- Po dziewiątej zadzwoniła do Milskiego.

- Wiem.

- Dlatego widocznie się śpieszyła, nie chciała dzwonić od Marceliny.

- Najprawdopodobniej. Jankowska zaś w niedzielę urządziła sobie relaks i dopiero w poniedziałek sprzątnęła mieszkanie. Zamiatając podłogę, pod dywanikiem przy kanapie znalazła broszkę. Wiedziała, że należy do ciotki, więc gdy oprzytomniała po tragicznych wypadkach, odniosła ją do pani Marczak.

- Ciekawe, dlaczego nic nie wspomniała o tym, składając

zeznania.

- Nie sądziła, żeby to miało jakiś związek z samobójstwem Agnieszki (wtedy jeszcze myślano, że to samobójstwo). Wywnioskowała całkiem słusznie, że broszka musiała wypaść Agnieszce z torebki, kiedy rozebrawszy się ułożyła swoje rzeczy na krzeselku przy kanapie. Mnie też najpierw nie wspomniała nic o tym zajściu. Pani Marczak nie powiadomiła jej o kradzieży, więc po prostu zwróciła ciotce broszkę i przestała o tym myśleć.

- Ale jak broszka znalazła się w tej torebce, do licha?

- Na to mogłaby udzielić odpowiedzi tylko sama Agnieszka, która w poniedziałek już nie żyła.

Kapitan znów rozpoczął wędrówkę po pokoju.

- Natrafiłeś istotnie na bardzo ciekawy trop, tylko nie zabójstwa, a kradzieży - powiedział z namysłem. - W dodatku trop się urywa. Nie widzę, w jaki sposób może to rzucić podejrzenie na dozorcę w sprawie zasadniczej. Bo przecież jego podejrzewasz, prawda?

- Rzecz jasna.

- Więc trzeba by dowieść przede wszystkim, że to on skradł broszkę, co nie będzie łatwe. Klejnot wrócił do właścicielki już dawno, śladów złoczyńcy nie uda się wykryć, zatarły je późniejsze odciski palców Agnieszki, Jankowskiej i pani Marczak. Ja też myślę, że sprawcą kradzieży był dozorca, ale nikt mu teraz tego nie udowodni. Najważniejsze zaś, nie widzę żadnego związku między kradzieżą a morderstwem.

- Ja sądzę inaczej. Dowiedziawszy się o tych nowych faktach - przyznaj, że dosyć ważnych - pomyślałem sobie, że mają jakiś ukryty związek z morderstwem. Nie wiedziałem jaki, ale na rozum i na wyczucie nie mogłem tego tropu zlekceważyć. Postanowiłem więc działać.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - spytał kapitan z łatwo uchwytną urazą.

- Zapomniałeś, że tydzień temu wyjechałeś służbowo do Krakowa na cztery dni. Nie mogłem tak długo czekać, nie chciałem marnować czasu. Zacząłem od wywiadu z Franciszką. Tu przydały mi się towarzyskie stosunki, które nawiązałem z nią przy kartach. Posunąłem się nawet do tego, że poprosiłem, żeby i

mnie powróżyła.

- Czy wywróżyła ci coś ciekawego?

- Pozwól, że ten szczegół opuszczę, jest naprawdę nieinteresujący. Ale Franciszka okazała się prawdziwym biurem informacji. Co mówię! Jest o wiele bardziej sprawna i ścisła. Od niej właśnie dowiedziałem się bardzo ważnych rzeczy o dozorczy i jego prywatnym życiu. Pamiętasz, jak on wygląda?

- Trudno by nie zapamiętać. Goryl o dziobatej twarzy, oczy jak szparki, chytre i rozbiegane. Mówi z chłopska i podkreśla, że jest prostaczkiem. Już wtedy pomyślałem, że ten prostaczek niejedno widział i potrafi.

- Zgadza się. Doskonała charakterystyka. Pozostaje mi tylko podbudować ją materiałem konkretnym, który zebrałem.

- Czy zamieniam się w słuch, jak mawia protokolant naszego majora; owszem, uszy ma odpowiednie - duże i chłonne.

- Więc słuchaj. Paweł Oszczyrko ma pięćdziesiąt pięć lat. Maria Oszczyrkowa jest starsza od niego o lat jedenaście.

- Drobnostka. Kiedy się z nią ożenił?

- Najpierw żyli ze sobą na wiarę. W roku 1936 wsiadł na trzy lata do więzienia za kradzież. Szczegółów nie znam, ale była to kradzież z włamaniem. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat. Pani Maria nosiła mu do więzienia paczki, przekazywała pieniądze, wystarała się o adwokata „z tych lepszych”, nie z urzędu. Wykazywała dużo poświęcenia i wytrzymałości, doczekała się wiernie, aż wyszedł z więzienia, tuż przed wojną. Widziałeś dozorczyńnię?

- Nie. Milicja nie potrzebowała jej w śledztwie.

- Może kiedyś była niebrzydka, dziś jest już bardzo zniszczona. Wygląda raczej na jego matkę niż na żonę. Ale jeszcze teraz jest bardzo silna, przejęła lwią część obowiązków męża. Do niedawna też była mu bardzo oddana. Mimo że maltretował ją z wyrafinowaniem fizycznie i duchowo. Ale o tym później.

Po wyjściu z więzienia Oszczyrko wkrótce ożenił się z panią Marią. Z wdzięczności czy z wyrachowania (kobieta jest bardzo robotna), nie ma znaczenia. Ważniejsze, iż przed władzą ludową ukrył smutny fakt, że siedział za kradzież. Jak wiadomo, dla dozorczy to nie jest najlepszą rekomendacją. A

postanowił, że będzie właśnie dozorcą, bo spaliło mu się przedwojenne mieszkanie. Z Warszawy nie miał zamiaru wyjeżdżać.

- A ty skąd wiesz o tej kradzieży, którą tak sprytnie ukrył?

- Od Franciszki, zwierzyła się jej Oszczyrkowa. Jest główną powiernicą nieszczęśliwej kobiety, która ma na wątrobie tysiące zgryzot. A wyjątkowe zaufanie dozorczyńi zdobyła pani Kozłowska, nawiasem mówiąc, właśnie przy kartach. Dodaje jej ducha, wciąż przepowiadając miłość, bogactwo i długi żywot. Jak niezawodne są te przepowiednie, mogłeś przekonać się, słuchając opowieści o jej wróżbie niemal w przededniu zabicia Agnieszki. A powiedziałaś, że to zbędny szczegół... Kartom dużo zawdzięczamy w tym interesie.

- Dobra, dobra. Zwracam honor.

- Przyjmuję.

- Opowiadaj dalej.

- Nie nudzi ci się?

- Opowiadajże, błźnie jeden! Długo mam czekać?

- Już opowiadam, szefie. Z licznych faktów, przekazanych przez Franciszkę, wynika, że Oszczyrce nieźle powodziło się w czasie okupacji. W więzieniu zawarł dużo cennych dla niego znajomości. Nauczył się bardziej fachowo kraść, a także rozszerzył swoje kwalifikacje. Siedział nie tylko ze złodziejami.

- Masz konkretny materiał?

- Jeżeli cię to interesuje, możesz zwrócić się o dokładniejsze informacje do dozorczyńi. Wyszedł na wolność spokrewniony ze światem przestępczym. A tu wkrótce zaczęła się wojna. Wtedy dopiero miał szerokie pole do popisu.

Okradanie Niemców i kolaborantów w ich zakładach i sklepach zaliczano do czynów patriotycznych. I tak istotnie było do pewnego stopnia. Grab grabieżców - to hasło sprawiedliwe. Oszczyrko, naturalnie, nie kierował się miłością do ojczyzny, ale na tej fali jechał. Była dla niego bardzo dogodna. Do więzienia już nie zawędrował, miał konszachty z granatową policją.

- Oszczyrkowa może to potwierdzić?

- Przypuszczalnie. Między innymi nasz prostaczek trudnił się szantażowaniem ukrywających się ludzi. Jak wyłudził od nich

wszystkie pieniądze, sprzedawał od łebka do gestapo. Nazwiska ofiar też możesz otrzymać od Oszczyrko we j.

- Czy będzie chciała gadać?

- Teraz już na pewno tak. Za chwilę ci to zresztą wytłumaczę. Krótko mówiąc, Polska Ludowa otrzymała Oszczyrkę w spadku po Niemcach w stanie, rzec można, całkowicie wyrobionym. Musiał uzbierać porządną sumkę, którą później zapewne powiększył. Warto by sprawdzić jego konto, jeżeli trzymał pieniądze w PKO, a nie obracał nimi dla dalszych machinacji.

- To sprawdzi milicja. Zastanawia mnie jedno: dlaczego pozostał w Warszawie? Powinien się obawiać wpadki, tu go znało za wiele osób.

- Kto? Jego kumple albo zeszli do stołecznego podziemia gospodarczego, albo udali się na Ziemię Odzyskane w poszukiwaniu łatwych łupów.

- Poza kumplami byli jednak też poszkodowani, którzy po wyzwoleniu mogli go rozpoznać i zaskarżyć do sądu.

- Małe ryzyko. Ci, co nie zginęli, lecz zostali przez naszego dozorcę po prostu okradzeni lub obrabowani, należeli najczęściej do Niemców czy kolaborantów, więc wyjechali z Polski albo zmienili nazwiska i ukrywają się w innych miastach. A propos, on także nie był wtedy Oszczyrką, nazywał się Baumer. Miał fałszywe papiery.

- Widzę, że wywiad przeprowadziłeś gruntowny.

- Owszem. Zostając w Warszawie, Oszczyrko dokładnie sobie obliczył szanse niebezpieczeństwa, działał niemal na pewniaka. Najlepszy dowód - że nic złego mu się do tej pory nie stało. Kto wie, czy nie więcej by ryzykował na Ziemach Zachodnich, dokąd udała się większość jego koleżków. Gdyby nie ten wypadek z Agnieszka...

- Właśnie, czas już, żebyśmy skoncentrowali się na sprawie Agnieszki i klejnotu, który jakimś cudem znalazł się w jej torebce.

- Do tego właśnie zmierzam. Z historii najnowszej dowiedziałem się od Franciszki, że Oszczyrkowa ma ze swoim gorylem krzyż Pański. Nie dość, że ją bije - bił ją zawsze. Nie dość, że zwała na nią najcięższą robotę. Nie dość, że włóczy się po

knajpach i urządził pijatyki w domu, to dla niej też nie nowina. Nie dość wreszcie, że ją zdradza, ściąga do siebie prostytutkę i stale wypomina żonie, że jest staruchą i zmarnowała mu życie. To wszystko znosiła przez długie lata i mogłaby jeszcze znosić.

Ten podstarzały podrywacz ma młodą cizję, która poczuła apetyt na nazwisko Oszczyrko. Koniecznie chce, żeby się z nią ożenił. I dumy poddaje się. Od roku już grozi żonie, że ją porzuci i Wypędzi z mieszkania, a teraz, dwa miesiące temu, złożył podanie o rozwód.

Kobieta popadła w rozpacz. Łatwo ją zrozumieć: zbliżając się do siedemdziesiątki znalazła się wobec perspektywy utraty męża i własnego kąta. Będzie tułała się po obcych domach, zdzierając ostatnie siły w ciężkiej harówce, a spać będzie na wynajętym łóżku w czyimś pokoju.

Z natury jest gadatliwa, lubi się wyżalić. Przedtem też zaczęła lokatorów, żeby wypłakać im swoje domowe krzywdy, tak że ludzie uciekali przed nią, bo o tym wszystkim już sto razy słyszeli. Póki jednak miała nadzieję, że Oszczyrko jej nie porzuci, nie rozpowiadała o jego ciemnych sprawkach, nawet Franciszce.

Od czasu kiedy złożył skargę rozwodową, przestała się krępować. Nie ma nic do stracenia. W każdym razie swojej powiernicy opowiedziała to wszystko, co ja ci powtórzyłem. Oczywiście mówiła o wiele bardziej szczegółowo. Myślę, że W śledztwie nie będzie ukrywać rzeczy kompromitujących jej małżonka. Zwłaszcza jeżeli milicja zagwarantuje, że nie pociągnie jej do odpowiedzialności jako współniczki.

- Naszkicowałeś postać wyjątkowo ohydłą. Taki Oszczyrko istotnie może popełnić każde przestępstwo podsumował Wołodko.

- Uwzględnij, proszę, że szkicowałem nie z natury, lecz z portretu zrobionego przez osobę skrzywdzoną, co nie wyklucza koloryzowania na czarno. Nie wierzę w charaktery jednobarwne, czarne czy świetlane. Bardzo możliwe, że gdybym obserwował go sam przez dłuższy czas, wykryłbym jakieś cechy sympatyczne. Może popełniał dobre uczynki? Może uratował dziecko? Może bezinteresownie wydobył kogoś z kłopotu? Nic

o tym nie wiemy. A jego łajdactwa mamy jak na dłoni.

- Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale wciąż jeszcze nie widzę związku między życiorysem Oszczyrki i zabiciem Agnieszki - powiedział kapitan. - Obawiam się, że dałeś się porwać fantazji i krocysz w mylnym kierunku. Przypuśćmy, że dozorca idealnie nadawałby się do popełnienia tej zbrodni, gdyby miał odpowiedni motyw. Ale gdzie ten motyw?

- Jeszcze chwila cierpliwości, a sam się dowiesz. Zebrawszy te wiadomości, postanowiłem sięgnąć do pierwszego źródła, czyli dozorczyńni. Już wiesz, że nietrudno ją pociągnąć za język, opowiada o domowych sprawach każdemu, kto ma chęć wysłuchania jej.

Otóż ja miałem tę chęć, jak najbardziej. Pod bagatelnym pretekstem wybrałem się do niej w ubiegłą niedzielę, kiedy dozorca, zgodnie z żelazną tradycją, poszedł na kilka głębszych do knajpy. Miałem murowane trzy godziny sam na sam z jego małżonką.

Mieszkanie składa się z pokoju i kuchni. Od czasu kiedy Oszczyrko postanowił się rozwieść, to znaczy od roku, dozorczyńni sypia na połowym łóżku w kuchni, pókiż zaś należy wyłącznie do męża, ona nie ma tam prawa wstępu. Nie mogłem go nawet obejrzeć, był zamknięty na klucz. Siedzieliśmy więc przy kuchennym stole.

Nie bój się, nie powtórzę ci całej martyrologii pani Marii, bo nawet w telegraficznym skrócie zajęłoby to nam za dużo czasu. Poprzestanę na tym, co ma znaczenie dla nas.

- Bogu dzięki!

- Naprowadziłem ją, oczywiście, na rozmowę o lokatorach z mieszkania numer czternaście. Chętnie podjęła ten temat:

„Ach, proszę pana, jakie nieszczęście, jakie okropne nieszczęście! Akurat w naszym domu! I taka miła panienska, taka ładna, kształcona! Tylko zawsze taka zajęta. Ile razy chciałem jej opowiedzieć o moim draniu, ale pani Agnieszka: Jak to? Jeszcze pani nie porzuciła swojego bydlaka? - i już biegnie, gdzieś się śpieszy. Bardzośmy wszyscy jej żalowali. Okropność!”

„Czy pani mąż też żalował pani Marczakówny?” - spytałem

nawiasem.

„On? Gdzież tam! Nie lubił jej, bo nie odpowiadała na jego ukłony. Powiedział: Suka była i jak suka zginęła. - Niech pan pomyśli, co za człowiek!”

„To pani, zdaje się, pierwsza weszła do tego mieszkania w dniu wypadku?”

„Nie, wcale tam nie wchodziłam. Od razu pomyślałam, że tam się ktoś zatruł, okropnie się boję nieboszczyków. Czuć było gazem, aż strach! Ja myłam schody - wtedy jeszcze tyrałam za niego bez zdania racji; teraz to już nie, dosyć! Lepiej zarobię parę groszy u ludzi, i tak żadnej wdzięczności od niego się nie doczekam”.

„Więc pani zawołała męża?”

„W te pędy pobiegłam, a on dopiero się obudził, przy kieliszku siedzi - na ból głowy. Wczorajszego dnia', w niedzielę znaczy się, wykonał podwójną normę, bo dwa razy się upił: po południu i w nocy. No i bolała go głowa, nic dziwnego”.

„A gdzie on pił, w domu?” - wtrąciłem.

„Pierwszy raz to w knajpie, a drugi raz to nie wiem, chyba u swojej. Wrócił nad ranem”.

„A kiedy wrócił z knajpy?”

„Nie wiem, bo już spałam. Chyba koło dziesiątej, tak mi potem mówili. Łaził po schodach, po podwórku. A kiedy wybrał się do swojej, to wpadł do mieszkania po pieniądze

I światło zapalił. Obudziłam się, widzę na budziku: za dziesięć pół do dwunastej. Wstydu nie masz! - powiadam.

- Jutro muszę wstawać o świcie. Ale - czy to go obchodzi?!”

„I długo pozostawał w domu?”

„Nie, z parę minut. Pogrzebał w szafie - tam trzyma pieniądze - i poszedł. A mnie już cały sen zepsuł”.

„I wrócił, jak pani powiada, nad ranem?”

„Tak, pijaniusieńki”.

- To ważne wiadomości - uznał kapitan.

- Odnotuj sobie: wyraził się po chamsku o zgonie Agnieszki, między dziesiątą a dwadzieścia po jedenastej wałęsał się po schodach i przy bramie, co potwierdza zeznania Dudka; wyszedł z domu koło pół do dwunastej i wrócił pijany dopiero nad ranem.

- Już odnotowałem w pamięci. To robi się naprawdę mocno podejrzanе.

- Słuchaj dalej jak najuważniej. Zbliżamy się do głównej rewelacji.

Po długim opisie wykrycia zwłok, który opuszczę, bo nie zawiera dla nas nic nowego, dozorczyńni powiedziała:

„I pomyśleć, że jeszcze w sobotę widziałam panią Marczakównę tu, w naszym mieszkaniu!”

Mnie aż dech zaparło.

„Często państwa odwiedzała?” - spytałem.

„Nigdy! A tu przyszła, i to nie do mnie, wyobrazi pan, tylko do tego drania! Z nim przecież nigdy i pary słów nie powiedziała, nie znosiła go, a on jej”.

„O której godzinie to było, nie pamięta pani?”

„Wieczorem, szykowałam kolację. Zdziwiłam się, bo może godzinę przedtem sama widziałam, jak pojechała z matką w taksówce, pewnie na dworzec, pani starsza wyjeżdżała do krewnych. Przyszła ubrana w futrze i w czapce”.

„Jak ją przyjął pani mąż?”

„Też bardzo się zdziwił. Poderwał się, stoi i milczy. A pani Agnieszka do niego: Muszę z panem pomówić na osobności. - No i poszli do jego pokoju, słyszałam, jak drzwi zamknęły na klucz”.

„Czy długo rozmawiali?”

„Długo, z pół godziny. Klócili się, a o co, nie powiem, bo bałam się podsłuchiwać pod drzwiami. Tylko jedno dosłyszałam z korytarza, bo pani Marczakówna to krzyknęła na cały głos: - Jeżeli pan natychmiast nie zwróci mi tej broszki, pójdę na milicję. - A co za broszka, to nie wiem.

Potem wyszła, cała czerwona na twarzy, nie pożegnała się z nim ani ze mną, trzasnęła drzwiami i już”.

- Najwidoczniej wydobyła od niego broszkę - powiedział Wołodko w głębokim zamyśleniu.

- Jasne. Stamtąd pojechała do Jankowskiej. Odnalazła swój talizman, ale od razu go zgubiła. Może rzeczywiście to był zły omen?

- Nie bawmy się w zabobony. Masz jeszcze jakieś rewelacje w

zanadrzu?

- Nie rewelacje, lecz znamieny szczegół. Oszczyrko zakazał żonie pod groźbą śmierci, żeby komukolwiek pisnęła słówko o tej wizycie, i dla pewności ją zbił. Pani Maria panicznie go się boi, wierzy, że on może zabić człowieka. Trzymała więc język za zębami.

- Tobie jednak opowiedziała o tym.

- Ale co mnie to kosztowało! Wysłuchałam cierpliwie opowieści o jej życiu i użyłam całej rutyny, żeby zdobyć jej zaufanie. A propos, pomów z majorem: należałoby Oszczyrkę niezwłocznie zamknąć, bo gdyby podczas dochodzeń odpowiadał z wolnej stopy, dozorczyńni znalazłaby się w poważnym niebezpieczeństwie.

- Uważasz, że zebranych materiałów wystarczy do oskarżenia go zabójstwo?

- Do aresztowania wystarczy oskarżenie o kradzież broszki, na co istnieje dostateczna ilość dowodów.

- Więc jesteś całkowicie przekonany o jego winie w sprawie morderstwa?

- O całkowitej pewności przedwcześnie byłoby mówić, trzeba najpierw gruntownie zbadać nowe fakty. Ale motyw, potężny motyw, który Oszczyrko miał do zabicia Agnieszki, wydaje się oczywisty.

- Zemsta?

- Nie tylko. Zależało mu prawdopodobnie na tym, żeby usunąć Agnieszkę, zanim wróci z podróży matka. W ten sposób zabezpieczał się przed ich rozmową na ten temat i niszczył wszelki ślad po swojej kradzieży. Za skradzenie tak drogiego klejnotu dostałby parę lat.

- Na pewno. Cóż, muszę ci pogratulować doskonałej roboty detektywistycznej i zgodzić się, że śledztwo należy przedłużyć, a rozprawę odroczyć.

- No chyba. Oszczyrko jest nie mniej podejrzany niż Milski i inni.

- Może wobec tego przerwiemy naradę, skoro przestała być pilna? - zaproponował gospodarz. - Skończymy ją kiedy indziej.

- Lepiej dziś, żeby już nie powracać do wersji, podbudowanych

poprzednio zebrany materiał - zaproponował doktor.

- Jak się czujesz?

- A ty?

- Jestem oszołomiony tą dawką rewelacyjnych niespodzianek - przyznał się kapitan. - Muszę je porządnie przetrwać. Pozwól, że pozbięram myśli. Napijmy się jeszcze koniaku?

- Wolałbym kryniczankę, jeżeli masz zapas. Męczy mnie jakieś pragnienie.

- Proszę bardzo.

I gospodarz przyniósł z kuchni całą baterię ciemnych butelek.

Rozdział piąty

Oskarżony wychodzi z ukrycia

- Minąłeś się z swoim powołaniem, Leszku - powiedział Wołodko. - Byłby z ciebie pierwszorzędny Maigret, słowo daję!

- Wątpię.

Siedzieli paląc w zamyśleniu papierosy.

- Jestem tego pewien - podjął kapitan. - Im dłużej z tobą współpracuję w tym śledztwie, tym bardziej cię podziwiam. Przejąłeś inicjatywę w swoje ręce i doskonale rozwiązałeś trudne zadanie. Nie zrobiłbym tego lepiej od ciebie. Jak rozplanujemy dalszy ciąg narady?

- Jak sobie życzysz. Póki byłem tu sam, przed kolacją, wywoływałem w pamięci postaci oskarżonych i świadków. Doszedłem akurat do Milskiego. I wiesz... - urwał.

- Czyżby znów rewelacje?

- Żadne rewelacje - odrzekł doktor z jakimś zażenowaniem - ale muszę się przyznać do pewnej rzeczy... Cały czas jakbym unikał postaci Milskiego. Coś mnie w nim odpycha. Śmieszne, doprawdy. Ale fakt, że przy moich dzisiejszych rozważaniach uporczywie trzymałem go w cieniu. Kompleks? Fobia?

- Spytaj kogoś ze swoich kolegów, to ci wyjaśni ten objaw.

- Chyba tak, bo sam nie potrafię. A co do dalszego toku narady proponuję następny program. Rozdzielmy się. Ty przemyślisz

podane przez mnie fakty, zrekonstruujesz wersję morderstwa w wykonaniu Oszczyrki i z kolei zreferujesz ją mnie. Ja tymczasem przeanalizuję casus Milskiego. Bądź co bądź, jest to jeszcze ciągle zagadnienie centralne.

- Rozsądna propozycja. Zestawię nowe dane z innymi materiałami i rozpracuję wersję dozorca. Zrobię sobie notatki, to trochę potrwa. Do której masz czas?

Tak długo, jak mnie potrzebujesz. Wolałbym jednak być w domu przed pierwszą.

- Chyba będziesz.

Kapitan przesiadł się do biurka i zagłębił w aktach sprawy. W pokoju na długo zaległa cisza przerywana tylko szelestem papierów i tykaniem zegara, który wkrótce wybił pół do jedenastej.

Doktor znów zamknął oczy, przywołując widziadła.

...Agnieszka poznała Seweryna Milskiego w połowie października. Po wyprowadzeniu się Marceliny została sama w swoim pokoju. Skorzystała z pierwszej parodniowej nieobecności matki i urządziła prywatkę. Jak powiada Magdalena Rybacka, „było szalowo”.

Zebrało się kilkanaście osób, sama młodzież. Każdy przyniósł butelkę wódki lub wina, w domu też znalazły się trunki. Na prośbę Agnieszki pani Kozłowska jeszcze poprzedniego wieczoru upiekła ogromną ilość pasztecików z grzybkami i okazały kawał cielęciny. Przyrządziła też zimne zakąski, sałatki i ciasta.

Koledzy rozstawili na całą długość składany stół w pokoju pani Marczak, koleżanki pomogły Agnieszce nakryć do kolacji. Większość gości należała do nowego narybku aktorskiego; ponieważ kilka osób przyprowadziło ze sobą kogoś spoza środowiska na zasadzie „pary”, znalazł się tam i ekonomista Seweryn Milski, zaproszony przez swoją ówczesną dziewczynę, początkującą aktorkę zespołu telewizyjnego.

Wszyscy czuli się jak u siebie w domu. Przyjaciółka Milskiego po paru kieliszkach zrobiła się senna (ma słabą głowę), więc nie zdejmując pantofli położyła się na łóżku profesorowej, zaścielonym białą koronkową narzutą. Inni goście stłukli parę

kieliszków i filiżanek, ktoś przewrócił na środek stołu butelkę czerwonego wina, ktoś inny poplamił śnieżnobiały obrus sosem z pieczeni. Pewien młodzian stłukł płytę Johnny'ego Hallidaya i uszkodził automatyczny hamulec adaptera. Na nikim, łącznie z Agnieszką, nie sprawiało to bynajmniej większego wrażenia.

Przy kolacji było gwarно. Poruszano wiele tematów zawodowych i ogólniejszych, poplotkowano, posprzeczano się ,w miarę. Nastąpił jednak moment, kiedy pod wpływem alkoholu zainteresowania intelektualne maleją, natomiast wzrasta się tak zwany pęd do życia. Dwie pary dyskretnie zniknęły w pokoju Agnieszki i w kuchni, reszta zaś postanowiła zatańczyć.

Taniec to był żywioł Agnieszki. Jako dziecko pobierała lekcje prywatne, a przed rozpoczęciem studiów wahała się, czy nie pójść do szkoły choreograficznej. Znamy twierdzili, że miałyby sławną przyszłość. Na wieczorze absolwentów szkoły teatralnej, który odbył się w roku 1966, przeznaczono jej rolę baletnicy z dużą partią taneczną.

Miała bogaty zbiór big beatowych przebojów (pokaźną ilość stanowiły dary Piotra Nadomskiego). Nastawili adapter i zaczęli tańczyć. Po kolei: surf, let's kiss, hully- gully, shake, madison - i znów od początku.

„Dziwne wrażenie sprawiają ulubione tańce młodzieży na nas, ludziach generacji poprzedniej - pomyślał Gellert.

- W każdej epoce erotyka jest główną podstawą tańca i chyba w każdej epoce młodzież o parę stopni dalej posuwa się do jej obnażania, gorsząc swoich konserwatywnych poprzedników. Ale dzisiaj ta tendencja jest bardzo swoista. Pierwowzór tańca nowoczesnego, czyli taniec murzyński, został przez Amerykanów spreparowany na ich modłę i nabrał całkiem innego wyrazu.

Zmysłowość bez uniesienia, poufałość bez sentymentu, a nade wszystko - surowy zakaz liryki, intymności jako rzeczy wysoce żenujących.

Z jednej strony - bezwstyd ruchów: miarowe kołysanie miednicy, nasuwające wizję aktu miłosnego, wypinanie zadka, rozkraczanie się. A z drugiej - przepisowa bezosobowość wykonania, twarze najzupełniej obojętne. To stwarza dystans

między tematem a tymi, którzy go realizują. Dzięki temu falowanie ciała od ramion w dół, konwulsyjne latanie zgiętych kolan, kurczowe podrygi ciała - to, co kojarzy się z mechaniką seksualną, całkowicie zatracają charakter uczuciowy.

To nie transpozycja erotyki w tańcu, raczej rzeczowy jej rejestr, przekazywany z zimną dokładnością. I właśnie tym różni się amerykańsko-europejska odmiana tańca pierwotnego od wzorów autentycznych. Widziałem tańczących Murzynów w Haarlemie. Już nie mówię o niedościgłym dla ludzi białych, biologicznym poczuciu rytmu; taniec Murzynów - to sama namiętność, poezja, liryka”.

Big-beat dyktował zebrany styl tańca. Elektryczne gitary brzęczały jak przewody wysokiego napięcia. Perkusja suchym szelestem akcentowała rytm. Mechaniczne organki, zastępujące zdetronizowany fortepian, bez wysiłku dźwigały na sobie muzyczną budowlę. Relikt jazzu, saksofon, odzywał się rzadko i jakby przepraszał za zbyt wibrujący głos.

Gdy tańczyli „suwanego” - madisona czy młodszą wiekiem hully-gully - ustawiali się w koło, rozbijali na pary i znów się rozciągali zamkniętą linią. W tańcach szybkich, jak shake, wpadali w zawrotne tempo. Ale w jednych i w drugich dominował ten sam zespół ruchów: bezradnie rzucona w dół ręka, druga zgięta w łokciu do góry, palce strzelają do taktu; bary ściągnięte ku przodowi, jak u ludzi przygarbionych, stawy barkowe wstrząsane drobnym kolistym ruchem; co parę taktów gwałtownie odrzuca się tułów, jakby przetrącony w pasie; kolana, ostro zgięte niczym w prysiadach, rozwierają się i zwierają; stopy pracowicie froterują podłogę.

Zdawałoby się: co w tym może być ładnego? Ale dziewczęta i chłopcy, z bezbłędną precyzją oddający styl odbarwionej z uczucia erotyki, co właśnie stanowiło arcyzm ich wykonania - był to widok piękny, fascynujący. Nie szukali okazji do ocierania się i dotyku. Tańczyli, tylko tańczyli. Nie było w ich tańcu nic z nieprzyzwoitości.

Agnieszka tańczyła w całkowitym skupieniu, nie odzywając się do partnerów, którzy teraz dla niej istnieli jedynie jako współuczestnicy doniosłego czynu. Każda modulacja melodii,

każde cieniowanie rytmu zmieniało układ i wyraz jej ciała. Tańczyła bez przerwy, niezmordowana, robiąc przy tym mały strip-tease: zrzuciła z siebie i ciskała w kąt blezerek, bluzkę, skórzany pasek, spódniczkę. Było jej bardzo gorąco.

Rock-and-roll wciąż jeszcze nie chciał zejść z dancinów, przybierając coraz nowsze postacie. Agnieszka kochała rock-and-rolła dawnego: taniec niemal akrobatyczny, wymagający zwinności i wyćwiczonych mięśni. Znalazła i nastawiła płytę jazzową.

Partnerem jej był bardzo wysoki, szczupły chłopak w farmerkach i w koszulce z krótkimi rękawkami; sweter też rzucił w kąt, gdzie leżały szatki Agnieszki.. Wyszli na środek pokoju. Rozległy się ostre, szarpiące dźwięki jazzu: werbel przemieszany z opętańczymi jękami. Już od początku szalone tempo.

Dotykali się palcami wyciągniętej ręki, zbliżali się i oddalali od siebie, jakby wzajemnie próbując swe siły. Półobrót, zamiana miejsc. Lekkie kołysanie się. Nagle chłopak błyskawicznym ruchem podrywa Agnieszkę i przerzuca nad swoją głową, w powietrzu miga rozwiana halka i nogi w czarnych rajstopach. Stała za nim; zrobili półobrót, znów kołysali się rozdzieleni długością wyciągniętych rąk.

Przeraźliwy jazgot orkiestry - i po wzlocie Agnieszka zawisła w pozycji poziomej, ściśnięta mocną obręczą rąk.

Kołysanie się, skok. Agnieszka siedzi okrakiem na ramionach partnera ugniatając jego żebra stopami. Nowy jazgot - i trzymana za ręce, zjeżdża w dół, między jego rozstawione jakwrota nogi. Jazz wpada w rytm wirujący, figury akrobatyczne migają jak w maratonie.

Nikt z towarzystwa nie zaryzykował rywalizacji z tą parą. Tańczyli sami i, wydaje się, zapomnieli o wszystkich obecnych.

Milski, który w tańcu był słabym partnerem, tego wieczoru zadowolili się rolą widza.

Po rock-and-rollu Agnieszka, cała spocona, pozbyła się resztek odzienia, zachowawszy na sobie tylko figi i nylonowy stanik.

- Taniec brzucha! - zawołała Magdalena, jak impresario

znający popisowe numery swojej gwiazdy. - Agna, dawaj taniec brzucha!

Agnieszka pobiegła do łazienki, odświeżyła się zimną wodą, po czym skoczyła na okrągły stolik i odtańczyła żądany numer. Wtedy Milski wypowiedział swoją magiczną formułę:

- Pani jest niezrównana!

Możliwe, że wyraz oszołomienia na jego twarzy tym razem był szczery.

W dwa dni później, po kolacji w Domu Dziennikarza, Agnieszka spędziła noc w jego kawalerce.

Odtąd spotykali się często. Profesor podaje, że Marczakówna opuściła sporo zajęć, nie mając zwolnienia lekarskiego. Magdalena twierdzi, że przyjaciółka przestała przygotowywać się do ćwiczeń. Franciszka zaświadcza, że panienka często nie nocowała w domu.

Co mówi Milski? Że „pasowali do siebie”. Romans przypadł mu bardzo do gustu. Aktoreczka z telewizji musiała pogodzić się z losem porzuconej. Ponoć nie rozpacziała i szybko pocieszyła się z kimś innym.

Sądząc z informacji pochodzących z rozmaitych źródeł, Agnieszka i Seweryn przeżywali miłą i bardzo absorbującą przygodę.

Ile czasu to trwało? Jak na nich, dość długo: prawie do końca stycznia.

Zazwyczaj, jeżeli Milski nie miał wykładu w SGPiS i pracował u siebie, Agnieszka po wspólnie spędzonej nocy nie szła do szkoły i zostawała z nim, niekiedy na cały dzień. Ceniła sobie takie dni, które zdarzały się niezbyt często, bo Milski miał dużo wykładów, a na domiar wyjeżdżał służbowo na badania terenowe. Wtedy jej się przykrzyło i pozwalala Nadomskiemu zawozić się do Sopotu, Kazimierza nad Wisłą lub za Warszawę.

Jakoś niespodziewanie tak się złożyło, że całodzienne randki upływały im bardzo rodzinnie. Pitrasiła obiady, kupowała wiktuały, i to tak, żeby miał zapas na kilka dni. Nie do wiary, jeżeli przypomni się, co opowiadał Witold Gracj.

Milski jednak utrzymuje, że tak właśnie było i że gotowała nie najgorzej. „Może odrobinę zbyt oryginalnie” - dodaje. Z

dużą inwencją i śmiałością, kombinując nie łączone zazwyczaj składniki.

Jej obiad zawsze był niespodzianką. Pewnego razu przyprawiła kotlet cielęcy ostrym sosem z truskawek.

- Cóż za pomysł! - zawołał Seweryn.

- A dlaczego to z borówkami można, a z truskawkami nie? Czy ci nie smakuje?

- Owszem, znakomite. Tylko trzeba się przyzwyczaić.

- Nie zdążysz, bo następnym razem wymyślę coś innego.

Na sprzątanie przychodziła do Milskiego, bardzo nieregularnie, jego dawna niania, Teresa Maliniak. Starowina do pracy była już mało zdatna. Cenił ją głównie za to, że można było spokojnie powierzyć jej klucz, a także za to, że brała od niego znacznie mniej niż od innych pracodawców. Nie był rozrzutny.

Agnieszka szybko się z nią dogadała, żeby przychodziła regularnie raz w tygodniu. Musiała najpierw zwalczyć opór Seweryna, który uważał, że to zbędne.

- Nie wolno tak zapuszczać mieszkania! - przekonywała go. - Popatrz, wszędzie brudy: w kuchni, w łazience, pod meblami. Twoja Teresa nie jest oczywiście perłą, jak nasza Franciszka. Ta by dopiero zrobiła tu porządek! Ale i Teresa będzie jako tako utrzymywała czystość, jeżeli zacznie przychodzić co tydzień.

Ustał - głównie, żeby nie wyjść na skąpiradło.

Milski lubi swoją specjalność. Wykłada w sposób żywy, zajmujący, urządzając popisy dowcipu i erudycji. Studenci chętnie chodzą na wykłady asystenta i powtarzają sobie potem jego powiedzonka i cenniejsze cytaty z zagranicznych autorów. Podczas egzaminów jest pobłażliwy lub ostry w zależności od nastroju, a także od stosunku do osoby egzaminowanej. Dla płci żeńskiej, zwłaszcza nie pozbawionej urody, ma większe względy.

Jego krąg zainteresowań jest szeroki, zna się na literaturze pięknej, doskonale na muzyce, szczególnie klasycznej; poza koncertami piątkowymi w Filharmonii ucześnie na wszystkie recitale zagranicznych solistów. Rozmowa z nim jest zwykle interesująca, najchętniej jednak porusza tematy ekonomiczne i

wtedy szczerze się zapala.

I tu znów niespodzianka: Agnieszka pilnie słuchała jego wywodów ekonomicznych - a potrafił mówić godzinami, kiedy wsiadł na swego konika.

Nie przerywała mu, patrząc uważnie w jego ładnie wykrojone oczy o ciemnych powiekach, spod których bił w nią płomień prawdziwej pasji. Na jego twarz, zazwyczaj bezbarwną, napływały lekkie rumieńce; wstawał i chodził po pokoju, jak to czynił podczas wykładów, zanurzwszy ręce w kieszeniach marynarki. Wątła, choć wysoka sylwetka nabierała przy tym jakiejś sprężystości.

Agnieszka dość szybko zorientowała się w ekonomicznych problemach i zaczęła zadawać pytania, świadczące o szczerym zainteresowaniu się przedmiotem. Coraz lepiej rozumiała fachowe wyjaśnienia Miłskiego.

- Czemu nie poszłaś na ekonomię? - pytał. - Mało mam takich zdolnych studentek jak ty. Zazwyczaj panienki idą na studia humanistyczne tylko po to, żeby łatwiej wyskoczyć za męża.

- Lubię teatr - tłumaczyła się. - A za męża w ogóle się nie wybieram.

Odwiedzając ją w domu, pewnego razu zauważył przy tapczanie książkę Paula Barana „Ekonomia polityczna wzrostu”.

- Czytasz to? - zdziwił się.

- No tak.

- I rozumiesz?

- Prawie wszystko. O to, czego nie rozumiem, spytam cię później. To bardzo ciekawe.

- Naprawdę?

- No wiesz... Ekonomia to nauka o nas wszystkich, w ogóle o ludziach. Każdy powinien choć trochę wiedzieć, dlaczego żyjemy tak, a nie inaczej. Ciekawe są zwłaszcza badania, statystyka.

- Statystyka?! - wzruszył ramionami z wyrazem niedowierzania.

- Czemu się dziwisz? Przecież sam często czytujesz rocznik statystyczny.

Był zaskoczony. Kto wie, czy nie wtedy zdał sobie sprawę, że

Agnieszka traktuje go bardzo na serio.

Czy mu na tym zależało? Raczej nie.

W jego rejestrze miłosnym figurowało sporo dziewcząt i kobiet różnego autoramentu i wieku. Sprawy erotyczne traktował lekko, chociaż umiał rozgrywać je na tle intelektualnego zaangażowania. Że nie powinny one przeciągać się ponad miarę - w tym zgadzał się z kolegą Agnieszki, Klimczakiem, nie wyznając jego teorii otwarcie.

Smakosze twierdzą, że prawdziwy amator delicii gastronomicznych wstaje od stołu z nie obciążonym żołądkiem i z uczuciem, że zjadłoby się jeszcze coś niecoś. Na tym, powiadają, polega sztuka życia.

Dla Milskiego sztuka życia polegała na tym, żeby przerywać romanse z poczuciem lekkiego niedosytu, wcześniej niż związek stanie się uciążliwy. Opanował tę sztukę dość umiejętnie, wypracował swój własny system.

Sposób był prosty, acz dla wykonawcy niemiły: gdy uważał, że wkrótce nadejdzie czas skończenia romansu, zaczynał stopniowo zniechęcać do siebie partnerkę. Niech kobieta pierwsza dojdzie do przekonania, że nie warto dłużej z nim romansować. Wtedy on okaże żal, ale i wyrozumiałość. Jego zerwania odbywały się bez komplikacji.

Agnieszka była wspaniałą przyjaciółką, do której i on mógłby przywiązać się mocniej. O przesycie czy nudzie nie było na razie mowy, lecz zawsze warto pomyśleć o dalszej przyszłości. Nie jutro, nie za miesiąc, może dopiero za pół roku. Ale trzeba uważać, oby nie było za późno.

Mimo tych ostrzegawczych sygnałów Milski nie zamierzał jeszcze stosować wypróbowanych środków zerwania. Było mu z Agnieszką dobrze, cieszył się nią i chciał cieszyć się jeszcze długo. Tylko że plan długodystansowy a niekonkretny, powzięty jedynie gwoli wrodzonej zapobiegliwości, nieoczekiwanie zaczął rzutować na terażniejszość.

Na przykład. Lubił organizowane przez Agnieszkę posiłki w domu, bo można było spokojnie pracować przy biurku, nie myśląc o barze mlecznym czy stołówce. Lubił, odrywając wzrok od rękopisu, widzieć ją na tapczanie, gdy siedziała cichutko z

książką lub drzemała, podłożywszy łokieć pod głowę. Polubił też porządek, który zapanował w jego kawalerce od czasu, kiedy Agnieszka wywalczyła regularne sprzątanie. Lubił to wszystko nadal, bo nadawało jego życiu posmak rodzinnego ładu, a nie nakładało żadnych zobowiązań. Owszem, samo w sobie to było przyjemne, a jednak...

Ni z tego, ni z owego przypomniało mu się, że nie ma jak wolność kawalerska. Że obecność postronnego człowieka w ciasnym pomieszczeniu może być krępująca. Albo i konkretniej: że oboje mogą zanadto przyzwyczaić się do tej rodzinnej sielanki, a to już byłoby niezdrowe. Czy nie lepiej, żeby Agnieszka rzadziej zostawała tu na cały dzień? Mogłaby poprzestać na częstym nocowaniu. A o tym nie wypadało jej przecież powiedzieć.

Milski ma ojca, emeryta, byłego działacza spółdzielczości. Matka już dawno umarła. Stary Milski mieszka samotnie na krańcu Warszawy. Marzy o tym, żeby przenieść się bliżej Seweryna, ale nie ma na to pieniędzy. Studenckie lata syna pochłonęły te niewielkie oszczędności, jakie uciulał.

Widuje się z synem nieczęsto, ponieważ ten jest bardzo zajęty, za to często do niego telefonuje. Rozmowy przeto trwają długo, bo ojciec musi dowiedzieć się szczegółowo: czy Sewek dzisiaj jadł obiad? czy udał mu się kolejny wykład? czy pisze nowy artykuł i na jaki temat? - i tak dalej, i tak dalej. Żywoć emeryta jest nieciekawym, szkoda więc synowi nim głowę zawracać.

Seweryn niecierpliwi się długą rozmową, replikuje zdawkowo, jednocześnie wertując książkę lub robiąc notatki, żeby niezupełnie marnować czas. Inaczej jednak przebiega rozmowa, jeżeli w pokoju jest ktoś obcy. Wtedy udaje wzorowego syna, na czym mu bardzo zależy, a to z następujących powodów.

Gdy wyczuwa ze strony kolejnej przyjaciółki matrymonialne zapędy, zawczasu korzysta z niezawodnej wymówki: ojciec nie zgodzi się na jego ożenek, bo uważa, że to przeszkodziłoby Sewkowi w naukowej karierze. Ma takie urojenie, oczywiście bzdurne, ale staruszek choruje na serce, toteż nie wolno go

denerwować.

Mit ukochanego i schorowanego ojca dziwaka, który ubzdurał sobie, że syn musi pozostać kawalerem, jest nietykalny. Wyręczał Milskiego już wiele razy.

Ojciec kilkakrotnie dzwonił także w obecności Agnieszki. Seweryn był troskliwy i słodki:

- Jak się czujesz? Gzy nie dokucza ci serce? Czy masz wszystkie leki?

Stary chyba rozczulał się do łez. Znarowił się i telefonował coraz częściej.

Agnieszka w końcu listopada zorientowała się, że zaszła w ciążę. Nie powiedziała nic Sewerynowi. Chyba sama jeszcze nie była zdecydowana, co z tym fantem zrobić. Może chciała poczekać, sprawdzić i siebie, i Milskiego? Niedługo przed tym dotarła do niej plotka, że Milski flirtuje z pewną przystojną studentką, co zresztą nie było prawdą.

Milski zeznaje, że w grudniu Agnieszka zrobiła się nerwowa. Częściej zostawała u niego przed południem, lecz nie gotowała i odchodziła w porze obiadowej.

- Zjem u mamy, a ty skocz do restauracji - mówiła.

Leżąc z książką (teraz przeważnie leżała), odkładała ją na bok albo bezmyślnie patrzyła w tą samą stronę. Stała się małowówna. Zauważył podczas rozmów na swoje ulubione tematy, że nie śledzi już toku jego wywodów. Straciła też zainteresowanie dla repertuaru teatralnego i odmówiła Nadomskiemu pójścia na kolejną prasówkę. W ogóle zrobiła się jakaś apatyczna.

Milski, jak twierdzi, nie podejrzewał prawdy. Myślał, że Agnieszka po prostu zaczyna się z nim nudzić. Przykre to było, ale jeżeli rozważyć rzecz długodystansowo, to z drugiej strony - pomyślnie. Przecież i tak kiedyś musieliby się rozstać.

Pewnego dnia przerwała ciszę (co się nie zdarzało, kiedy pracował) i zapytała:

- Czy miałeś rodzeństwo?

- Tak, siostrzyczkę. Umarła, jak skończyła pięć lat.

- Była od ciebie starsza?

- Młodsza. Chodziłem wtedy do szóstej klasy.

- Kochałeś ją?

- Już nie pamiętam. Chyba nie. W ogóle nie znoszę dzieci. Najmilszy bachor kojarzy mi się ze smrodem pieluch i wrzaskiem po nocach.

Odpowiedź musiała ją urazić.

Magdalena, której Agnieszka powiedziała, że jest w ciąży, podaje, że mniej więcej wtedy przyjaciółka oświadczyła jej:

- Zrobię chyba skrobankę. A jeżeli nawet urodzę, to będę wychowywała dziecko sama. Seweryn do tego się nie nadaje.

- Nie wyjdiesz za niego?

- Z jakiej racji? Bo jest ojcem mojego dziecka? To nic nie znaczy. Wiadomo, że niejedna panna z dzieckiem wychowała je nie gorzej, niż komplet rodziców.

- A co powie mama? Dla niej to byłby cios.

- Będzie musiała z tym się pogodzić. Wie, że gwizdzę na tak zwane konwenanse, jest zahartowana. Mama w gruncie rzeczy jest mniej staroświecka, niż się wydaje. Zresztą w tym roku ukończę szkołę, zacznę pracować w teatrze, stanę się samodzielną. Pewnie zarobię na dwie osoby.

- A mówiłaś już z Sewerynem?

- Po co? Nie chcę zakłócać jego spokoju. A nuż zaproponuje mi małżeństwo? Musiałabym odmówić, a on tego by nie zrozumiał.

Poza Magdaleną nikt nie wiedział o jej ciąży. Nawet Witold Grac.

Zrobiła jeszcze jeden rekonesans. Przy sposobności spytała Milskiego tonem nic nie znaczącym:

- Czemu dotychczas się nie ożeniłeś? Miałeś na pewno dużo okazji.

Pytanie z miejsca Milskiego zaalarmowało. Wiedział o niezależnych poglądach Agnieszki, jednak uważał je za pewnego rodzaju pozę, za haracz składany obyczajowej modzie. Był przekonany, że najbardziej nowoczesna chłopczyca marzy w skrytości ducha o zamążpójściu. „Zaczyna się!” - pomyślał i sięgnął po żelazny argument:

- Nie znasz mojego ojca. To twardy staruch. Ma taką manię, że mogę ożenić się nie wcześniej, niż zrobię doktorat i dostanę katedrę ekonomii. Choruje na serce, wiesz; nie chciałbym go

narażać na wstrząsy.

Miała dobry słuch, to „nie chciałbym” zabrzmiało jej jako dwuznacznie.

- O ile chodzi o mnie - powiedziała dotknięta - to nawet jeżeli będą już sławną aktorką, to i wtedy nie wyjdę za mąż. Nie zależy mi na karierze, po prostu nie chcę stracić swobody. Małżeństwo to zawsze kajdany.

Od tego czasu coś między nimi zmieniło się na gorsze.

Milski powiedział sobie: „Uwaga! Zbliża się pora, kiedy trzeba będzie powoli zabawę kończyć”. Agnieszka zaś, nawet jeżeli istotnie podświadomie hołubiła wizję dłuższego pożycia z Sewerynem, musiała sobie uprzytomnić, że on twardo nastawił się na żywot kawalerski.

Nie mogła mieć do niego o to pretensji: patrzył na sprawy w sposób podobny do jej własnego. Musiała jednak zrozumieć, że gdyby powstała, w związku z dzieckiem, alternatywa pomiędzy zobowiązaniami wobec niej a uszanowaniem woli rodzica, łatwiej by mu przyszło przejść na stronę ojca. Nie bardzo pochlebnie świadczyło to o sile jego przywiązania do niej; odnotowała to, nie bez goryczy.

W tej zachwianej zazyłości upływał im styczeń. Upływał też termin, kiedy można łatwo pozbyć się ciąży. Była jeszcze niezdecydowana. Na wszelki wypadek spytała Magdaleny, gdzie można zrobić ten zabieg. Ta miała doświadczenie i obiecała, że się dowie.

Tydzień przed imprezą w SPATiF-ie zdarzył się w mieszkaniu Milskiego przykry incydent.

Od paru dni Seweryn chorował na grypę. Z tego powodu Agnieszka znów spędzała u niego całe dni, odchodząc do domu późnym wieczorem. Wezwała rejonowego lekarza, przyniosła z apteki potrzebne leki, pilnowała, żeby regularnie je zazywał i nie wstawał z łóżka. W przededniu jej imienin, dwudziestego stycznia, rozegrała się niemiła scena.

Chory czuł się już lepiej, chodził po mieszkaniu w szlafroku. Nazajutrz kończyło mu się zwolnienie lekarskie. Golił się w łazience, kiedy rozległ się dzwonek i bez zapowiedzenia zjawił się ojciec. Zaniepokojony chorobą Sewka, postanowił sam

sprawdzić, czy ma wszystko, co trzeba. Przyniósł cytryny i pomarańcze.

- Grunt to witaminy! - powiedział wykładając z siatki pakunki.
- Zwłaszcza przy grypie.

Agnieszka z zaciekawieniem patrzyła na starca, o którego despotycznej srogości słyszała. Zdziwiła się, że wcale na takiego nie wygląda.

Seweryn był jawnie zmieszany.

- Dlaczego nie zatelefonowałeś, że przyjdiesz? - spytał.

- Dzwoniłem z miasta, ale automat był zepsuty. Byłem akurat tu niedaleko, więc pomyślałem, że przy okazji mogę na chwilkę wpaść. Tylko dowiem się, jak się czujesz, i sobie pójdę, mam jeszcze pilne interesy. Nie chcę wam przeszkadzać, moje dzieci.

- Skądże! - bąknął Seweryn.

- Nastawię herbaty — powiedziała Agnieszka. - Mamy ciastka.

W parę minut potem siedzieli przy stole. Agnieszka bacznie przyglądała się gościowi.

Widziała przed sobą jowialnego staruszka o kwitających policzkach i młodzieńczych ruchach, z białym puchem cieniutkich włosów na głowie, spod których przyświecała różowa skóra. Patrzył na syna z wyrazem psiego oddania.

Na początku odzywał się rzadko i nieśmiało, najwyraźniej nie nawykły do synowskiej gościnności. Przede wszystkim poczuł się w obowiązku wytłumaczenia ze swojej niewczesnej wizyty:

- Wie pani, dawno już Sewka nie widziałem, bodaj z pół roku. On jest zawsze taki zajęty! A ja mieszkam daleko, do mnie nie może się wybrać... prawda, Sewku?

- Często rozmawiamy telefonicznie, tatusiu.

- Telefon to całkiem nie to... A zresztą, masz rację, po co często się widywać? Wystarczy mi, że wiem, jak ci życie upływa. Jedynek, pani sama rozumie...

Rzeczywiście, zaczynała rozumieć.

- Przypomnij mi, Agna, że dziś mam rozpocząć ten artykuł dla „Życia Gospodarczego” - powiedział Milski, żeby zmienić temat.

- No, właśnie! Zawsze zajęty! Chory też musi pracować

- zmartwił się stary. - Profesorowie wszystko zwalają na swoich asystentów... prawda, Sewku?

- No, niekoniecznie... - odrzekł z zażenowaniem Milski.

- Już ja to wiem! Ty ich nie broń, synku... I za moich czasów tak było. Dopiję herbaty i sobie pójdę - dodał spłoszony. - Jak masz pisać pilny artykuł...

- Wcale nie pilny! - wtrąciła się Agnieszka. - Termin dopiero za parę tygodni. Seweryn mówił mi, że temat nudny i że nie ma natchnienia. Jak go znam, zabierze się do pracy w ostatniej chwili.

- A wtedy będzie pracował po nocach - podchwycił staruszek. - Ach, Sewku, Sewku! Uważaj na zdrowie. Mama nieboszczka mówiła..

- Tatusiu, zjedz pomarańczę - przerwał mu Seweryn tonem głębokiej rezygnacji.

Już widział, że przy wsparciu Agnieszki ojciec przedłuży swe odwiedziny.

I rzeczywiście. Stary szybko zapomniał o jakoby pilnych interesach na mieście. Rozpromienił się cały i stał się bardzo rozmowny. Agnieszka zachęcała go do elokwencji. Opowiadał anegdotki z czasów Franciszka Józefa:

- Wie pani, do pewnej panienki ze dworu przyjechał konkurent. Rodzice myśleli, że jest bardzo zamożny...

Agnieszka uważała, żeby nie przegapić pointy i odpowiednio głośno się roześmiać. Zresztą staruszek sam podawał sygnał, wybuchając dziecinnym śmiechem. Milski też wydobywał na twarz blady uśmiech. W porządku.

Oczarowany przyjaciółką syna, stary rozpytywał, czego ich uczą w szkole teatralnej. Żeby rozładować nieco atmosferę, zaczęła opowiadać o kolegach i profesorach, o popisach aktorskich, o nawalankach, jakie zdarzają się na scenie. Wprawiało go to w zachwyt, czuł się uszczęśliwiony.

- Słyszysz, Sewku? - co chwila odwracał się do syna, nie dostrzegając jego ponurego milczenia. - Jakie to zabawne, prawda?

Agnieszka zademonstrowała, jak u nich uczą oberka. Na ten widok staremu przypomniały się dawne czasy, zerwał się i zaczął chwacko wybijać hołubce.

- Co pan robi! - krzyknęła przerażona. - Pan ma chore serce!

- Skąd miłej panience to przyszło do głowy? - roześmiał się pobłażliwie. - Serce mam mocne jak lina morska, ho, ho, ho! Nieboszczka żona zawsze mówiła, że będę żył sto lat i ją przeżyję. Tak też się stało, świeć Panie nad jej duszą... Trochę pęcherz mi dokucza, ale tym się nie przejmuję zanadto.

Agnieszka spojrzała z ukosa na Seweryna. Był szarozielony.

- A kiedy szanowna małżonka pana umarła? - spytała bezlitośnie, napoczynając temat rodzinny.

Ochoczo zabrał się do wspominków, rezerwując miejsce czołowe dla genialnego synka, który od zarania życia zadziwiał znajomych i krewnych. „Bismarck! - mówiła ciotka Eulalia. - Istny Bismarck!” Co do prześwietnej kariery małego Bismarcka nikt już wtedy nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Wie pani, panno Agnieszko, Sewek dawno stał się u nas w domu głową rodziny. Nieboszczka żona we wszystkim jego się radziła, także ja, do dziś dnia.. On ma naukowe podejście, to fakt!

- Zdaje się, że umówiłaś się dziś z kimś do kina? - zapytał Milski, tracąc ostatnią cierpliwość. Wyrafinowane katusze mogłyby trwać do wieczora.

Miała chętkę powiedzieć, że się pomylił albo że się rozmyśliła. Ale ją samą zaczęła już męczyć ta okrutna zabawa.

- Ach, prawda! Byłabym zapomniała. Tak przyjemnie gawędzi się z panem... Chciałabym, żeby pan poznał się z moją mamusią. Pewnie macie wspólnych znajomych. Pan pochodzi z Krzemieńca?

- Nie, miła moja panienko, z Kalisz^.

- Wszystko jedno, na pewno macie wspólnych znajomych w Warszawie. Musi pan koniecznie nas odwiedzić. Mamusia będzie bardzo, bardzo rada.

- Z rozkoszą, proszę pani! Z rozkoszą. Mieszkam niemal za miastem, sąsiedzi to ludzie nieciekawi, przez długie miesiące nie mam do kogo ust otworzyć. Sewek jest taki zajęty... pani sama wie.

Zaczęła się żegnać.

- Bardzo mi było miło panią poznać - powiedział Milski senior, ze staroświecką galanterią całując Agnieszkę w rękę. - Mam

nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

- Na pewno!

- Ogromnie się cieszę, że Sewek ma tak uroczą znajomą. Nie wiem, czemu się nie żeni. Tyle razy mu doradzałem: ożeń się, synku, ognisko domowe to rzecz święta, niezastąpiona... Nie możesz wiecznie biegać po stołówkach i sam cerować skarpety. Kiedyż człowiek ma się żenić, jak nie w młodości? Najśłodsze lata! Pobraliśmy się z moją nieboszczką żoną, kiedy ja miałem lat dwadzieścia pięć, a ona...

- Spóźnisz się do kina, Agna - przerwał mu Seweryn, który już za siebie nie ręczył.

- Tak, tak, już lecę. Muszę pana pożegnać, niestety. A w sprawie ożenku nie wiem, czy pan ma rację. Obawiam się, że gdyby Seweryn obarczył siebie rodziną, mogłoby mu to poważnie przeszkodzić w karierze naukowej. Lepiej niech poczeka, aż zrobi doktorat i dostanie katedrę. Czekam na pana telefon. Pa, Sewku!

- Dziękuję pani za opiekę nad moim synem ~ dodał staruszek wychylając się za drzwi, kiedy już wyszła. - Będę teraz spokojniejszy wiedząc, że pani pielęgnuje go w chorobie.

- Już jest zdrow i nie potrzebuje mojej opieki! - odrzekła głośno i zbiegła po schodach.

Całą tę scenę odegrała później z niepospolitym komizmem Magdalena Rybacka, dodając na zakończenie:

- Wyobrażam sobie, doktorze, jak się czuł Sewek! Pewnie wił się jak węgorz. Biedaczek!

Od tego dnia Agnieszka przestała przychodzić i telefonować do Milskiego. On dzwonił do niej parę razy, ale jej nie zastał.

Nazajutrz Agnieszka poszła do poradni ginekologicznej. Lekarz oświadczył, że termin właściwy minął i teraz trudno jej będzie uzyskać pozwolenie na zabieg.

- Czy pani musi to zrobić? - spytał.

- Muszę.

Poprosiła Magdalенę, żeby skontaktowała ją ze swoim znajomym ginekologiem, mającym praktykę prywatną. Ta spytała.

- Czy mówiłaś już na ten temat z Sewerynem?

- Nie uważam, żeby to było potrzebne.

Magdalena zwróciła jej uwagę, że bądź co bądź Milski jest ojcem przyszłego dziecka i ma prawo decydować wspólnie z nią o jego losie.

- Pomyślę nad tym - powiedziała Agnieszka. - Poczekam jeszcze, co powie ten twój znajomy lekarz.

Lekarz był akurat poza Warszawą. Kiedy wrócił, Magdalena umówiła go z Agnieszką na pierwszą niedzielę lutego, o pół do szóstej.

Podczas bezsennie spędzonej u Marceliny nocy z soboty na niedzielę Agnieszka widocznie postanowiła powiadomić Seweryna, że jest w ciąży i zdecydowała się na jej przerwanie. Wróciwszy do domu o dziewiątej rano, zadzwoniła do niego i poprosiła, żeby przyjechał, bo chce z nim pomówić: matki nie ma, będą mogli rozmawiać swobodnie.

Milski powiedział, że akurat dziś w żaden sposób nie może wyjść z domu, bo dopiero co zaczął pisać artykuł do „Życia Gospodarczego”, który ma oddać jutro rano. Wiedziała, że to prawda. Nalegała jednak, że rozmowa jest pilna i nie potrwa długo.

- I tak przecież musisz wyjść na obiad, to przyjedź, zjemy razem i przy tym pomówimy.

- Nawet na obiad nie będę miał czasu - odpowiedział. - Zadowolę się kawą i kanapkami. Zresztą, zobaczę. Jak dobrze pójdzie, skoczę do ciebie o trzeciej.

Koło trzeciej zatelefonował, że nie da rady: idzie mu opornie, chyba będzie musiał pracować całą noc.

- Może wyrwę się na kolację, żeby zrobić przerwę - dodał.

- Nie zastaniesz mnie, wychodzę o piątej, a wrócę późno, bo mam występ w telewizji.

- Więc odłóżmy rozmowę do jutra.

- Może okazać się już nieaktualna.

- No to powiedz mi, o co chodzi.

- To nie jest rozmowa na telefon.

- Dlaczego?

- Jeżeli przyjdiesz, to zrozumiesz, dlaczego.

- Nie bądź dziecinna, Agna. Wiesz, co znaczy zawalić termin, kiedy cały numer czeka na oddanie do składu?

- Tak, rozumiem. Chyba nie ma spraw ważniejszych od tej. Rób, co chcesz.

I odłożyła słuchawkę.

Tak zapisano te rozmowy telefoniczne w zeznaniach Milskiego.

Po wizycie u lekarza Agnieszka jednak wpadła do Seweryna koło siódmej. Nie zastała go, bo wyszedł do baru mlecznego. Zostawiła w drzwiach kartkę, która teraz figuruje w aktach jako główny materiał oskarżenia:

Zrozum, że koniecznie muszę pomówić z tobą dziś. Nie zajmę ci dużo czasu, sprawa jest prosta. Wróć do domu późno, ale postaraj się wpaść do mnie po jedenastej. Koniecznie. Będę czekała do pierwszej. A.

I na dole - dopisane w pośpiechu post-scriptum:

Jeżeli i wieczorem nie będziesz mógł przyjść, to zadzwoń.

Milski twierdzi, że ostatni raz zatelefonował tuż po jedenastej, żeby przeprosić, że jednak nie przyjdzie. Była dziwnie małomówna: „Tak. Rozumiem. Trudno. Dobranoc”. Odniosł wrażenie, że w pokoju jeszcze ktoś jest, choć żadnych głosów nie słyszał.

W sprawie tak ubogiej w dowody rzeczowe ta wyrwana z notesu kartka, zapisana nerwowym pismem, ma ponurą wymowę. Kartka jest, leży w aktach zaopatrzona w numer 127/354/66. Ofiara wyznacza oskarżonemu spotkanie u siebie w domu, podkreślając dwukrotnie słowo koniecznie. O pół do dwunastej, po wypiciu wina z jakimś mężczyzną, zostaje przez niego uśpiona, potem otruta gazem.

A rozmowa telefoniczna w parę minut po jedenastej, podczas której Milski, jak twierdzi, powiadomił Marczakównę, że przyjść nie może - jeżeli nawet się odbyła, to rozplynęła się w powietrzu bez śladu.

Na początku Milski był kilkakrotnie wzywany w charakterze świadka. Trzymał się z wielką pewnością siebie, wdawał się z Wołodką w dyskursy na ogólne tematy, usiłując utrzymać ton towarzyskiej rozmowy.

O zabitej mówił bez zahamowań, chętnie podawał i uściślał fakty i daty dotyczące ich wzajemnych stosunków. Między

innymi powiedział:

- Nie byłem w jej życiu pierwszą przygodą miłosną ani ona - w moim. Oboje byliśmy doświadczeni i wiedzieliśmy, czego od siebie chcemy i na co liczymy. Ani Agnieszka, ani ja nie myśleliśmy o małżeństwie.

- Czy pan wiedział, że ona jest w ciąży? - spytał! Wołodko.

- Nie. Dopiero po jej śmierci o tym się dowiedziałem.

- Czy pan był ojcem dziecka?

- Sądząc z terminu, tak.

- Wyklucza pan ewentualność jej zdrady?

- Wykluczam.

- Czy upiera się pan przy tym, że za życia denatki nic nie wiedział o jej ciąży?

- Stwierdzam to z absolutną pewnością. Teraz dopiero rozumiem, że właśnie o tym chciała mówić ze mną w niedzielę. Magdalena Rybacka powiedziała mi, że tego dnia Agnieszka była u lekarza.

- Jeżeli pan nie podejrzewał ciąży, to jak pan sobie tłumaczył pilność rozmowy, dla której Agnieszka Marczak wzywała pana w niedzielę?

- Nie widzieliśmy się od paru tygodni. Myślałem, że chce omówić nasze stosunki, które ostatnio się popsuty.

- Prosiłbym pana o bliższe wyjaśnienie, o co chodziło.

Tu jednak Milski dał odpowiedź wymijającą. Dopiero później, znacznie później, kiedy się załamał, zaczął opowiadać o wszystkim z otwartością, która wzbudzała wręcz niesmak. Analizował własne intencje i posunięcia z precyzją godną lepszego użytku. „Naukowiec!” - mówił do doktora po takich jego wynurzeniach kapitan z grymasem obrzydzenia.

„Ja też nie rozumiem tych jego wynurzeń - pomyślał Gellert.

- Jak może człowiek inteligentny tak dalece, bez skrępowania odsłaniać swoje zakamarki duchowe? Co go do tego skłoniło?

Lęk? Ależ nikt bez jego pomocy nie dotarłby do tych tajemnic. Na przykład, do jego starannie rozpracowanego systemu zrywania z kobietami.

Swojego rodzaju ekshibicjonizm? Też wątpliwe. Nigdy przedtem tego nie okazywał.

Więc co?

Najprawdopodobniej Milski nie rozumie, jak bardzo sam siebie kompromituje pod względem moralnym. Wobec siebie stosuje specjalne kryteria. Co szpeci innych, jemu dodaje uroku. Jest od dawna zachwycony sobą, aż do zatracenia wszelkiego samokrytycyzmu. (Wpojono mu to od dzieciństwa.) W jego poczuciu wszystko, co składa się na jego osobowość, już przez to samo staje się czymś ciekawym i wartościowym.

Tak, tu chyba tkwi sedno. Mógłby popełnić jakikolwiek czyn, a znalazłby dla niego pochlebne dla siebie wytłumaczenie”.

Od refleksji doktor powrócił do przeglądu faktów.

Żeby obalić twierdzenia Milskiego, Wołodko przytoczył mu zeznania Magdaleny:

- Świadek Rybacka podaje, że w drugiej połowie stycznia denatka, ulegając sugestii świadka, postanowiła powiadomić pana o swojej ciąży.

- Może i postanowiła, ale zadzwoniła do mnie dopiero szóstego lutego.

I przy tym twierdzeniu Milski się upiera. Gdyby mógł udowodnić, że nic nie wiedział o ciąży Agnieszki, cała psychologiczna konstrukcja jego zbrodni straciłaby główny punkt oparcia.

Po kilku wizytach w urzędzie śledczym pytania zaczęły się koncentrować wokół alibi Milskiego.

Utrzymywał, że w niedzielę wieczorem, od pół do ósmej, kiedy wrócił z baru mlecznego, już nie opuszczał swojego mieszkania, pracował do pół do piątej nad ranem, potem położył się spać, a o dziesiątej był już w redakcji „Życia Gospodarczego” z gotowym artykułem.

Ten ostatni fakt potwierdzono w redakcji, natomiast nikt nie poświadczył, że Milski przez całą noc nie opuszczał mieszkania.

Kiedy zorientował się, że jest podejrzany o zabójstwo Agnieszki, stracił pewność siebie i zaczął się denerwować. Przyniósł numer czasopisma ze swoim artykułem i zaświadczenie, że termin siódmego lutego był nieprzekraczalny, bowiem opóźnienie materiału groziło wydawnictwu poważnymi stratami finansowymi. To jednak nie podbudowało

alibi Milskiego.

Poczuł, że krąg podejrzeń wokół jego osoby się zacieśnia. I popadł w panikę.

Podtrzymywał nadal kolejność podanych przez siebie faktów, ale nieco zmienił ich interpretację. Mianowicie.

Przedtem na pytania dotyczące ewentualności ożenku z Agnieszką odpowiadał w ten sposób:

- Powtarzam: żadne z nas nie zamierzało nadać naszym stosunkom formy małżeństwa.

- Czy przyście na świat waszego dziecka nie pociągnęłoby za sobą konieczności zalegalizowania tego związku?

- Owszem, to zmieniłoby sytuację. Ale, o ile wiem, Agnieszka była zdecydowana na to, żeby ciążę usunąć. Oczywiście, gdyby się rozmyśliła i uważała, że w imię dziecka należy się pobrać, musiałbym dostosować się do jej życzenia, aczkolwiek niechętnie.

- Niechętnie?

- Tak. Jestem w zasadzie przeciwnikiem związków małżeńskich. ,

Za późno zorientował się, że taka odpowiedź go obciąża, bo sugeruje, iż za wszelką cenę pragnął uniknąć przymusowego ożenku.

Potem już inaczej rozstawiał akcenty:

- Każdy, kto znał Agnieszkę Marczak, wie, że nie zamierzała ona wychodzić za mąż. Powiedziała do mnie, że nawet gdyby już była sławną aktorką i nie obawiała się o swoją karierę, nie wyszłaby za mąż, bo - jak się wyraziła

- małżeństwo to zawsze kajdany. Otóż i ja nie obawiałem się z jej strony żadnego nacisku.

- Jednak po urodzeniu dziecka mogłaby zmienić zdanie.

- Wątpliwe. Magdalena Rybacka słyszała od niej, że nawet jeżeli urodzi, to będzie wychowywała dziecko sama, bez niczyjej pomocy.

To była prawda.

- Czy korespondował pan z denatką?

- Nie. Widywaliśmy się często i oboje mieliśmy telefon, więc nie potrzebowaliśmy pisać do siebie.

- A kiedy ktoś z was wyjeżdżał z Warszawy?
- Wyjeżdżaliśmy nie na długo i wtedy telefonowaliśmy do siebie.

- A kartka, zostawiona w niedzielę w drzwiach pańskiego mieszkania?

- To był jedyny wyjątek.

- Nie jedyny, bo i list rozpoczęty w domu, użyty przez mordercę w charakterze kartki pożegnalnej.

- Tak, prawda. Ale ja go nie otrzymałem.

W tym punkcie Milski również nie zmienił zeznań.

Na razie oskarżenie opierało się na słabych podstawach: brak alibi, kartka Agnieszki zostawiona w drzwiach jego mieszkania oraz rozbieżność między zeznaniami Rybackiej a Milskiego w kwestii głównej - czy wiedział przed zgonem Agnieszki o jej ciąży. Gdy jednak w połowie kwietnia, podczas ferii wielkanocnych, Milskiego aresztowano i zrobiono u niego rewizję, sytuacja kardynalnie się zmieniła. Znalazł się w jego mieszkaniu dowód Winy, dowód jak najbardziej materialny, nie do zaprzeczenia.

W schowku nad drzwiami wejściowymi, pod stosem rupieci i starych papierów, wykryto paczkę zawierającą całą korespondencję zabitej, którą skradziono w noc morderstwa. Listów od oskarżonego tam nie było. Zarówno opakowanie, jak i listy były starannie otarte ze śladów.

Milski zaklinał się, że tej paczki nigdy nie miał w ręku. Słowom jego oczywiście nikt już nie dawał wiary. W więzieniu Milski od razu się rozkleił psychicznie. Ogarnął go chorobliwy lęk. Na widzeniu z ojcem rozplakał się i błagał, żeby mu wziąć najlepszego obrońcę.

- Nie żałuj pieniędzy - powiedział. - Gospościa wie, gdzie leży moja książeczka oszczędnościowa. Możesz wydać wszystko, do ostatniego grosza.

Ma odłożone trzydzieści cztery tysiące.

Ostatni raz, kiedy Gellert odwiedził go w więzieniu, Milski wyglądał jak upiór. Ręce mu latały, twarz miał ziemistą, wzrok obłąkany.

- Ożeniłbym się z nią, na pewno bym się z nią ożenił -

powtarzał z maniackim uporem. - Nic nie wiedziałem o jej ciąży.

- A może ona sama nie chciałaby wyjść za pana - zauważył doktor.

- Wszystko jedno. Ożeniłbym się z nią, na pewno bym się z nią ożenił.

To już przypominało malinę.

- W zasadzie to byłoby wszystko - powiedział na głos Gellert.

- Co mówisz? - odezwał się od biurka gospodarz. - Skończyłeś swoje rozważania?

- Tak.

- Ja też jestem gotów. Rozdzielając się, zaoszczędziliśmy dużo czasu: to nam zajęło dwadzieścia minut. Możemy kontynuować naszą naradę.

- Zaczynaj ty. Zreferuj Oszczyrkę. Zostawmy Milskiego na zakończenie.

- Dobra.

Wołodko zebrał swoje notatki i znów przeniósł się na fotel naprzeciwko doktora.

Rozdział szósty **Eliminacje końcowe**

- Zarówno pod względem charakterologicznym, jak i techniki dokonania morderstwa należy uznać, że Paweł Oszczyrko mógł być sprawcą tej zbrodni - zaczął swoją relację Wołodko. - W przybliżeniu to by wyglądało tak... Broszka została skradziona w grudniu?

- Tuż przed Bożym Narodzeniem.

- Otóż Oszczyrko przyszedł do pani Marczak bez takiego zamiaru, po prostu po świąteczne. Nie chcąc zadowolić się zmniejszonym o połowę datkiem proponowanym mu przez Franciszkę Kozłowską, postanowił poczekać na panią domu, której hojności niejednokrotnie na sobie doświadczył.

Znalazłszy się w jej pokoju, zauważył na sekretarce broszkę. Od razu chyba zorientował się w wysokiej cenie klejnotu. Możliwe, że dostrzegł go dopiero po paru minutach, a może dla

przyzwoitości odczekał chwilę. W każdym razie wychodząc z mieszkania pani Marczak, miał broszkę w kieszeni. W domu pewnie schował ją w dobrej skrytce.

Odczekał też kilka dni, nie wiedząc, jakie posunięcia zrobi profesorowa, by odnaleźć zgubę. Zorientował się, że nie zwróciła się do milicji - przecież wezwano by go w pierwszej kolejności, jako dozorcę. Prawdopodobnie śledził panią Marczak i przekonał się, że chodzi po sklepach jubilerskich szukając broszki. Postanowił więc przez czas dłuższy jej nie sprzedawać.

Obserwował też bacznie, jak zachowują się wobec niego matka i córka. Agnieszka z nim się nie witała, ale nie było w tym nic alarmującego, postępowała tak i przedtem. Z tego, że nie zagadnęła go o broszkę, wywnioskował - i słusznie - że nie wiedziała o jej zniknięciu. Pani Marczak nadal była wobec niego uprzejma, choć zażenowana. Przypuszczam, że Oszczyrko poznał się na jej charakterze i nie obawiał się z jej strony przykrości. Pozostaje jeszcze Franciszka Kozłowska.

- Zapomniałem ci nadmienić, że kiedy profesorowa postanowiła zawrzeć z dozorcą kompromis, to zapewniła Franciszkę, że zguba się odnalazła.

- W takim razie i zachowanie gosposi nie wzbudzało jego obaw. A z panią Marczak na wszelki wypadek nie wszczynał dłuższych rozmów, jak to miał zwyczaj czynić uprzednio. Więc czekał cierpliwie, aż sprawa przyschnie, a broszkę nadal trzymał w skrytce.

Sobotnia wizyta Agnieszki musiała go wprowadzić we wściekłość. Panienska z pewnością ostro i kategorycznie zażądała zwrotu skradzionej broszki i zmusiła go do tego, grożąc milicją. Wiedział, że z nią nie ma żartów i że w razie odmowy istotnie wprost od niego uda się do najbliższego komisariatu milicji. Zwrócił tedy zrabowany klejnot, ale postanowił się zemścić, a przy okazji zabezpieczyć przed wpadką.

Agnieszka prawdopodobnie obiecała, że w razie dobrowolnego zwrotu nie będzie go ścigała za kradzież. W pierwszej chwili uwierzył w to, potem zaczął wątpić. W słowa honoru z

reguły nie wierzy, opierając się na własnym w tym względzie doświadczeniu. Czemu więc miał polegać na słowie honoru panienci, która, jak wiedział, organicznie go nie znosiła?

A ryzykował, trzeba powiedzieć, wiele. W razie ujawnienia kradzieży przesiedziałby się z parę lat. Perspektywa niemiła. By ratować się przed nią, postanowił przede wszystkim zapobiec spotkaniu Agnieszki z matką po jej powrocie z Łodzi. Czasu więc miał niedużo, zaledwie kilka dni.

Nie wiemy, czy miał już na swoim koncie zabójstwa. Ale wiemy, że był szmalcownikiem, czyli że uśmiercał ludzi rękami gestapo. Pod względem moralnym jest to właściwie to samo co mord.

Tak więc możemy uważać za dowiedzione, że Oszczyrko miał niewątpliwy motyw do popełnienia tej zbrodni. Życiorys jego wymaga oczywiście sprawdzenia; jeżeli podane przez ciebie fakty się potwierdzą, będzie też jasne, że jako typ człowieka był zdolny do zabicia Agnieszki Marczak. Czyny jego można sobie wyobrazić w ten mniej więcej sposób.

O jedenastej dwadzieścia dozorca wpadł na parę minut do domu - może rzeczywiście po pieniądze, bo potem wybierał się do swojej kochanki, a może po coś innego. Przed pół do dwunastej zadzwonił do mieszkania numer czternaście.

- Pod jakim pretekstem?

- Pod byle jakim. Na przykład, że gdzieś w domu zdarzyła się awaria i trzeba zamknąć wodę lub gaz. Więc go wpuściła.

- Trudno jednak przypuścić, żeby wdała się z nim w rozmowę.

- Właśnie mógł powrócić do kwestii broszki, domagając się gwarancji, że nawet matce nie powie, gdzie odnalazła zgubę.

- A zatrute wino? Nie wyobrażam sobie, żeby zaprosiła do kieliszka tę „kreaturę”. Brzydziła się nim.

- Tu możemy wyręczyć się hipotezą, którą wysunąłeś w wypadku Dudka. Jeżeli Milski rzeczywiście dzwonił o jedenastej, że nie przyjdzie, wówczas Agnieszka, już nie czekając na niego i chcąc odespać poprzednią noc, sama zażyła proszki nasenne.

- I od razu zasnęła? - z powątpiewaniem spytał doktor.

- Nie od razu. Po pierwsze, było już pół do dwunastej, kiedy Oszczyrko u niej się zjawił; proszki mogła zażyć o pół godziny

wcześniej. Po drugie, pertraktacje z nim mogły się przeciągnąć. Wyczerpana fizycznie i nerwowo, poczuła gwałtowną senność, co on zauważył. I co postanowił z rozmysłem wykorzystać.

Dalszy bieg wypadków przypuszczalnie wyglądał tak. Zasypiając w fotelu, Agnieszka prosiła go, żeby opuścił jej mieszkanie. Wszedł na schody, a przysłuchując się pod drzwiami, przekonał się, że Marczakówna nie przekreśliła klucza. Nie obawiał się, że drzwi na dole zostaną o dwunastej zamknięte, ponieważ sam pełnił tę funkcję. Miał więc przed sobą czas nieograniczony. Mógł odczekać choćby i godzinę, póki panienka zaśnie na dobre. Kiedy wrócił, istotnie spała bardzo mocno w fotelu.

- Rozważ jeszcze jedną ewentualność - przerwał mu Gellert. - Oszczyrko zawczasu podrobił klucz i dostał się do mieszkania Agnieszki już wtedy, gdy ona mocno spała w fotelu.

- Oczywiście, dozorca z łatwością mógłby wykorzystać moment, kiedy na schodach nikogo nie było, żeby zrobić wycisk woskowy z zamka. Zastanawiałem się nad taką ewentualnością, jednak w końcu ją odrzuciłem.

- Dlaczego?

~ Bo gdyby Oszczyrko miał podrobiony klucz, nie musiałby zostawiać drzwi otwartych, opuszczając mieszkanie po odkręceniu kurków.

- Też racja. Ale mów dalej: co zrobił dozorca, kiedy powtórnie wszedł do mieszkania i zobaczył śpiącą Agnieszkę?

- Myślę, że zaczął od poszukiwania broszki, którą chciał skraść ponownie. W tym celu przeszukał cały pokój pani Marczak - oczywiście, bezskutecznie, ponieważ Agnieszka zgubiła broszkę u Marceliny.

- Przy rewizji nie wykryto jego śladów w tym pokoju?

- Milicja nie zwracała specjalnej uwagi na pokój matki, badania koncentrowały się na miejscu wypadku i na przedmiotach, których mogła dotyczyć ofiara i jej morderca.

- Przeoczenie.

- Za późno by dziś o tym mówić. Faktem pozostaje, że pokój pani Marczak był zrewidowany pobieżnie. Nie znalazłszy broszki u jej właścicielki, Oszczyrko zabrał się do torebki córki i do jej

pokoju. Myszkując w biurku, natrafił na rozpoczęty list do Milskiego. Zrozumiał, że może ująć za kartkę pożegnalną samobójczyni.

- Niezrozumiałe jest jednak, po co zabrał ze sobą korespondencję Agnieszki. Co go w niej mogło interesować?

- Agnieszka trzymała swoją korespondencję w zamkniętym na klucz, kosztownym pudełku. Może dozorca myślał, że tam właśnie znajduje się klejnot, a może skusił się na samo pudełko. Za dużo czasu zajęłoby mu wyłamanie zamka, postanowił więc zrobić to już u siebie.

- Tym bardziej że ktoś z lokatorów mógł wracać windą na górne piętro i Oszczyrko musiał się śpieszyć - dodał doktor.

- I to nie jest wykluczone. Czy mam wyklądać również dalszy przebieg zbrodni? Sądzę, że w zasadzie zbiega się z tym, cośmy już sobie naszkicowali przy poprzednich wersjach: wytarcie wszystkich śladów, odkręcanie kurków itd.

- Parę szczegółów nie będzie pasowało do wersji morderstwa w wykonaniu Oszczyrki - zauważył Gellert.

- Jakże mianowicie?

- Sam mówiłeś na początku, że winowajca jest dyletantem i dlatego wytarł wszystkie ślady, wskazując w ten sposób dokładnie, czego dotyczył. Oszczyrko zaś dyletantem nie jest.

- Owszem. Ale nie zapominaj, że nie był trzeźwy. I że pod koniec działał w pośpiechu.

- Jednak trudno pojąć, po co wycierał butelkę i dwa kieliszki, skoro Agnieszka z nim nie piła (o ile przyjmujemy, że sama zażyła proszki nasenne).

- Czy ja wiem... Może z głupoty, bo mu się nawinęły pod rękę.

- Nie nawinęły się, bo butelka stała pod oknem, a kieliszki w kredensie, wśród wielu innych. Musiał te przedmioty specjalnie wyjmować, wycierać i stawiać z powrotem. Po co?

- To są szczegóły do dalszego wyjaśnienia i sprecyzowania. Podaję teraz tylko pierwszy, roboczy wariant. Nie spodziewałeś się chyba, że w ciągu kilkunastu minut rozpracuję dokładną wersję?

- Nie mam przecież do ciebie pretensji, tylko wskazuję punkty, które wymagają dopracowania.

- Słusznie. Nad nimi zastanowimy się później, przy pomocy majora i jego aparatu.

- Dla ścisłości, to raczej oni korzystają z naszej pomocy - przypomniał Gellert.

- Wszystko jedno. Więc z Oszczyrką na dziś skończone?

- Myślę, że tak - zgodził się doktor. - Wydaje mi się, że niezależnie od tego, czy dozorca istotnie zamordował Agnieszkę, tak zadarł z kodeksem karnym, że należy mu się niezwłoczne zainteresowanie ze strony organów ścigania. Mam wrażenie, że i po okupacji nie zerwał ze światem przestępczym i działa w podziemiu gospodarczym.

- W takim razie przez niego można dotrzeć do innych spraw, czekających na wyjaśnienie.

- Bardzo możliwe. Major będzie ci bardzo wdzięczny.

- Mniejsza o to. Na razie żegnamy Oszczyrkę.

- Jeszcze jedno! Jeżeli nawet dozorca skusił się na kosztowne pudełko i zabrał korespondencję Agnieszki, to w jaki sposób znalazła się ona, już opakowana w zwykły papier, w schowku Milskiego? To też ważna rzecz do wyjaśnienia.

- Oczywiście. Ale to pytanie też odkładamy na później. Teraz przejdźmy do sprawy Milskiego, może przy jej omówieniu nasunie się nam coś i na ten temat. Oddaję ci głos. Czy już przewyciężyłeś swoją fobię?

- Niezupełnie, ale referować mogę.

- Słucham cię, doktorze.

Gellert skupił się, porządkując myśli.

- Chyba nie warto przypominać strony faktycznej, znanej nam obu - zaczął. - Chodzi o jej interpretację i podsumowanie. Tak?

- Naturalnie, o nic więcej.

- Zatrzymam się więc tylko na wydarzeniach, rzucających światło na oskarżonego i jego postępowanie.

Romans Agnieszki Marczak z Sewerynem Milskim rozpoczął się w połowie października ubiegłego roku i rozwinął się nader szybko. Sprzyjały temu z jednej strony warunki obiektywne - miał własną kawalerkę - jak też usposobienie i poglądy uczestników romansu. Oboje zazwyczaj traktowali lekko

sprawy miłosne.

Sądzić należy, że jeśli nastawienie partnerów było jednakowe przy starcie, to wkrótce Agnieszka zaczęła angażować się w tę przygodę poważniej. Na początku Milskiemu to sprawiało jedynie przyjemność, bo przyjaciółka opiekowała się nim i mieszkaniem, interesowała się jego sprawami zawodowymi i często u niego nocowała. Ze bardzo mu odpowiadała jako kochanka, zdaje się nie ulegać wątpliwości. On sam to podkreśla.

- I to z wielkim ferworem! - wtrącił kapitan.

- Po pewnym jednak czasie Milski spostrzegł, że jej wkład uczuciowy przewyższa jego zapotrzebowanie. Wierzę mu, kiedy oświadcza, że z zasady jest przeciwnikiem małżeństwa. Dodać trzeba, że każdy dłuższy związek z kobietą, nawet bez zobowiązań materialnych i ślubnych, jemu nie odpowiada. Woli miłostki krótkotrwałe i różnorodność asortymentu.

Ten romans stanowił wyjątek w jego praktyce o tyle (opieram się na jego własnych wyznaniach), że trwał dłużej od wszystkich poprzednich - sam z siebie, wskutek nie słabnącego wzajemnego zainteresowania i zaangażowania erotycznego. Nie jest wykluczone, że z biegiem czasu Milski na tyle przywiązałby się do Agnieszki, że sam zapragnąłby dłuższego z nią pożycia. Niekoniecznie, rzecz; jasna, zarejestrowanego w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Stanęła temu na przeszkodzie pewna cecha jego charakteru. Zanim doszło do takiej zażyłości, zaczął się niepokoić komplikacjami, które mogłyby zagrozić mu w dalszej przyszłości, gdyby Agnieszka jemu się już znudziła, natomiast on jej - nie. Co by było, gdyby. Takie gdybanie leży w jego naturze.

Nie zamierzając z nią zrywać w ciągu najbliższego półrocza, na wszelki wypadek zaczął myśleć o zabezpieczeniu się. Nie działać, tylko myśleć. Ale mimo woli odbiło się to na ich wzajemnych stosunkach. Przy pewnych rozmowach Agnieszka wyczuła jego ukryte myśli. Bardzo wrażliwa na punkcie ambicji kobiecej, odnotowała to sobie w pamięci.

Sprawę bardzo skomplikowała jej ciąża. Ukrywała ją przed

nim - częściowo żeby nie nastroić mu kłopotu, częściowo zaś z teźże ambicji kobiecej. Widocznie chciała mieć dziecko, ale nie chciała narzucać się przyjacielowi z podobnym problemem. W rozmowie na temat dzieci - tej, którą Milski powtórzył w śledztwie - zorientowała się, że on temu dziecku nie będzie rad. Jak wiemy, z pewnym opóźnieniem, ale zdecydowała się na przerwanie ciąży. Właśnie po tej rozmowie. Czy powiadomiła Milskiego o swoim stanie i zamiarach?

- To nie ulega wątpliwości! - energicznie stwierdził Wołodko.

- Wiem, że tak myślisz, opierając się na zeznaniach Rybackiej. Wybacz jednak, jeżeli z tobą w tym się nie zgodzę. Rybacka podaje, że Agnieszka na jej argument, że ojciec przyszłego dziecka ma prawo, na równi z matką, zabierać głos w tej sprawie, odpowiedziała: „Dobrze, po myślę nad tym”. Było to po incydencie ze *starym* Milskim, czyli w ostatniej dekadzie stycznia.

„Dobrze, pomyślę nad tym” - to jeszcze nie jednoznaczna decyzja. Mogła odłożyć tę rozmowę aż do wizyty u prywatnego lekarza, czyli do szóstego lutego. Tak twierdzi oskarżony, i ja osobiście skłaniam się do przekonania, że tak istotnie było.

- Milski tak twierdzi, bo w ten sposób obala ważki punkt oskarżenia! Jak ty tego nie rozumiesz? Powodem do zbrodni była chęć pozbycia się kochanki, która mogła wykorzystać dziecko, żeby zmusić go do ożenku.

- Milski uzasadnił bardzo logicznie, że nawet gdyby wiedział o ciąży Agnieszki, mógłby się nie obawiać z jej strony żadnego nacisku. Istotnie, nikt ze znających dobrze Agnieszkę nie wyobrazi jej sobie w charakterze szantażystki, która łapie męża wbrew jego woli. Pomyśl: czy to do niej pasuje?

- Sam powiedziałaś, że poważnie przywiązała się do Milskiego w ciągu tych trzech miesięcy. Był to, o ile się nie mylę, pierwszy wypadek w jej życiu. Zmieniło jej się usposobienie, stała się domatorką i niemal dobrą gospodynią. Od tego jeden krok do zmiany ogólnych poglądów na sprawy miłosne i rodzinne.

- Ale nie w tym kierunku, na Boga! Kilkakrotnie oświadczyła Magdalenie - i o tym wiemy - że ma zamiar sama wychowywać dziecko, nie zwracając się o pomoc do Milskiego ani nawet do

matki.

- Skąd wiesz, że to nie były tylko słowa, poza, nadrabianie miną? Wówczas wiedziała już, że Milski nie jest skory do ożenku. Nawet z nią, mimo miłosnej sielanki.

- Jestem głęboko przekonany, że to nie była poza - oświadczył Gellert. - Agnieszka raczej zerwałaby z nim, niż domagała się na siłę, żeby ją poślubił.

- Czym poprzecz swoje subiektywne wrażenie?

- Ze wszystkiego widać, że to była Wyjątkowo harda i wartościowa dziewczyna.

- Te-te-te! Zdaje się, że ją idealizujesz. „Niezwyczajna osobowość, różne psychiczne magnesy, dar bycia sobą itd. itd.” Mówisz jak zakochany.

- Ty także jesteś pod jej urokiem, jak powiedziałeś mi nie dalej jak dziś. Dlaczego teraz koniecznie chcesz ją oczernić?

- Nie oczernić, tylko spojrzeć na nią trzeźwo, bez uprzedzeń. Dziewczyna jak wiele innych, jak tysiące a tysiące w dzisiejszym świecie, polskim i gdzie indziej. Miała dobry apetyt, brała od życia wszystko co przyjemne, nie żałując sobie ani partnerom.

- Ujęcie, powiem ci wprost, bardzo płytkie - zauważył doktor.

- Po prostu realistyczne. A kiedy ją przyskrzypiło, bo się zakochała, wtedy poszła po rozum do głowy i postanowiła, że przywiąże do siebie wybrańca na dobre. W takich wypadkach kobieta nie brzydzi się i szantażem, jest to środek uświęcony odwieczną tradycją.

- Zagalopowałeś się, mój drogi. Na razie akt oskarżenia nigdzie nie wspomina o ewentualności szantażu ze strony Agnieszki. Zaznacza się tylko, że Milski mógł obawiać się tego, natomiast oskarżyciel nie wdaje się w ocenę, czy jego obawy były uzasadnione.

- W tym wypadku poczuwam się do męskiej solidarności z oskarżonym! - wykrzyknął kapitan z wyraźną irytacją.

- I twierdzę, że właśnie były całkiem uzasadnione. Powiem więcej: ponieważ Milski wiedział o jej stanie, w co nie wątpię, Agnieszka na pewno zdążyła z lekka zaszantażować go. Tak, to jest dla mnie jasne!

- Oskarżony jakoś nie odwzajemnia ci się solidarnością w tej

kwestii - powiedział doktor bardzo spokojnie. - Wyklucza on podobne pobudki ze strony Agnieszki, powołując się na powszechnie znane cechy jej charakteru. Uważam, że trudno nie przyznać mu racji.

- Wyklucza, bo to dla niego korzystny argument! Jedyna deska ratunku! Zrozumże to wreszcie!

Wołodko w zdenerwowaniu sięgnął po koniak.

- Nie pij więcej, to cię podniecą - zwrócił mu uwagę Gellert. - Nie pojmuję, czemu się tak irytujesz. Nie żądasz chyba, żebym w tym zasadniczym punkcie zgodził się z tobą tylko z uprzejmości, wbrew przekonaniu. W wielu innych wypadkach przyznaję ci rację, ale tu nie mogę. Tu oskarżenie opiera się jedynie na gołosłownych domysłach.

- Dobrze. Przepraszam cię, uniosłem się. Nerwy istotnie mam w nie najlepszym stanie. Od dawna pluję sobie w brodę, że dałem się wciągnąć w to zawikłane śledztwo. Ono mnie wykończy. Zdenerwowałem się dziś zwłaszcza tym, że przez tego łobuza Oszczyrko trzeba będzie ciągnąć dalej całe to paskudztwo.

Doktor się roześmiał:

- No, jeżeli chodzi o ścisłość, to łobuzem powinienes nazwać mnie, a nie Oszczyrkę, który na pewno nie marzył o tym, żeby wystąpić w tej sprawie jako główny bohater!

Gospodarz też się roześmiał i sprzeczka poszła w zapomnienie.

- Gotów jestem zawrzeć z tobą kompromis - podjął Wołodko. - Przypuśćmy, że Milski rzeczywiście nic nie wiedział o stanie Agnieszki aż do szóstego lutego. Ale wtedy już na pewno poinformowała go o sytuacji, przecież po to go wzywała. I rozpoczęty list miał w ręku, jak wiemy. Był to grom z jasnego nieba. Wtedy w mózgu jego błyskawicznie powstał plan zbrodni. Działał pod wpływem impulsu, i właśnie dlatego wykonanie było nie przemyślane.

- Przypomnij mi, co powiedział Agnieszce lekarz prywatny - poprosił Leszek.

- W zasadzie to samo, co lekarz z przychodni. Że usunięcie pierwszej, przy tym zaawansowanej ciąży byłoby niebezpieczne

nie tylko dla zdrowia pacjentki, lecz mogłoby odbić się ujemnie na potomstwie przy następnych porodach. To Agnieszkę bardzo zdenerwowało. Nie chciała, zdaje się, zrezygnować z macierzyństwa w dalszej perspektywie.

- I na co, w końcu, się zdecydowała?

- Nie wiadomo. Ponieważ Milski neguje, że spotkał się z nią po tej konsultacji, treść ich rozmowy na ten temat pozostaje nieznana.

Gellert chciał coś powiedzieć; potarł sobie czoło i wzdrygnął się jak od zimna.

- Mam dreszcze, a jednocześnie pragnienie. Widocznie, nowa grypa anno 1966.

- Jeżeli chcesz, ja będę dalej referował Milskiego, a ty mnie tylko koryguj.

- Spróbuję jeszcze sam, a później zobaczymy - znów napił się wody. - Przejdę teraz do charakterystyki oskarżonego.

- Czy zmieniłeś pogląd na jego charakter?

- Tak.

- I to na jego korzyść?

- Praktycznie rzecz biorąc, może i tak.

- Muszę powiedzieć, że twoja fobia ma nietypowe objawy, kochany doktorze. Czy i w jego sprawie masz rewelacje?

- Nie tyle rewelacje, co przemyślenia. Dowiedziałem się o nowych szczegółach, które mogą okazać się dosyć istotne.

- I to wszystko zdążyłeś wykryć w ciągu tych paru dni, kiedy byłem w Krakowie?

- Tak się złożyło, Jurku. Nie miej mi tego za złe. Otóż mówiliśmy już o Lombroso i jego teorii antropologicznego typu zbrodniarza. Obaj się z nią nie zgadzamy. Uznać jednak należy, że istnieją pewne cechy psychiczne, które ułatwiają albo utrudniają dokonanie czynów zbrodniczych. Jak mi się zdaje, ty przeceniasz indywidualność Milskiego, demonizujesz go.

- Mianowicie?

- Jest to typek nie bardzo przyjemny, ale nic więcej. Karierowicz, który pracuje nie tylko głową, lecz i łokciami; spryciarz posługujący się kręactwem i, gdzie trzeba, tupetem; egoista zapatrzony we własną osobę; dziwkarz, który nie ma

specjalnych skrupułów, gdy chodzi o zdobycie lub porzucenie kobiety; skąpiec, który odkłada tysiące, a nie pomaga staremu ojcu. Ogółem biorąc, typ nie taki znów rzadki, tylko że w dość młodym wieku (ma przecież dwadzieścia osiem lat) osiągnął znaczną doskonałość gatunku.

Można by wspomnieć i o jego zaletach, które bez wątpienia posiada (choćby nieprzeciętna inteligencja i szeroki wachlarz zainteresowań), ale nie one interesują nas w aspekcie jego predyspozycji do zbrodni. Bo Milski nie ma właśnie tych walorów, które dla zbrodniarza są nieodzowne. Przede wszystkim - brak mu odwagi.

Dla zbrodni popełnionej z premedytacją potrzebny jest pewien rozmach, format psychiczny, kaliber. Milski jest zdolny do drobnych łajdactw, i tyle. Jest tchórzem, nie wda się w żadne ryzykowne przedsięwzięcie, gdzie można stracić wolność i życie. Jego układ nerwowy nie wytrzymuje większego ciśnienia z zewnątrz.

Popatrz na jego życiorys. Wszystko dobrze, póki idzie mu dobrze. Wtedy jest królem życia, rozkosznym Don Juanem i przyjacielem ludzkości (ekonomista, badacz bolączek społecznych!). Dotychczas znał tylko małe niepowodzenia, które nie powstrzymały jego planowej wspinaczki w górę, gdzie czeka sława naukowa, grubszy pieniądz, zagraniczne wyjazdy i oczywiście kobiety, kobiety...

Obecnie po raz pierwszy znalazł się w poważnej opresji. Zagrożona jest jego wolność, a może i życie. Jak reaguje?

Sledztwo jest w toku. Milski ma dobrego obrońcę, może, jak to w poszlakówce, wykorzystać każdy słabszy punkt oskarżenia, a takich, przypominam, jest dużo. Powinien by zmobilizować cały rozum, wolę, wszystkie zdolności, żeby walczyć o swoje uniewinnienie. I cóż? Zamiast tego od razu się rozlaźł, zamienił się w szmatę. Czy to jest wysoki kaliber?

- Zdarza się to i starym wygom, recydywistom - zaproponował Wołodko.

- Tylko w drodze wyjątku. A u Milskiego jest to naturalną konsekwencją charakteru. Nie przeczę: gdyby jakaś specjalna sytuacja postawiła go przed koniecznością wyboru: zabić kogoś

czy stracić własne życie? No, wtedy mógłby targnąć się na życie człowieka. I to raczej w afekcie niż z premedytacją.

Ale takiej podbramkowej sytuacji w wypadku z Agnieszką nie było, powiedzmy to sobie wyraźnie. Co mu z jej strony groziło? Nic albo prawie. Najwyżej kilka niemiłych rozmów i nadszarpnięta opinia w środowisku. Szantaż nie wchodzi tu w grę, Milski był tego całkowicie świadom.

- Bagatelizujesz komplikacje, jakie by miał, gdyby po urodzeniu dziecka uchyłał się od ożenku z Agnieszką. A tego sobie, jak zeznawał, stanowczo nie życzył.

- Wielkie mi rzeczy! To już nie czasy Ulany, nikt nie robi tragedii greckiej z porzucenia panny z dzieckiem, od samych pańien poczynając. Doskonale sobie radzą bez prawowitego małżonka, nawet te mniej ambitne i mocne niż Agnieszka. Owszem, znajomi na początku boczyliby się na Milskiego, potem daliby mu spokój.

- A kariera na uczelni? Popsułyby ją sobie niezawodnie. W świecie profesorskim dba się jeżeli nie o samą moralność, to przynajmniej o zachowanie pozorów.

- Nie przesadzajmy. Może - chociaż wątpię - z tego powodu dostałby docenturę o parę lat później. Ale zastanów się: czy to może posłużyć za motyw do zbrodni?

- Dla karierowicza, jak sam go nazwałeś, bezwzględnie tak.

- Mylisz się. Nie ucina się sobie nogi dlatego, że but uwiera. Nie podejmuje się szalonego ryzyka, żeby uniknąć niewspółmiernie drobniejszych kłopotów. Nie mówiąc już o tym, że Milski z właściwym sobie sprytem potrafiłby zaaranżować wszystko tak, żeby na zewnątrz zachować postawę wobec Agnieszki życzliwą i wielce szlachetną. Stworzyliby wrażenie, że to ona odrzuciła jego rycerskie propozycje. Co więcej: tak by się stało naprawdę.

Reasumuję. Mów co chcesz, a ja twardo obstaję przy twierdzeniu, że śledztwo nie wykryło w wypadku Milskiego dostatecznie ważkich powodów do zabicia Agnieszki.

- Trudno - ostro powiedział kapitan. - Dla mnie te powody są oczywiste.

- Przypominam ci, że nasza narada jest nieoficjalna, jak też w

ogóle mój udział w roztrząsaniu zagadnień, wykraczających poza moje bezpośrednie funkcje psychiatry obserwującego kilku podejrzanych. Milski do nich nie należy - na razie. Nie musisz referować w urzędzie, że zgłosiłem liberum veto.

- No, no, nie obrażaj się, Leszku! Bądź pewien, że lojalnie wyłożę zarówno twój, jak i mój pogląd. Zauważyłem jednak, że cały czas rozpatrujesz casus Milskiego wyłącznie w aspekcie charakterologicznym i atakujesz najsłabiej udokumentowane punkty oskarżenia. Zupełnie tak, jak gdybyś pragnął zastąpić nieobecnego tu obrońcę.

Czy nie zechciałbyś wspomnieć również o mocnych punktach oskarżenia?

- Skoro już imputujesz mi zapędy adwokackie, może ty z kolei zastąpisz prokuratora i zreferujesz te mocne punkty? - zaproponował Gellert.

- Dobrze. Pominąłeś sprawę alibi, od której zaczynaliśmy przedtem nasze rozważania. Jak wiadomo, Milski nie posiada wiarygodnego alibi. Papierki, które przyniósł z wydawnictwa, są śmiechu warte. Nie ma ani jednego świadka, który potwierdziłby, że oskarżony cały wieczór i noc z niedzieli na poniedziałek spędził w swoim mieszkaniu.

- Nie mógł mieć takich świadków, ponieważ mieszka sam i ma klucz od bramy. Z drugiej strony, nikt nie zeznał, żeby z domu wychodził. Nawiasem mówiąc, jeżeliby skazywano ludzi tylko za to, że nie mają alibi, nie starczyłoby więzień na całym świecie. Na przykład, ja też nie miałbym alibi na ten feralny wieczór i noc.

- Nie wygłupiaj się! To nie tobie zamordowana zostawiła kartkę w niedzielę wieczorem... o, tę kartkę. Przeczytam ci ją - powiedział kapitan sięgnąwszy po akta.

- Nie fatyguj się, dobrze pamiętam. Prosi Milskiego, żeby koniecznie przyszedł do niej o jedenastej, w bardzo pilnej sprawie.

- Właśnie. A o pół do dwunastej została uśpiona i później zatruta gazem. W takich okolicznościach posiadanie alibi staje się koniecznością.

- Znów mówiąc nawiasem, w niektórych wypadkach

nieposiadanie alibi świadczy na korzyść podejrzanego. Minimalnie sprytny morderca zabezpiecza sobie pozory alibi, od tego zaczyna planowanie zbrodni. Milskiemu nietrudno byłoby o takie pozory. Mógłby, na przykład, zatelefonować z automatu w pobliżu domu Agnieszki do kogoś ze swoich znajomych, uskarżając się, że musi całą noc pracować nad pilnym artykułem. Tymczasem on, jak twierdzi, wyłączył telefon, odcinając się od świata. Bardzo to było nieostrożne i mało przezorne.

- Nie wiadomo, czy rzeczywiście wyłączył telefon.

- Potwierdziło to kilka osób, które telefonowały do niego w ciągu dnia i wieczorem. Po północy, naturalnie, nikt już do niego nie dzwonił.

- Tak czy owak liczymy się z faktem, że Milski alibi nie ma. To rzecz zasadnicza.

- Mogę cię powiadomić, że Milski alibi ma.

- Nie bierzesz chyba poważnie jego zapewnień o całonocnej pracy przy biurku? Zresztą, mógł doskonale zrobić przerwę półtoragodzinną, pojechać do Agnieszki i wrócić, nie będąc przez nikogo zauważonym. Łatwiej by mu to przyszło niż Witoldowi Graczowi, który, jak dowodziłeś, mógł to uczynić, mieszkając w Nieborowie.

- Oczywiście, mógłby, ale tego nie zrobił - ani jeden, ani drugi. Wyobraź sobie, że zapewnienia Milskiego się potwierdziły. Kropka w kropkę.

- Jakim cudem?

- Zaraz to właśnie zreferuję. To też efektowna historia, w której jako sztukmistrz występuje Przypadek, przez duże P. Proszę cię o chwilę cierpliwości.

Przypominam, że Milskiemu bardzo zależało na terminowym ukończeniu artykułu dla „Życia Gospodarczego”, bo gdyby nawalił, nie tylko straciłby dwa tysiące złotych, lecz także popsułby sobie stosunki z redakcją, która dostarczała mu dodatkowych zarobków. Ponieważ przez tygodnie zwlekał z tą pracą, teraz musiał w ciągu doby spłodzić przeszło arkusz tekstu.

Zasiadł więc do biurka. Przed tym wyłączył telefon, zaparzył

mocnej kawy i nastawił adapter, żeby dodać sobie natchnienia. To przecież meloman.

Tu mała dygresja. Parę dni temu odwiedziłem gospozię, która na prośbę Milskiego zamieszkała u niego, żeby pilnować rzeczy. To jego była niańka, powierzył jej swój klucz.

Sam nie wiem, co pociągnęło mnie do jego mieszkania. Może po prostu chciałem je obejrzeć. Wnętrze w jakimś stopniu mówi o właścicielu. Na przykład, jak to gustowne lokum o tobie.

Gospościa, zobaczywszy mnie, bardzo się ucieszyła. Jest już w podeszłym wieku, chwilami nawet cierpi na pomieszanie pojęć. Przykrzy się jej wieczorami w zupełnej samotności, poza tym bardzo przejmuje się uwięzieniem Milskiego. Nie wierzy oczywiście w żadną jego winę i wciąż powraca do jego tematu.

„Paaanie! - mówiła z miążdzącą ironią. - Czy pan Sewek może ożenić się ze wszystkimi? Dziewczyny same wieszają mu się na szyi, a potem się obrażają, że nie chce z nimi się żenić. Młody jeszcze, może poczekać. I po co go zamkli? Ciągali i ciągali do policji, a potem zamkli. Czy on może ze wszystkimi się żenić?”

„Pani Tereso - wtrąciłem ostrożnie - zdaje się, że nie o to go oskarżają. Niech pani mi powie: czy pan Seweryn zmienił się od czasu, jak umarła pani Agnieszka?”

„Nie od razu, ale odkąd zaczęli go ciągać. Zrobił się unikalny. - Zauważyła moje zdziwione spojrzenie i wyjaśniła obszerniej: - Unikał znajomych, a i do mnie rzadko się odzywał. Usiądzie przy biurku, patrzy, a nic nie pisze”.

„A przedtem dużo pracował?”

„Oj dużo, proszę pana! Nie wiem, skąd miał siły. Takie chuchro! Jak był mały, pamiętam, z łyżeczki trzeba było go karmić, z tego wyrósł na chuchro. A jak miał coś bardzo pilnego, to nastawiał muzykę. I zawsze to samo. On przy biurku pracuje, jemu to nic, a ja w kuchni czy w łazience się krzątam - i aż ze siebie wychodzę.

Z tego hałasu raz w wannie wody nie przykręciłam, zalało całą podłogę - nieszczęście, utopia! Ze trzy godziny potem mordowałam się, póki obeschło”.

„Nie pamięta pani, co pan Seweryn najczęściej nastawiał?”

„Gdyby to ładne piosenki! A to muzykę i muzykę, samą muzykę. Nieraz prosiłam: czy nie można choć na chwilę ten aparat wyłączyć, bo już sił nie mam. Nie, powiada, Tereso, to moje źródło natchnienia, czy jeszcze jak. Sąsiedzi też nieraz wytrzymać nie mogli, prosili, żeby wyłączył. A on: do dziesiątej mam prawo. No i robił po swojemu”.

Tu mi coś mignęło, jak objawienie. Odwiedziłem sąsiadów - i nie pożałowałem straconego czasu.

- Masz niewyczerpaną inwencję - z aprobatą zauważył, kapitan.

- Plony wywiadu przeszły moje oczekiwania. Milski mieszka, jak wiesz, w nowym budownictwie z fatalną akustyką. Sąsiedzi rzeczywiście musieli umieć na pamięć jego ulubiony repertuar muzyczny. Ma pokaźną płytotekę: Beethoven, Mozart, Schumann i inni, w najlepszych nagraniach. Na to nie żałował pieniędzy.

Owego wieczoru pracował oczywiście przy włączonym adapterze, posilając się muzyką i kawą. Sąsiedzi już dawno pogodzili się z losem i nie protestowali. Ale tak się złożyło, że pani Skorupko, mieszkająca przez ścianę, o jedenastej wróciła zmęczona z podróży służbowej i postanowiła porządnie się wyspać.

Jest to osoba dosyć nerwowa i energiczna, personalna w zakładzie produkcyjnym. Widziałem ją - nie da sobie chodzić po głowie. Zapukała do ściany sąsiada, a gdy to nie poskutkowało, zatelefonowała - oczywiście bez rezultatu, bo telefon był wyłączony. Wtedy zapukała mocniej i krzyknęła:

„Już po jedenastej, proszę pana!”

Milski dosłyszał (trudno by nie dosłyszeć: ściana cienka, a pani personalna ma głos tubalny). Nie odezwał się, ale adapter ściszył nieco. I dalej pracował. O pół do dwunastej pani Skorupko uznała, że muzyka brzmi jeszcze za głośno.

Znów pukanie, znów ściszenie aparatu o parę tonów. Po dwunastej rozległo się walenie w ścianę, które nie odniosło żadnego skutku, bowiem Milski wcale tym się nie przejął i tylko odkrzyknął, że w swoim mieszkaniu jest gospodarzem.

Pani Skorupko zaniechała dalszych upomnień, za to postanowiła nazajutrz zadziałać. I zadziałała. Złożyła w administracji domu prawdziwy memoriał. Dramatyczny opis wypadków, z zaznaczeniem daty nocnego koncertu, repertuaru, tudzież rozkładu kolejnych interwencji, od jedenastej dziesięć do czwartej dwadzieścia pięć, kiedy delikwent adapter wyłączył. Masz dokument, możesz dołączyć do akt.

Wołodko uważnie przeczytał duży arkusz papieru, zapisany z obu stron drobnym pismem kobiecym.

- Jednego nie rozumiem - powiedział chowając papier do kieszeni. - Dlaczego Milski nie powołał się na ten dokument?

- Bo nic o nim nie wiedział. Kierownik administracji zapewnił energiczną petentkę, że zajmie się sprawą niezwłocznie. Nie chciał jednak psuć sobie stosunków z dobrze sytuowanym lokatorem i włożył skargę do szuflady.

Ponieważ Milski nocnych koncertów już nie urządzał (miał za dużo kłopotów), pani Skorupko uznała sprawę za załatwioną. Pomna swych krzywd, przestała odpowiadać na ukłony dokuczliwego sąsiada, on zaś nie zamienił z nią przez to i pary słów, więc nie miał skąd dowiedzieć się o jej odwetowych krokach.

- Jednak: w poszukiwaniu alibi musiał zwrócić się do sąsiadów o potwierdzenie samego faktu, że zakłócał ich nocny spokój owym koncertem. I w pierwszym rzędzie - właśnie do pani Skorupko.

- Musiałby, oczywiście, gdyby przytomnie i logicznie rozumował. Ale, jak widzimy, nie wpadł na ten najprostszy pomysł. Można go zresztą zrozumieć: akompaniament do pracy i rezygnacja sąsiadów weszły już poniekąd w tradycję, więc ani jedna, ani druga strona nie przywiązywały wagi do poszczególnych dat.

Główna zaś rzecz - że stwierdzenie ogólne, iż muzyka grała przez cały wieczór i połowę nocy, nie gwarantowało jemu alibi: przecież mógł włączyć radio i wyjść na półtorej godziny. Tylko pani Skorupko, która pukała do sąsiada w krytycznych godzinach owego wieczoru, mogłaby poświadczyć jego obecność w mieszkaniu. A właśnie z nią stosunki Milskiego

definitywnie się popsują, tak że nawet jeżeli przychodziła mu myśl o zwrócenie się do niej po zaświadczenie, był pewien, że odmówi.

- A w jaki sposób zdobyłeś ten dokument?

- Po rozmowie z panią Skorupko. Kierownik administracji chętnie mi go odstąpił.

- Nic mi o tym nie powiedziałeś!

- Kiedy zaprosiłeś mnie na dzisiejszą naradę, postanowiłem ujawnić dokument dopiero po wspólnym przeanalizowaniu dotychczasowych wyników śledztwa. Chodziło mi z jednej strony o retrospekcję nie zmaçoną elementem nowym, wówczas nie uwzględnianym, a z drugiej... no, przyznam się do pewnej próżności czy dziecinady... z drugiej strony, chciałem trochę pobawić się twoim kosztem. Dowieść, jak chimeryczne mogą być podstawy najlogiczniejszych rozumowań, opartych nie na faktach, lecz na dociekaniach psychologicznych.

- Bawiłeś się wcale niezłe! - posepnie stwierdził gospodarz.

- Mam dla ciebie ogromny szacunek, Jurku, cenię twoją intuicję i logikę rozumowań. Mimo to dotkliwie odczuwałem cały czas brak realnych podstaw oskarżenia przeciwko Milskiemu. Chwilami wydawało mi się, że jesteś zbyt pewien swoich koncepcji, że zbyt mocno w nie uwierzyłeś, tak że podświadomie przyjmujesz fakty domniemane za ustalone niezbitie.

- Czyżby?

- Dlatego dziś bardzo mi się spodobało, kiedy na wstępie powiedziałeś, że nie masz stuprocentowej pewności. Właśnie wtedy ostatecznie postanowiłem, że odłożę ten dokument na zakończenie. Przecież gdybym go wyciągnął od razu, nasza narada miałaby całkiem inny przebieg. Z dużą stratą dla nas. Była to, moim zdaniem, dobra lekcja pogładowa na temat chwiejności nie podbudowanych hipotez.

Chciał sięgnąć po gauloise'a i skrzywił się, jak od bólu:

- Nie mogę ruszyć ręką. Zdrętwiała.

Spróbował wyciągnąć lewą rękę i znów się skrzywił:

- Co za szopka? Zdrętwiała i druga ręką.

Kapitan uważnie spojrzał na niego:

- Czy coś cię boli?

- Nie. Trochę szumi w głowie. I piecze w gardle, jak po ostrych potrawach. Pieczarki przecież były bardzo delikatne?

- Przeziębileś się.

- Tak, niestety. Poczekam, aż przejdzie to głupie odrętwienie, i zapalę, bo ochoty na papierosa nie straciłem. Bądź łaskaw, pomasuj mi dłoń.

Wołodko ujął jego rękę i zaczął rozcierać palce od koniuszków w górę.

- Nie tak - uśmiechnął się doktor. - W odwrotnym kierunku. Mocniej, mocniej, nie krępuj się. No chyba już starczy, dziękuję.

Był bardzo błady. Przymknął oczy, głowę oparł o fotel.

- Przerwijmy naradę, Leszku. Omówiliśmy najważniejsze rzeczy, reszta może poczekać. Chyba że masz jeszcze inne rewelacje?

- Mam - powiedział Gellert otwierając oczy. - Jedną.

- No to mów, jeżeli to cię nie męczy.

- Mogę mówić. Mam dowód rzeczowy. Bardzo materialny.

- Dowód? Na co?

- Słusznie dziś powiedziałaś, że morderca wychodząc z mieszkania ofiary musiał zostawić drzwi otwarte, ponieważ nie miał klucza, a gdyby skorzystał z klucza denatki, nie znaleziono by go później w mieszkaniu, co podważyłoby całą wersję samobójstwa. Otóż: Milski miał ten klucz, widocznie od Agnieszki.

- Skąd wiesz? Nie znaleziono go podczas rewizji ani przy nim, ani w mieszkaniu.

- Sięgnij, proszę, do mojej górnej kieszonki, to go znajdziesz.

Wołodko zerwał się i niecierpliwym ruchem zanurzył palce w kieszeni doktora. Wyjął płaski mosiężny klucz i pokręcił go w palcach.

- Prowadziłeś śledztwo na własną rękę - powiedział z nie ukrywaną pretensją. - Nie bardzo to było lojalne z twojej strony, wobec mnie i wobec milicji. Przekroczyłeś kompetencję doradcy od psychiatrii, wlałeś w zakres cudzych funkcji, i to w ukryciu nawet przede mną, Przecież to ja udostępniłem ci pewne materiały na zasadzie koleżeńskiej współpracy!

- Owszem, przyznaję. Ale, między nami mówiąc, ty też nie zawsze byłeś wobec mnie stuprocentowo lojalny. Po drugie - o co ci chodzi? Chyba tylko o wyniki dochodzeń, prawda? Zapewniam cię, że nie roszczę żadnych pretensji do laurów detektywa, wszystkie odkrycia wpiszesz na swoje konto.

- Mniejsza o to - skwitował przytyk Wołodko. - Jak znalazłeś ten klucz?

- Znów pomogła mi pani Teresa. Odwiedziłem ją powtórnie przedwczoraj. Była bardzo rozgoryczona.

„Pan Sewek jeszcze nie wrócił - oznajmiła głosem pozagrobowym. - To już koniec świata! Wszyscy niedługo będziemy mieli koniec świata, zobaczy pan! W przyszłym roku to już na pewno. Mówiła mi jedna taka, co się zna. Od Jehowy, chodzi tu po domach i Ewangelię czyta. Powiada: musowo w przyszłym roku wyznaczono Sąd Ostateczny. Tylko nie spa miętałam, którego dnia i miesiąca”.

„Szkoda świata, pani Tereso” - wtrąciłem.

„Eeeee! Ja tam Sądneho Dnia się nie boję. Niedużo mam grzechów, to może Pan Bóg wybaczy. A jeżeli spyta mnie (bo to, proszę pana, się zdarza): jakie Teresa Maliniak ma życzenia? Tobym powiedziała: dwa życzenia, Panie. Dwa skromne”.

„Jakie?” - spytałem ze szczerym zaciekawieniem.

„Pierwsze, proszę pana, to jak każda chrześcijańska dusza: ażebym żyła wiecznie”.

„Rzeczywiście skromne -- przyznałem. - No, a to drugie?”

„Drugie to może trudniejsze. Chciałabym wyjechać za granicę”.

- Znów dykteryjki!

- Ale smakowite, nieprawdaż? I autentyczne. Wracam jednak do naszego tematu.

„Od tego czasu, jak pana Sewka zaczęli ciągać do policji, chodzę jak skołowana - użalała się dalej pani Teresa. - Jeszcze w kwietniu, tydzień przed świętami, zaniiosłam do pralni jego szary garnitur. Rękawy miał zatłuszczone, aż wstyd. Nawet nie pytałam się go, bo może by nie pozwolił. Sama wyjęłam z szafy, bo chodził w tym brązowym garniturze, co go w nim zabrali do więzienia. I po co, proszę ja pana, zabrali? Za jakiej głupie

dziewczyny. Koniec świata, mówię!”

„I cóż z tym szarym garniturem?” - spytałem, żeby odwieść ją od drażliwego tematu.

„Przyjęli i. powiedzieli: będzie gotowy po świętach, bo teraz to mają dużo pracy, wszystkim się śpieszy. No, wzięłam ja kwit i poszłam. A tuż po świętach pana Sewka zamkli i jeszcze rewizję zrobili. Po co, pytam ja pana? Całe mieszkanie do góry nogami przewrócili, do schowka łazili i wszystko powyrzucali na podłogę. Trzy dni potem sprzątałam.

Mówię panu, po tej rewizji to już całkiem pamięć straciłam. Dopiero w tych dniach szukałam czegoś w portmonetce - o, widzi pan, ładną mam portmonetkę, od pani Agnieszki... szukałam i widzę: kwit z pralni. Matka święta! Przecież to już trzy miesiące temu! Mogą nie zwrócić! Ale zwrócili, chwała Bogu... Wszystko zwrócili, nawet ten kluczyk, co go pan Sewek miał w kieszeni”.

„Jaki kluczyk?”

„Ano ten. Całkiem niepotrzebny, bo nie pasuje do naszych drzwi. Muszę spytać się pana starszego, może to od jego mieszkania”.

Powiedziałem, że sam pojedę do ojca Milskiego, wzięłam kluczyk i natychmiast udałem się do pani Marczak. Klucz oczywiście pasował do jej mieszkania.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie było go przy rewizji - powiedział w zamyśleniu kapitan.

- Ty sam go szukałeś?

- Byłem tam razem z ekipą. To było zbyt ważne.

- Zrozumiałe. Więc wiesz, masz rzeczowe dowody na korzyść Milskiego. Dlatego tak broniłem go w poprzedniej dyskusji, a ty się złościłeś, że uzurpuję sobie funkcje adwokata. Mało brakowało, ażebyś wyprawił Milskiego na tamten świat.

- Złoszczę się nadal z powodu przedłużenia tej cholernej sprawy. Koniec świata, jak powiada twoja pani Teresa. I co teraz? Masz na podorędziu jakąś nową hipotezę?

- Zobaczymy, jak rozwinie się śledztwo w sprawie Oszczyrki.

- A jeżeli Oszczyrko odpadnie?

- Mam pewną koncepcję, bardzo niekonkretną, w najo-

gólniejszych zarysach.

- Wykładaj.

- Wydaje mi się, że wiele twoich założeń nadal należy uważać za słuszne - zaczął Gellert. - Nie jest to zbrodnia popełniona w afekcie, lecz z premedytacją. To jedno. Drugie: motyw najprawdopodobniej jest natury uczuciowej. Trzecie: trzeba wykluczyć kobiety i osoby bardzo złej kondycji fizycznej. To są zasadnicze punkty wyjściowe.

- No, a co poza tym? - nalegał kapitan.

- Że trzeba rozszerzyć krąg poszukiwań wśród męskich znajomości Agnieszki. Od początku zasugerowałeś się tym, że morderca należy do jej bliższego otoczenia, co niekoniecznie musi być prawdą. Mogą wchodzić w rachubę znajomości zupełnie przypadkowe, zawarte poza Warszawą, na przykład w Kazimierzu nad Wisłą albo przy dłuższym pobycie w domach wczasowych, gdzie stykają się ludzie z różnych środowisk i miast.

- Jak do nich dotrzeć? - z powątpiewaniem wtrącił gospodarz.

- Nie wiem. Im więcej czasu upływa, tym to będzie trudniejsze. Ale milicja chyba ma na to sposoby. Należałoby zebrać wiarygodne informacje o urlopowych kontaktach Agnieszki przynajmniej z ubiegłego roku.

- Czyli szukaj wiatru w polu! Dziękuję - znów zdenerwował się Wołodko.

- Wiele pomoże w tym względzie korespondencja zabitej.

- A właśnie! - zawołał kapitan. - Jeżeli Milski nie jest winowajcą, to jak wytłumaczyć, że w jego schowku znalazła się ta paczka listów, skradziona przez mordercę?

- Pojęcia nie mam. Trzeba się będzie nad tym głębiej zastanowić. Może morderca to jego znajomy? Może, wiedząc o toczącym się przeciwko Milskiemu dochodzeniu, skorzystał ze sposobności i podrzucił mu tę paczkę, żeby go ostatecznie obciążać?

- To się wyjaśni - powiedział w roztargnieniu Wołodko. - Jak się czujesz?

- Nie najlepiej. Nadal nie mogę ruszyć rękami. I jakieś parszywe osłabienie...

- Chcesz poleżeć? Przejdź na tapczan.

Gellert miał dziwny wyraz twarzy. Siedział sztywno i patrzył w jeden punkt.

- Co ci jest? - spytał gospodarz nachylając się nad nim.

- Gdybym to wiedział! - wykrztusił bezbarwnym głosem. - Nogi mi też zdrętwiały.

Wołodko odszedł do przeciwległej ściany i zapalił papierosa. Stał oparty o regał i przyglądał się Gellertowi. Obaj milczeli. Ciszę przerwał syk zegara, który zaczął wybijać jedenastą.

- No dobra - powiedział gospodarz sadowiac się znów naprzeciwko doktora. - Zabawa w kotka i myszkę się skończyła. Powiedz: kiedy zacząłeś mnie podejrzewać?

I położył na stole mauser.

Rozdział siódmy **Jak na spowiedzi**

- Masz rację, bawiliśmy się długo w kotka i myszkę - doktor mówił z widocznym trudem, usiłując ironicznie się uśmiechnąć. - Najśmieszniejsze, że każdy z nas uważał się za kotkę, rolę myszy przeznaczając rozmówcy.

Wołodko roześmiał się głośno, hałaśliwie. Cały się zmienił. Oczy błyszczały mu z podniecenia, ręka drżała, gdy nalewał sobie koniaku. Wypił go duszkiem i zapalił nowego papierosa. W jego ruchach była nerwowość człowieka, który odprężył się po długim napięciu i jeszcze nie odzyskał równowagi.

- Jak widać na załączonym obrazku - powiedział z błazeńskim gestem w stronę doktora - myszką jednak okazałeś się ty. Muszę cię powiadomić, że trzy godziny temu połknąłeś truciznę w koniaku.

Nieprawda!

- Słowo honoru, mój drogi. Najlepszy dowód, że już od kwadransa działa. Zaczyna się od drętwienia kończyn.

- Nie połknąłem trucizny! Idąc tu, byłem przygotowany na taki kawał i zabezpieczyłem się. Zamieniłem nasze kieliszki, kiedy byłeś w kuchni.

- Wiem o tym. I z góry wiedziałem, że tak zrobisz, bo podejrzewasz mnie, iż domyśliłem się twojego odkrycia, kim jest poszukiwany morderca. Mam w kuchni wspaniałe urządzenie, wiesz? System lusterek, który pozwala mi oglądać przez okienko - o, to okienko w ścianie, widzisz? - co robią goście, kiedy mnie nie ma w pokoju. Widziałem, jak przesuwałaś kieliszki. I bardzo mi się to podobało. Bo truciznę wlałem właśnie do swojego kieliszka.

- Łżesz!

- Ani trochę.

- A co byś zrobił, gdybym nie zamienił naszych kieliszków? Musiałbyś przecież wypić zatruty.

- Wcale nie miałem samobójczych zamiarów. Gdybyś nie przesunął naszych kieliszków, wiedziałbym o tym równie dobrze, bo cię śledziłem. Wtedy udałbym niezdarę i przewróciłbym swój kieliszek, a nawet stłukł. Nie bój się, nie ryzykowałem życia.

Chcicie wciągał dym i wypuszczał kółkami, które odprowadzał uważnym spojrzeniem. Zdawało się, że jest tym pochłonięty.

- Na wszelki wypadek miałem rezerwę -podjął znów. - Zatrute sardynki. Ale tego nie jadłeś. Rezerwa, szczęśliwie dla mnie, okazała się niepotrzebna. W najgorszym razie zatruliłbym pieczarki i wtedy podałbym je nie na patelni, lecz na talerzykach. Byłoby to niefortunne, bo opóźniłoby z? życie trucizny co najmniej o dwadzieścia minut. Jak się czujesz?

Doktor nie odpowiedział.

- Właściwie można by tu postawić kropkę - monologował dalej kapitan. - Ale mnie interesują jeszcze różne, bardzo ciekawe rzeczy. Mam nadzieję, że władasz mową: paraliż obejmuje tylko kończyny.

- Skoro jestem sparaliżowany, po co wyjąłeś broń?

- Z zawodowego nawyku. Odruch warunkowy. Jakoś pewniej się czuję, kiedy leży przy mnie. - Poklepał przyjaźnie pistolet. - Więc mówimy dalej, jak dwaj fachowcy. Bardzo cię cenię, bez żartów. Wiele od ciebie się nauczyłem. Gdybyś nie wprowadził mnie w arkana psychopatologii, może nie połapałbym się na

tym, że mnie podejrzewasz. Nie chcesz mówić?

Doktor zachował milczenie.

- Nazwałeś naszą naradę lekcją pogładową na temat chimerycznych podstaw pewnych dociekań. Ale to była też wspaniała lekcja komedianctwa dwóch facetów, z których żaden nie jest, zawodowym aktorem, a każdy wie, że partner podejrzewa go o komedianctwo. Psiakość! Taka śliczna, wielopiętrowa przekładanka!

Wybuchnął ostrym śmiechem, aż się zakrztusił. Jego gadatliwość i ruchliwa gestykulacja zdradzały nienaturalny stan podniecenia. Sam to spostrzegł i z pewnym wysiłkiem opanował się. Otarł chustką spocone czoło i rękę.

- Opowiedz teraz, co wzbudziło twoje podejrzenia - rzekł tonem już spokojniejszym.

- Nie zależy mi na tym, żeby zaspokajać, twoją ciekawość.

- A sam nie jesteś ciekaw tego, jak wszystko naprawdę się odbyło?

Doktor się zastanowił.

- Rozumując logicznie - odrzekł wreszcie - nie powinno mnie to już obchodzić, skoro i tak niedługo... Ale człowiek jest nielogicznym zwierzęciem. A propos: jakiej użyłeś trucizny?

- Ergotoxu.

- To ten amerykański preparat, o którym opowiadałeś mi w związku z aferą Zawadzkiego?

- Właśnie.

- Przypomnij mi, jak to działa.

- Chętnie. Najpierw występuje ociążałość w całym ciele, odrętwienie rąk, potem nóg - jako skutek porażenia ośrodkowego układu nerwowego, które kończy się pełnym paraliżem kończyn.

- Kiedy występują pierwsze objawy?

- Różnie, w zależności od stanu organizmu. Zazwyczaj po trzech godzinach. U ciebie nastąpiło to nieco wcześniej. Musisz być rzeczywiście przeziębiony.

- A co się dzieje potem?

- Osłabienie, ból głowy, mdłości i dopiero przed samą kraksą - utrata mowy i przytomności. Wszystko razem trwa do

dziesięciu godzin.

- Dziękuję. Już wiem, co mnie czeka.

- Trzymasz się dzielnie, trzeba to przyznać. No jak: będziemy rozmawiać?

- Zależy o czym.

- Najpierw ty mi opowiesz, jak doszedłeś do wykrycia prawdy; potem ja ci opowiem, jak to się odbyło. Chcę wyrzucić to wszystko ze siebie, raz na zawsze. A przecież oprócz ciebie nie mógłbym tego opowiedzieć nikomu. Nikomu i nigdy!

- To może od razu zaczniemy od drugiej części programu?

- O nie! Nic za darmo. Najpierw ty.

- Ostatecznie... muszę się zgodzić. To może nawet niezły sposób na zabicie czasu. Zabicie... kiepski kalambur. Mniejsza o to. Trochę mi się płacze w głowie, ale postaram się skupić. Nawiasem mówiąc: gdzie ukryjesz moje zwłoki?

- Wcale nie będę ukrywał. Kiedy będziesz już dobrze gotów, zawiozę cię moim samochodem do domu. Część finałowa odbędzie się tam. Ergotox nie tylko jest pozbawiony koloru, zapachu i smaku, ale też ma wyjątkową zaletę: nie zostawia żadnych, ale to żadnych uchwytnych śladów we krwi. Żeby go wykryć, trzeba robić specjalne badania, wyłącznie na ten preparat. Genialna trucizna! Śmierć następuje podczas silnego skurczu serca. Diagnoza po sekcji: zapaść sercowa. Amerykanie mają łeb do tych spraw, mają!

- Więc nie boisz się sekcji zwłok. A co zrobisz, jeżeli teraz przypadkiem ktoś do ciebie przyjdzie?

- Na to nie licz. Za późna godzina.

- Człowiek w mojej sytuacji musi na coś liczyć, choćby na cud.

- Cudu nie będzie. Zabezpieczyłem się przed nim. Balkon jest szczelnie zasłonięty kotarą, która nie przepuszcza zupełnie światła. Innych okien, jak wiesz, w tym mieszkaniu nie ma. A telefon jeszcze przed twoim przyjściem wyłączyłem: przyjrzyj się, wtyczka o parę milimetrów wystaje.

- Rozumiem, że telefon w takich wypadkach lepiej mieć wyłączony.

- Dla całego świata jestem dziś wieczorem nieobecny w

mieszkanu.

- Jednak sąsiedzi mogli usłyszeć odgłosy naszej rozmowy lub dźwięki taśmy magnetofonowej.

- Sąsiedzi? Puknij się w czoło: mamy połowę lipca, wszyscy się rozjechali na odpoczynek. Sprawdziłem to.

- A nuż się zdarzy awaria i przyjdzie dozorca? Tak, jak to dowcipnie wykoncypowaliśmy z Oszczyrką, który ponoć chciał zabić Agnieszkę?

Wołodko wybuchnął śmiechem:

- To była niezła część przekładanki, słowo daję! Dwóch komediantów z całą powagą sprzeczało się o szczegóły nowej wersji zbrodni, a obaj doskonale wiedzieli, że to wytwór ich wyobraźni.

- Tylko co do morderstwa, bo kradzież broszki jest faktem.

- Nie wymyśliłeś jej?

- Bynajmniej. Co więcej: rzeczywiście nie wykluczam zamiarów morderczych ze strony Oszczyrki. Szczęśliwie dla niego, jak też dla Nadomskiego, wyręczyłeś ich obu, popełniając ten czyn.

- Na to wygląda.

- W dodatku, nie wykluczam faktu, że już po zgonie Agnieszki dozorca, dostawszy się w poniedziałek do jej mieszkania, celowo wysłał żonę do telefonu, zamiast samemu zawezwać milicję.

- Po co?

- Żeby poszukać broszki. Szkoda, że milicja nie wykryła jego śladów: dochodzenia potoczyłyby się w innym kierunku.

- Dobrze więc, że nie wykryła. Nie mam powodów, by narzekać na dotychczasowy kierunek śledztwa.

- Jasne. A więc: co zrobisz, jeżeli naprawdę zdarzy się awaria i przyjdzie tu nie wytwór fantazji, lecz prawdziwy dozorca? Przypadek już wiele razy mnie wyręczył, mogę liczyć tylko na niego.

- Niech cały dom się wali, nie otworzę nikomu.

Po pewnym wahaniu doktor zapytał:

- A nie przyszło ci do głowy, że idąc tu i przewidując z twojej strony próbę uśmiercenia mnie, powziąłem środki ostrożności?

- Jakie, jeżeli wolno zapytać?

- Najprostsze. Mogłem powiadomić o moich obawach trzecią osobę. Co zrobisz, jeśli się zjawi?

- Mówię przecież, że nie wpuszczę nikogo. Chyba że ta osoba przyprowadzi milicję i wysadzą drzwi. Ale zanim to nastąpi, zastrzelę cię, a potem siebie. Żywy stąd nie wyjdiesz, przyjacielu.

- Rzeczywiście uwzględniłeś wszystkie ewentualności. Że wyłączyłeś telefon, to zauważyłem od razu. I tę szczelnie zasłoniętą kotarę też. Jakże komicznie wyglądałeś, kiedy wiatr wdarł się do pokoju! Wskoczyłeś z kuchni jak szybkobiegacz i rzuciłeś się do drzwi balkonowych, żebym broń Boże cię nie wyprzedził. Bałeś się, że mnie ktoś dostrzeże z ulicy. Było to bardzo zabawne, ledwie stłumiłem śmiech.

- Humor dopisywał ci cały wieczór. Te twoje opowiadki o Franciszce i Teresie! Że też miałeś głowę do dowcipów w chwilach takiego zagrożenia!

- Przecież myślałem, że nic mi nie grozi, skoro zamieniłem nasze kieliszki. A po tobie też nie znać było objawów zatrucia. Więc pomyślałem, że przeceniłem twoje zbrodnicze zamiary.

- Czy rzeczywiście powiadomiłeś kogoś o swoich podejrzeniach?

- Powiadomiłem, ale nie precyzyjnie. W liście zapieczętowanym, który zostawiłem dziś w gabinecie lekarskim na imię dyrektora. Dojdzie do adresata dopiero jutro.

- Co tam napisałeś?

- Że wieczór spędzę u ciebie, a jeżeli mi cokolwiek złego się stanie, będzie to z twojej winy.

- No, nic strasznego. Sekcja, jak wiesz, ustali zgon wskutek zapaści sercowej. Ergotox jest w Polsce nie używany, nie robi się więc specjalnych badań na jego wykrycie. A naszej dzisiejszej narady się wyprę - powiem, że została odłożona na parę dni. Mam nadzieję, że nikt nie zauważy, jak będę cię zawoził do domu. Poczekam z tym do pierwszej czy drugiej: o tak późnej porze na pewno nie spotkamy nikogo. Masz klucz do bramy, więc dostarczę cię bez przeszkód do twojego gniazdka. Wykręcę się, nie bój się! I pogódź się z tym, że nie wymkniesz się z tej doskonałej pułapki. Biedna ty myszko!

Gość uważnie przyglądał się gospodarzowi.

- Słucham ciebie, kapitanie, i podziwiam. Zaczynam cię widzieć w innym świetle. Czy zdajesz sobie sprawę, że zachowujesz się z cynizmem i okrucieństwem zatwardziałego bandziora? Albo to desperacka brawura, albo... Jeżeli się nie mylę, Agnieszka była twoją pierwszą ofiarą?

- Nie mylisz się.

- Ja jestem drugą. I to z konieczności, dla ocalenia własnego życia. Szybko nabierasz rutyny i można by rzec, znieczulicy fachowej. O ile nie odstawiasz kaboty na.

- Dosyć! - wrzasnął nagle Wołodko i walnął pięścią w stół. - Nie wymądrzaj się. Nie mamy na to czasu.

- Tak, zwłaszcza ja. No to będę się streszczał.

Musnął językiem spieczone wargi.

- Chcesz wiedzieć, co skierowało moje podejrzenia na twoją osobę?

Właściwie od samego początku zdziwił mnie fakt, że z nieprzymuszonej woli wprowadzasz mnie do swojej domeny śledztwa. Z ramienia milicji zajmowałem się wyłącznie ekspertyzą psychiatryczną paru osób, głównie Jankowskiego. Reszta podejrzanych należała do ciebie i nie wątpiłem, że masz dostateczne kwalifikacje, żeby uporać się z nimi bez czyjejkolwiek pomocy.

Jako radca prawny jesteś doskonale obeznany z techniką sądownictwa i śledztwa. Jako kryminolog z pasji, czyli z prawdziwego zdarzenia, znasz podłoża i różne odmiany przestępczości oraz psychikę przestępców. Wreszcie, znają cię w milicji jako utalentowanego detektywa o wielkiej intuicji, pomysłowości i doświadczeniu, dlatego też zwracają się do ciebie o pomoc w sprawach najtrudniejszych.

Na co więc mogłem ci się przydać?

Znajomość nasza liczy pięć lat i dotychczas nigdy nie konsultowałeś ze mną problemów praktycznych. To od razu wydało mi się jakieś dziwne.

Z drugiej strony, nie powiedziałbym, że stosunki nasze były tak bliskie, żeby usprawiedliwiały zabieranie mi czasu na dodatkowe konsultacje w sprawach, które nie dotyczą

bezpośrednio psychiatrii. Takie przysługi, owszem, robi się dla przyjaciela, to rzecz normalna. Ale myśmy nie byli przyjaciółmi.

Kontakty nasze właściwie nie wychodziły poza krąg znajomości brydżowych. Lubiliśmy grać ze sobą, bo jesteśmy na jednakowym poziomie umiejętności karcianych. Popijaliśmy w domach, gdzie przy brydżu częstuje się kolacją, i przy sposobności wymienialiśmy poglądy na wiele spraw, obu nam bliskich. Kryminologia i psychiatria, jak wiemy, mają parę ząbających się o siebie problemów.

Krótko mówiąc, nie nudziłem się, kiedy byliśmy razem, ale nie szukaliśmy częstszych okazji do rozmowy niż przy brydżu. Sam chyba przyznasz, że takie stosunki trudno by nazwać bliską przyjaźnią.

Zwróciłeś się jednak do mnie, ja zaś przystałem na twoją propozycję i nie żałowałem czasu. Coś w tym jest, pomyślałem sobie. I zacząłem szukać. Jasne było dla mnie, że to sprawa szczególna, w której jesteś zaangażowany osobiście. Na czym polegało to twoje zaangażowanie? Rozwiązanie zagadki warte było, według mnie, sporej fatygi.

Doszedłem do przekonania, że chcesz kogoś zrobić i potrzebujesz argumentacji specjalistycznej, a może i autorytetu naukowego, na który będziesz mógł się powołać. Tak, powiedziałem sobie, to musi być coś w tym rodzaju. Odezwała się we mnie ciekawość i ten hazard myślowy, o którym dziś też była mowa. Zgadając się na współpracę z tobą, z góry wyznaczyłem dla siebie rolę podejrzliwego obserwatora.

Podejrzliwość moja wzrastała w miarę tego, jak zapoznawałem mnie szczegółowiej z zebrany materiał. Zwłaszcza — w zestawieniu ze sposobem, w jaki sprawa ta trafiła do ciebie. Wyglądało to na zbieg okoliczności, w który jednak nie wierzyłem.

Nie jest wykluczone, że milicja na podstawie pierwszego raportu potraktowałaby śmierć Agnieszki Marczak jako zwykłe samobójstwo i poprzestałaby na odpowiednich formalnościach: sekcja zwłok itd. Ale ty akurat „przypadkowo” byłeś w gabinecie majora z wizytą prywatną (w tym okresie nie

prowadziłeś dla milicji żadnych badań). I właśnie ty zwróciłeś uwagę majora na ewentualność upozorowania samobójstwa, dodając: „To musi być bardzo zawiła sprawa”. Rzecz jasna, że major niezwłocznie zaproponował ci, żebyś się nią zajął.

To, w jaki sposób znalazłeś się w kręgu sprawy, wyjaśniło mi dwa podejrzane momenty. Primo: widocznie zależało ci bardzo, żeby uczestniczyć w tym śledztwie w celu kontrolowania dochodzeń i nadania im pożądanego dla ciebie kierunku. Secundo: nazajutrz po dokonaniu morderstwa Agnieszki wiedziałeś o nim. Skąd? Wiedzieć mógł tylko morderca - albo współuczestnik lub świadek zbrodni. Jasne.

Kim więc byłeś?

Na początku odrzuciłem przypuszczenie, że mordercą. Bo mordercy zależałoby najwięcej na zaakceptowaniu przez milicję wersji samobójstwa. Sprzeciwiłeś się temu, naprowadziłeś majora na myśl o upozorowaniu samobójstwa. W jakim celu. Żeby cię nie wyprzedził ktoś inny? Ale przecież mogłeś spokojnie poczekać, a w razie gdyby milicja samodzielnie wpadła na taki pomysł, zawsze miałeś czas, żeby włączyć się do śledztwa.

Fakt, że spowodowałeś wszczęcie dochodzeń, nasunął mi myśl, iż znasz mordercę i pragniesz, by nie uszedł karze. Mógł to być jeden z owych „zbrodniarzy doskonałych”, a tobie z zawodowej ambicji zależało na jego zdemaskowaniu. Kto wie, może wymknął ci się w jakiejś poprzedniej sprawie?

Nie wydawało się prawdopodobne, żebyś był mordercą, również i z tego powodu, że nie znałeś Agnieszki przed jej zgonem. Nikt ze świadków (a byli to przeważnie ludzie z jej otoczenia) nie rozpoznał cię, nikt ciebie nie widział w jej towarzystwie. Dopiero później, gdy stwierdziłem, że badania prowadzisz tendencyjnie, koncentrując podejrzenia wokół osoby, według mnie, niewinnej, zacząłem wątpić, czy istotnie nie znałeś dawniej Agnieszki. Ale jak mógłbym to ustalić?

„Cierpliwości! - powiedziałem sobie. - Zobaczmy, co przyniesie czas”. W toku naszej „przyjacielskiej” współpracy zrozumiałem, po co mnie do niej wciągnąłeś: ponieważ i tak byłem w pewnym stopniu wprowadzony w tok sprawy, wolałeś

mieć mnie w swoim zasięgu i wpływać na moje opinie, a przynajmniej wiedzieć, co sądzę o kierunku śledztwa. Toteż rzadko wypowiadałem ci szczerze moje domysły i konkluzje.

Po skrupulatnym zbadaniu materiałów, które mi udostępniłeś, stwierdziłem, że sprawa wcale nie jest tak trudna, żebyś potrzebował dodatkowych konsultacji z psychologiem czy psychiatrą. Trudność jej rozwikłania polegała na ilości osób, które należało zaliczyć do ewentualnych winowajców, nie zaś na odcyfrowaniu ich zagmatwanej psychiki. Żadnych przepastnych głębin ich podświadomości nie dostrzegłem, w każdym razie nie większe, niż ten, które nosi w sobie przeciętny człowiek naszego stulecia.

Jedyny z podejrzanych, który ma psychikę chorą, to Jankowski. Ale właśnie pod jego adresem nie sugerowałeś mi owych przepastnych głębin. Według ciebie, postacią zagmatwaną, zakompleksioną i najbardziej podejrzaną był Milski. Z jakichś bliżej mi nie znanych powodów musiałeś być jego wrogiem. Wykluczyłem hipotezę, że Milski już kiedyś popełnił „zbrodnię doskonałą” i wymknął się z twoich rąk. Dlaczego nie nadaje się on na autora i wykonawcę podobnej zbrodni, uzasadniłem już przy dzisiejszych rozważaniach na jego temat. A jednak nienawidziłeś go i pragnąłeś jego zguby. „Tu jest pies pogrzebany!” - pomyślałem i już wiedziałem, na co mam najbardziej uważać.

Udawałem, że poddaję się twoim sugestiom i nabieram przekonania o winie Milskiego. Tylko w ten sposób mogłem wytropić twoje intencje do końca. Była to gra niebezpieczna: chodziło o twój wpływ na wyniki śledztwa, czyli o los człowieka. Zauważyłem, że wywalczasz sobie coraz większe pełnomocnictwa i swobodę działania.

W pewnej chwili chciałem wycofać się ze spółki, bo coraz bardziej byłem przekonany, że Milski tej zbrodni nie popełnił. I coraz mniej odpowiadała mi postawa biernego widza. Ale na wycofanie się już było za późno. Wymusiłeś na majorze decyzję o aresztowaniu Milskiego, motywując to większą skutecznością dochodzeń.

To był celny strzał! Milski od razu popadł w panikę, rozkleił

się i wkrótce ostatecznie rozchwiał psychicznie. Dziś już nadawałby się na pacjenta Tworek. Jeszcze trochę, a zaczniesz świadczyć na swoją niekorzyść. Już nie potrafi myśleć logicznie i kontrolować swych wypowiedzi.

Gdybym w tej sytuacji wycofał się, pozostawiając ci wolną drogę, byłbym moralnie odpowiedzialny za skazanie niewinnego człowieka.

Oczywiście, istniało jeszcze inne wyjście: powiadomić majora o moich podejrzeniach i uzbroić go przeciwko twoim tendencyjnym poczynaniom. Lecz na czym mógłbym w owym okresie oprzeć moje oskarżenie? Jedynie na wyczuciu i na dociekaniach psychologicznych, nie popartych żadnymi faktami. Mało było szans, żeby milicja potraktowała moją koncepcję poważnie. Zamiast pomóc Milskiemu, mogłem jeszcze bardziej go pograć.

Z konieczności więc musiałem rozpocząć dochodzenia na własną rękę. Z podejrzliwego a biernego widza zamieniłem się w kontr detektywa, zachowując na zewnątrz postawę ufego przyjaciela. Przyszło mi to bez trudu, bo byłem już w transie myśliwskim. Dwa problemy narzucały mi się obsesyjnie. Dlaczego ci tak zależy na zgładzeniu Milskiego? I - kto jest prawdziwym mordercą?

Hipoteza, którą wyłuszczyłem ci dziś, zaczęła wówczas wyłaniać się przede mną coraz wyraźniej. Winowajca pochodzi z innego środowiska niż bliskie otoczenie zabitej. Poznała go przypadkowo, prawdopodobnie na wczasach. Nie pojawił się nigdy w kręgu jej znajomych, toteż nie wspomina o nim nikt ze świadków. Gdzie i jak go szukać? Może nawet nie mieszka w Warszawie.

I tu-jak tyle razy w tej sprawie! -pomógł mi przypadek. Zresztą sam wychodziłem mu na spotkanie, nawiązując prywatne stosunki z domownikami Agnieszki i z jej kolegami.

Pewnego razu siedziałem u Magdaleny. Jak zwykle, opowiadała mi o Agnieszce. Poprosiłem, żeby pokazała mi jej zdjęcia. Wyjęła całe pudło, przeglądaliśmy razem fotografie. Wpatrywałem się długo w każdą, podziwiając zmienność wyrazu tej twarzy. A jedno zdjęcie podziało na mnie, jak

uderzenie pięścią.

Amatorska migawka: Agnieszka przysiadła na krawędzi biurka, trzymając w ręku papierosa. Poznałem od razu: to było twoje biurko! Widać było wszystkie przedmioty, a na pierwszym planie - tę lampę, przerobioną z amfory greckiej, z tańczącymi nimfami pośrodku. Nie ma drugiej takiej lampy w Warszawie.

- Ścierwo! - zaklął Wołodko, zrywając się z miejsca. - Zapewniała mnie, że zgubiła to zdjęcie! Zniszczyłem wszystkie moje odbitki i film, przeszukałem osobiście całe jej mieszkanie...

- No widzisz, nie ma zbrodni doskonałych. Zawsze człowiek potknie się o jakiś głupi drobiazg. Nie mogłeś przewidzieć, że Agnieszka odda to zdjęcie Magdalenie, a tobie do tego się nie przyzna.

W ten sposób dowiedziałem się, że znałeś Agnieszka dość blisko, skoro przychodziła do ciebie. Miałeś poważne powody, by skrzętnie ukrywać ten fakt. A to już rzucało światło prawie na wszystko. Czy mam mówić dalej?

Kapitan krążył po pokoju, objając się o meble i nawet tego nie dostrzegając.

- Co jeszcze wykryłeś? - rzucił ochryple, nie zatrzymując się.

- Obserwowałem cię już innym okiem i wciąż znajdowałem nowe potwierdzenia mojego domysłu. Nie mogłem tylko odgadnąć motywu zbrodni. Trudno pokusić się o dokładniejszą hipotezę nie wiedząc, co was łączyło i co dzieliło. Musiało to być coś ogromnie dla ciebie ważnego skoro zdecydowałeś się na taki czyn. Może nie odwzajemniona namiętność? To przede wszystkim nasuwało się na myśl.

W każdym razie, całkowicie się wyjaśniło, dlaczego za wszelką cenę usiłowałeś uzyskać wyrok skazujący na Miłskiego. Nie tylko po to, żeby zaspokoić żądania aparatu sprawiedliwości, podsuwając zamiast siebie kogoś innego. Bo przecież gdyby chodziło tylko o zwalenie na kogoś winy, najlepiej nadawałby się na fikcyjnego winowajcę Jankowski, który chyba na parę lat utkwiał w Tworkach. Ty jednak nie byłeś wobec niego agresywny. Na odwrót: skorzystałeś dziś z moich

wahań przy ocenie jego postępowania, żeby powiedzieć:

„Więc ogłaszamy na niego wyrok uniewinniający?”

Sprostowałem:

„Nie. Tylko skreślamy go z listy podejrzanych z braku niezbitych dowodów”.

Skwapliwie uznałeś, że tylko to nas w danej chwili interesuje.

Nawiasem mówiąc, gdybym miał oceniać twoje umiejętności tylko na podstawie naszej współpracy, a nie wiedziałbym o tym, że prowadzisz podwójną grę, to musiałbym stwierdzić, że detektyw z ciebie dość mamy. Twoja analiza psychologiczna często była płytka i prymitywna, pomijałeś objawy ważne, czepiając się drugorzędnych i interpretując je tendencyjnie.

Najbardziej pod tym względem kompromitujące było twoje zachowanie dzisiejsze. Już nie mówię o zdenerwowaniu i wzrastającym zniecierpliwieniu: co chwila patrzyłeś na zegarek, wyraźnie na coś czekając. Teraz już wiem, że czekałeś na pierwsze objawy mojego zatrucia. Im bliższa była ta chwila, tym mniej uważałeś na pozory. Nie bałeś się już, że mnie Spłoszysz.

Ta twoja argumentacja! Dobrze, że nie słyszeli nas twoi koledzy z milicji. Musieliby się mocno dziwić, że tęgi kryminolog, ich szanowany doradca, wypowiada naiwne głupstwa. Zwłaszcza uzasadnienie winy Milskiego - to były bajeczki dla dzieci z przedszkola. Nawet z punktu widzenia podwójnej gry nie były to posunięcia zręczne. Zresztą, jak teraz rozumiem, w ciągu ostatniej godziny na tym ci już mniej zależało.

Przedtem też niejednokrotnie się zdradzałeś. Podejrzana była pasja, z jaką pogrążałeś Milskiego, mimo że starałeś się ją zamaskować. Nie wiesz o tym, ale nawet głos ci się zmienia, kiedy z nim rozmawiasz, zwłaszcza gdy opowiada o swoim szczęśliwym pożyciu z Agnieszką. Nie możesz wtedy stłumić wściekłości.

Dziś też parę razy celowo mówiłem o ich erotycznej harmonii, żeby sprowokować twoje reakcje. Były bezbłędne, czyli kompromitujące. To punkt newralgiczny, wyprowadzający cię z równowagi. A więc, miałem rację: nie odwzajemniona namiętność, która trwa po dziś dzień.

Nie bez kozery zwierzyłeś się dziś: „Niekiedy łapię się na tym, że w myśli rozmawiam z nią, usiłuję o czymś przekonać, ostrzec...” Nie bez powodu też przerwałeś zeznania

Rybackiej, żeby palnąć mówkę umoralniającą o kobietach, które romansują z byle kim i w końcu stają się ścierką. Wystrzegałeś się, ale nie dość sprytnie. Szczególnie kiedy traciłeś panowanie nad sobą.

W końcu zrozumiałem, czemu tak bardzo zależy ci na zgładzeniu Milskiego. Wzbudza w tobie nieprzytomną zazdrość. Nie do opanowania i nie do ukrycia. Bo Agnieszka miała wielu kochanków, ale tylko jednego mężczyznę "kochała. Właśnie jego.

Zapanowała długa chwila.

- Pozwól, że na tym skończę - powiedział Gellert bardzo słabym głosem. - Teraz mów ty, jeżeli chcesz.

Rozdział ósmy **Spowiedzi ciąg dalszy**

- Agnieszkę poznałem w sierpniu ubiegłego roku w Krynicy - zaczął Wołodko, nadal krążąc po pokoju rozchwianym krokiem.

Jego niedawna euforia minęła bez śladu. Twarz miał teraz ściągniętą niczym tragiczna maska. Mówił powoli, zacinając się i robiąc dłuższe przerwy.

- Ja mieszkałem w Starym Domu Zdrojowym, ona w Kaprysie. Po raz pierwszy zobaczyłem ją w pijalni. Potem stale spotykałem w łazienkach, na deptaku, w kawiarni. Zawsze w asyście adoratorów, młodszych i starszych. Ciągnęli za nią, jak sfera psów.

Bez trudu dowiedziałem się, kim jest i że mieszka w dwuosobowym pokoju z damulką średniego wieku bardzo romansową. Dobrały się. Nie przeszkadzały sobie miały uzgodniony rozkład.

Nie wiem, dlaczego zainteresowałem się nią. Było taxi dużo dziewcząt tegoż pokroju, nie mniej efektownych. Z jedną z nich nawiązałem romans.

Z Agnieszką nie poznałem się, chociaż nie było o to trudno. Przyglądałem się jej, to wszystko. Czy ona mnie też zauważyła, nie wiem. Chyba tak. W Krynicy po paru dniach człowiek zna na pamięć wszystkie twarze z jednego turnusu, ogląda się je codziennie wielokrotnie, czy się tego chce czy nie.

Każde uzdrowisko ma swój uświęcony rytuał. Tu, poza celebrowaniem zabiegów, uczęszczaniem do pijalni i łazienek, obowiązuje opalanie się na Górze Parkowej. Spełniałem ten rytuał i miałem okazję,-by obejrzeć zgrabną sylwetkę Agnieszki, wyciągniętej na leżaku lub wprost na trawie. „Moja jest nie gorsza” - pocieszałem się. Nie było to chyba prawdą.

Brydżyści grali wszędzie, gdzie się dało - w kawiarniach i na powietrzu. Najczęściej grywałem w Nowym Domu Zdrojowym, jest tam duża sala brydżowa. Miałem dobrych partnerów. Salę zamykano o dziesiątej, mimo protestów i błagań karciarzy. Nasza piątka przechodziła wtedy do pokoju pewnego dyrektora i tam graliśmy niekiedy do rana. Miałem też partnerów do pokera. W sumie wraz z moją panią stanowiło to komplet rozrywek możliwych w Krynicy.

Przyjechałem właściwie na odpoczynek, nie dla leczenia. Kąpiele kwaso-węglowe i pijalnie wód należały do przyjemności, więc to stosowałem. Z zabiegów natomiast zrezygnowałem, nudziły mnie długie kolejki.

Moja panią jednak chciała się bawić. Musiałem poświęcać się od czasu do czasu, zawozić ją moim samochodem do Cichego Kącika albo włączyć się z nią po kawiarniach. Trudno. Współczesny dżentelmen ma swoje obowiązki.

Pewnego razu zażądała dancingu. Owszem, tańczy, choć mogę się bez tego obejść. Zamówiłem więc o parę dni wcześniej stolik w Romie, na cały wieczór. Musiałem nawet odwołać swój udział w partii brydżowej.

Tego dnia, kiedy zaplanowany był dancng, panią oświadczyła mi przy obiedzie, że źle się czuje. Partnerzy mieli już piątkę do brydża. Postanowiłem pojechać do Romy sam, ponieważ nie wypadało nie wykorzystać zarezerwowanego stolika.

Wynudziłbym się jak mops, gdyby przy sąsiednim stolic ku

nie znalazła się Agnieszka w towarzystwie jednej pani i dwóch młodych ludzi.

Słuchałem ich rozmów i bawiłem się setnie. Cóż za głupstwa wygadywali! Pani mizdrzyła się, młodzi ludzie popisywali się gwarą dzisiejszych dwudziestolatek. Nie mniej ode mnie bawiła się, jak sądzę, Agnieszka, która sprytnie podsyciała do słownych turniejów swoich sąsiadów, od czasu do czasu, korygując ich: „tak już się nie mówi, nieaktualne”. Często gwara ta brzmiała w moich uszach jak prawdziwa chińszczyzna.

Kawaler Agnieszki szybko się upił i przestał tańczyć. Zaprosiłem ją, zgodziła się. Zatańczyliśmy charlestona, który był jaskółką powracającą po długiej nieobecności. Jakoś dawałem sobie radę, pamiętałem dobrze technikę tańca moich lat chłopięcych.

„Pan nie przepada za tańcem?” - spytała.

Potwierdziłem.

„Szkoda”.

Nie rozmawialiśmy, bo właściwie nie było o czym. Ale wtedy to się zaczęło. Ukończyłem czterdziestkę, niełatwo tracę głowę, a tu... Mniejsza o to.

Odczekałem trochę dla przyzwoitości i znów ją zaprosiłem. Bałem się, że mnie ubiegnie ktoś inny. Z dalszych stolików przyglądało się jej kilku dancingowych bywalców. Nie wytrzymałbym z nimi konkurencji. Tańczyliśmy jeszcze cztery razy.

Szczeniak tymczasem zupełnie się rozkleił. Wędrował do toalety i z powrotem, coraz mocniej zataczając się na nogach. Zgubił krawat, koszulę miał rozchełstaną. Bełkotał coś, rozlał piwo i głupio się śmiał. Agnieszka parę razy. strofowała go ostro:

„Bęcwałe jeden! Po co się urzynałeś? Jedyne, co umiesz, to tańczyć, ale nie po wódce”.

Życzyłem mu, żeby prędzej znalazł się pod stołem.

Drugiej pani nie Zależało na tańcach, gruchała ze swoim chłopakiem i już pozwalała się ścisnąć.

Agnieszka się złościła i powiedziała gówniarzowi coś, czego

nie dosłyszałem.

„A właśnie będę!” - wrzeszczał i wyciągał rękę po kieliszek, trafiając w karafkę.

Tym razem przewrócił na podłogę sosjerkę. Kelner z milczącą naganą sprzątał. Smarkacz położył głowę na stole, zanurzając włosy w półmisku. Zatańczyłem z Agnieszką. Kiedyśmy wrócili, tamten już leżał pod stołem.

Była jedenasta. Agnieszka oświadczyła, że czas wracać. Czuła para nie stawiała oporu, gorzej było z pijakiem. Pomogłem wyciągnąć go spod stołu i odprowadzić do wyjścia. Bałem się, że wyrzyga mi się na ręce.

Przed knajpą nikogo prócz nas nie było - za wczesna pora. Mieli skodę, prowadził ten drugi, trzeźwiejszy. Załadowali się do wozu, nie przestając się kłócić z gówniarzem, który wykrzykiwał jakieś świństwa. Tamci usiedli z przodu. Agnieszka za nimi, obok pijanego. Zdaje się, zaczął nareszcie rzygać.

Ten przy kierownicy włączył motor, wtem Agnieszka wyskoczyła i zatrzęsnęła drzwiczki. Wołano za nią, ale ona nie oglądając się poszła szosą w stronę uzdrowiska. Tamci wyminęli ją i odjechali.

Dogoniłem ją i zaproponowałem, że odwiezę swoim wozem. Szła dalej nie odzywając się. Była wściekła. Potem przystanąła, popatrzyła na mnie i spytała:

„Gdzie pan mieszka?”

„W Starym Domu Zdrojowym”.

„W osobnym pokoju?”

„Tak”.

„To niech pan zawiezie mnie do siebie. Będą myśleli, że coś mi się stało. Należy im się! ”

Miałem klucz od służbowego wejścia, bo dawałem portierowi sute napiwki. Oczywiście zabrałem ją.

Przenocowała u mnie. To był początek i zarazem koniec naszego romansu. W każdym razie dla niej.

Wołodko ciężko opadł na fotel i zapatrzył się w popielniczkę.

- Chcę, żebyś mi wytłumaczył jedną rzecz - powiedział, wciąż przyglądając się niedopałkom. - Głowią się nad tym i nie mogę

zrozumieć. Szukałem w książkach medycznych i też nic nie znalazłem. Powiedz mi jako lekarz...

- Dobry jesteś! - skrzywił się Gellert. - Wyprawiasz mnie na tamten świat i jeszcze domagasz się konsultacji pożegnalnej. Umiesz wygzekwować wszystkie korzyści, jakie nastręczają okoliczności! To trzeba ci przyznać.

- Nie bądź drobiazgowy!

- Dobrze, nie będę. Udzielę ci konsultacji. O co chodzi?

- Ja jestem normalnym mężczyzną. W każdym razie byłem. Aż do tej nocy. Noc była wariacka, piekielna... a może rajska. Nigdy takiej nie miałem.

- Zdarza się.

- Poczekaj, nie w tym rzecz. Kiedy przed szóstą, póki nie zaczął się ruch, wyprowadziłem ją z sanatorium, wciąż jeszcze byłem w rajku. Wróciłem do pokoju w stanie oszołomienia. Nie mogłem zasnąć, gotów byłem bełkotać, jak ten gówniarz. Zdawało mi się, że otwiera się przede mną jakieś nowe życie, o którym nie miałem pojęcia - jedyne, jakie warto przeżyć... I inne podobne bzdury.

Oczywiście po śniadaniu polecałem jej szukać. Kręciłem się wszędzie, gdzie można było ją spotkać - bez skutku. Dopadłem ją przed wieczorem. Była w licznym towarzystwie i udawała, że mnie nie zna. Trwało tak parę dni. Wściekałem się, ale nic nie mogłem zrobić - przecież nie będę awanturować się publicznie.

Wreszcie któregoś tam dnia upilnowałem ją, kiedy wracała z łazienek sama, spóźniona na obiad. Jak wiadomo, o tej porze w Krynicy na deptaku jest pusto. Zastąpiłem jej drogę i spytałem:

„Dlaczego unikasz mnie?”

Nie wiem, czy potrafię opisać, jak na mnie spojrzała. Bez zdziwienia, bez złości, w ogóle bez wyrazu. Jak na rzecz, której, patrząc, nie dostrzega się.

„Ja? Pana? Wcale nie unikam. Po prostu nie mamy po co się spotykać”.

I poszła. A ja zostałem jak głupi. Dopiero później pomyślałem, że należało ją trzepnąć w twarz.

Trułem się tym przez kilka dni. Na szczęście, moja panienska leżała z niedyspozycją żołądkową, mogłem być sam. Wreszcie

powiedziałem sobie: „Dość tego, ośle. Obejdzie się bez rajskich rozkoszy. Dziwka jak każda inna. Nie chce - to cześć”. I już chciałem, żeby tamta wyzdrowiała. A kiedy przyszła do mnie...

' Zamilkł, mocując się ze sobą.

- No, wszystko 'jedno, muszę przecież to powiedzieć... Kiedy tamta przyszła, wcale jej nie chciałem. Byłem do niczego.

- Rozumiem. Kiedy ci to przeszło?

- Nie przeszło. Do dziś dnia. Nie jestem mężczyzną. Przestałem nawet próbować.

- Zwracałeś się do lekarza?

- Nie.

Znów ciężkie milczenie.

- A jak to się stało, że Agnieszka przyszła do ciebie w Warszawie?

Wołodko ożywił się nagle.

- To było jeden raz, czwartego października. Spotkałem ją przypadkowo, koło mojego domu. Ucieszyłem się jak idiota. Ona, wyobraź sobie, też. Była w doskonałym humorze. Powiedziała, że ma dobry dzień: jej kuzynka po długich staraniach uzyskała rozwód.

„Nie gniewa się pan na mnie? - spytała. - Postąpiłam z panem jak Świnia. Pan był dla mnie bardzo miły, w Romie i później. Należało właściwie się panu zrewanżować”.

„I teraz nie za późno - powiedziałem, jak ostatni kretyn.

- Mieszkam w tym domu”.

Potraktowała to na wesoło:

„Jeżeli pan sobie życzy...”

I tu najdziwniejsze: powtórzyło się wszystko, jak tamtej nocy. Dokładnie. Czy to można zrozumieć?

- Owszem, tak bywa. Mów dalej.

- Zanim odeszła, znów zacząłem bredzić. Niemal się oświadczyłem.. Przebąkiwałem coś p dobrych zarobkach, o perspektywach na większe mieszkanie... Ona najpierw się śmiała, a kiedy wyczuła mój upór, zasępiła się:

„Nic z tego, mój panie. Dług honorowy spleacony, więcej się nie spotkamy”.

I nie pozwoliła nawet się pocałować. Tylko zgodziła się,

żebym zrobił zdjęcie „na pamiątkę”. Widziałeś, jak na mnie patrzyła: z przekorą i kpina.

- Widziałem.

- A potem pożegnała się i poszła. Już jej się gdzieś bardzo śpieszyło.

- A dalej?

- Dalej, jak u Boya: „dostałem takiej manii”. Diabeł chyba siedział w tej kobiecie. Rzuciła na mnie czary.

- Nie jesteś przecież chłopaczkiem w wieku dojrzewania, który boi się zwierzyć ze swoich seksualnych kłopotów. Czemu nie zwróciłeś się do lekarza?

- Myślałem, że mi to przejdzie. Zaniechałem romansów, wstyd było się kompromitować. Zacząłem odwiedzać sprzedajne baby, w coraz to gorszym gatunku. Doszedłem do najpospolitszych rogówek. Wszystko na nic. Medycyna zna taką chorobę?

- Owszem. Anhedonia.

- Po łacinie nawet ładnie brzmi. Żeby to wszystkie diabły! Uleczalne?

- Przeważnie tak. Opowiedz teraz, co było w niedzielę szóstej.

- Cóż - powiedział kapitan ospale. - O tym ty prawie wszystko wiesz.

Fotografię w październiku odesłałem jej pocztą z króciutkim listem. I parę razy dzwoniłem. Nie chciała rozmawiać, zbywała mnie żartem albo odkładała słuchawkę. Przestałem więc telefonować.

Chciałem bardzo o niej zapomnieć. Ale to było błędne koło. Żeby zapomnieć, szukałem kontaktów z innymi kobietami - i za każdym razem zjawiała się w pamięci ona i wszystko niszczyła. Poczuję się zupełnym kaleką. Wstyd, lęk i rozpacz. Obrzydlistwo!

Pod koniec ubiegłego roku dużo pracowałem, to mi trochę pomogło. Ale w styczniu w naszym instytucie prawie nie było zajęć, w każdym razie ja miałem za dużo wolnego czasu. Po prostu nie wiedziałem, co ze sobą robić. Dyrektor namawiał mnie, żeby wziąć urlop i gdzieś wyjechać - wszyscy w biurze zauważyli, że coś ze mną nie w porządku. Nie chciałem nigdzie

wyjeżdżać. Co mi mogła pomóc zmiana miejsca?

W dzień i w noc tłukło mi się po głowie tylko to jedno: póki ona żyje, nie ma dla mnie ratunku. Muszę się z tego wyzwolić. Muszę. Muszę. To muszę pomału zaczęło przybierać kształt. Z chwilą, kiedy obmyśliłem konkretny plan, zrobiło mi się jakby lżej.

Postanowiłem nie zwlekać i zadzwoniłem do niej szóstego lutego, w niedzielę. Gdzieś koło dwunastej. Natychmiast podniosła słuchawkę, czekała na telefon tego mydłka.

„Aaa, to pan...” - powiedziała z rozczarowaniem. Nie rzuciła jednak słuchawki.

Wiedziałem, że jej matka wyjechała na kilka dni. Trzeba było się śpieszyć.

Powiedziałem, że opuszczam Warszawę, że mam bardzo pilną sprawę, że wpadnę tylko na chwilkę. Nie przerywała mi. Zastanowiła się:

„Jestem dziś bardzo zajęta, cały dzień. Może wieczorem znajdę tę chwilkę...”

Wtedy jeszcze myślała, że Milski przyjdzie na obiad.

„O każdej porze, kiedy pani wygodniej - nalegałem. - Oby dziś”.

„O pół do dziesiątej mam występ w telewizji, wrócę o jedenastej - rozważała na głos. - Niech pan wpadnie koło pół do dwunastej, jeżeli to rzeczywiście na chwilkę”.

Zdążyłem jeszcze w domu obejrzeć ją w telewizji. Występowała w głupiej sztuczce. Nie wiem dlaczego, nasze telewizyjne programy w niedzielę bywają szczególnie jałowe. Może w pojęciu tych, co je układają, właśnie tego ląkną szerokie masy w dniu wypoczynku. Żeby nie przeciążać spracowanych głów. Odbiór w niedzielę jest istotnie masowy.

Agnieszka grała rolę fertycznej pokojówki. Miała peruczkę z lokami, które wystawały jej spod koronkowego czepka. Trudno było ją poznać.

Mizdrzyła się, chichotała kryjąc twarz w fałdach fartuszka, robiła oczko do pana hrabiego (sztuczka ukazywała życie wyższych sfer towarzyskich). Zalecała się też do innych panów, a kiedy przyciskali ją w kącie, przeraźliwie piszczała udając

niewinne dziewczę. Słowem, robiła wszystko, czego nie robi Agnieszka. Zapomniałem, że to ona, i chwilami szczerze się śmiałem.

Po opuszczeniu kurtyny wyszedłem, złapałem taksówkę; i byłem na miejscu dwadzieścia pięć po dziesiątej. Ukryłem się w bramie domu naprzeciwko. Widziałem, jak wchodził z radioodbiornikiem Dudek. Widziałem, jak wróciła Agnieszka. Widziałem też, jak prawie natychmiast Dudek wyszedł i jak go zaczepił dozorca. O jedenastej zadzwoniłem u jej drzwi. Specjalnie wcześniej, żeby ją zaskoczyć i żeby mieć więcej czasu po jej uśpieniu. Od dawna śledziłem ją, obserwowałem dom i wiedziałem, że w niedzielę zamykają na dole dopiero o dwunastej. Miałem godzinę czasu.

Bąłem się tylko jednego: że po jedenastej zjawi się Milski. Śledząc ją, poszedłem pod jego mieszkanie i przeczytałem zostawioną przez nią kartkę. Gdyby przyszedł, musiałbym całą imprezę odłożyć na kiedy indziej.

Przywitała mnie bez szczególnego zdziwienia, była czymś zaabsorbowana. Weszliśmy do jej pokoju, zauważyłem na biurku rozpoczęty list i zdążyłem przeczytać te dwie linijki, zanim schowała go do szuflady. Widocznie zaczęła pisać, myśląc, że przyjdę później.

„Doskonale - odnotowałem w myśli. - Przyda się jako kartka pożegnalna: w miarę prawdopodobna i w miarę podejrzana”.

Usiedliśmy. Poprosiła, żebym się streszczał, bo chce wcześniej się położyć, jest bardzo niewyspana. Rzeczywiście miała podkrążone oczy.

Wtem zadzwonił telefon. Zerwała się. Telefonował Milski, widać to było z jej twarzy: najpierw się ożywiła, po pierwszych jego słowach zgasła i jakby się zacięła. Tłumaczył jej coś.

„Tak. Rozumiem. Trudno. Dobranoc” -oto wszystko, co powiedziała.

„Więc nie przyjdzie - pomyślałem. - Zielone światło”.

Byłem spokojny, grzeczny, melancholijny. Powiedziałem, że wyjeżdżam na długo z Warszawy i chciałem się pożegnać. Ze proszę wybaczyć moje natręctwo, że więcej już nie będę dokuczać jej moją osobą. I dalej w tymże dystyngowanym stylu.

Ona nie to żeby wzruszyła się, ale rozkrochmała trochę. Wtedy powiedziałem:

„Wie pani, żeby już zerwać wszystkie więzi, niech pani zwróci mi to zdjęcie, które zrobiłem”.

„Nie mam go, zgubiłam”.

„Szkoda. Czy na pewno pani zgubiła?”

„Na pewno. Było w książce, którą zostawiłam w tramwaju. Sama żałowałam”.

Udałem, że zbieram się do odejścia, i zaproponowałem: „Będzie ładnie, jeżeli pani wypije ze mną strzemienne- go. Przyniosłem wino”.

Zgodziła się. Napełniłem kieliszki, wysłałem ją do kuchni po jakieś herbatniki i dolałem jej mocnego roztworu luminalu. Jeszcze powiedziałem:

„Wypijmy duszkiem, dobrze? Jak to przed drogą”. Dokładnie wykonywałem to, co sobie zaplanowałem, ani o włos się nie pomyliłem. Ona wypila jednym haustem i skrzywiła się:

„Co to za wino? Bardzo gorzkie”.

„Rzeczywiście... Może skwaśniałe. Przepraszam. Czy można jeszcze wypalić papierosa?”

Posiedzieliśmy trochę, ja na krześle, ona w fotelu. Wiedziałem, że szybko robi się senna. Zwinęła się w kłębek i ziewnęła. Zacząłem się żegnać.

„Niech pan idzie, zamknę potem za panem - wyszeptala prawie niedosłyszalnie. - Nie chce mi się wstawać”.

W przedpokoju wyjąłem z jej torebki wiązkę kluczy - na wszelki wypadek, gdyby jednak chciała zamknąć drzwi. Poszedłem na górę, pod sam strych, gdzie nie paliła się, żarówka. Usiadłem na schodach i czekałem..o czym myślałem? O tym, jakie to dziwne, że jestem taki spokojny, jak już dawno nic byłem. Spokojny i znużony," nie chciało mi się nawet zapalić. Ot, tak jak teraz - dodał, rzuciwszy przelotne spojrzenie na gauloise'y. - Siedziałem, i tylko co pięć minut patrzyłem na zegarek. Za dwadzieścia dwunasta włożyłem rękawiczki i wróciłem do niej Spała już bardzo mocno, nadal zwinęta w kłębek. Nie obudziła się, kiedy podniosłem ją i ułożyłem na tapczanie - celowo w pozycji sztywnej, żeby zasugerować

upozorowanie samobójstwa.

- Celowo? Po co? - spytał doktor.

- Jak to po co? Już wtedy postanowiłem, że Milski musi mi za wszystko zapłacić. Wiedziałem o ich romansie. Pojąć nie mogłem, czym zauroczył ją ten miglanc, ale wiedziałem, że go naprawdę kocha. Niewiarygodne!

- Może stało się z nią coś w tymże rodzaju co z tobą?

- Myślisz? Taki paskudny casus fizjologiczny? A to byłoby dobre! Ha, ha, ha! Szkoda, że to mi nie przyszło do głowy. Na serio tak myślisz?

- Nie, nie bardzo. Wydaje mi się że w ich związku, przynajmniej z jej strony, było coś więcej niż fizjologia.

- Co masz na myśli?

- Może instynkt macierzyński, który obudził się dopiero, jak zaszła w ciążę? Wtedy straciła krytycyzm wobec kochanka, zaczęła dopatrywać się w nim nie istniejących walorów, bo był ojcem jej dziecka?

A może to do Seweryna miała stosunek macierzyńsko-opiekuńczy? Z tego niekiedy rodzi się miłość. Zresztą mało prawdopodobne. Takie uczucia wzbudza mężczyzna pechowy, narażony na klęski, czego nie da się powiedzieć o Milskim, mimo że umie on udawać bezradne niewiniątko, gdy trzeba.

A może, właśnie przez to, że Seweryn był opancerzony przeciwko głębszym uczuciom, stosując - podobnie jak ona - program miłostek bez jutra rozdrażni! jej ambicje kobiece? Chciała stać się dla niego wyjątkiem, rozpoczęła walkę, zapędziła się zbyt daleko i sama padła ofiarą głębszego uczucia?

A może zaczęło się od zazdrości, której nigdy nie znała, bo zawsze podejmowała inicjatywę zerwania. Pierwsza zazdrość to uczucie gwałtowne, jak pierwsza namiętność: trafia w człowieka niczym nieszczęście, choroba. Oszołomiona siłą własnego przeżycia, nie potrafiła już traktować jak przygodnego partnera człowieka, który obdarzył ją takim bólem. Tak, to mógł być początek.

Albo jeszcze inaczej. Miała dwadzieścia dwa lata i niepospolite doświadczenie erotyczne. Może nastąpił już przesyt?

Wtedy odezwała się w niej tęsknota za miłością, drzemiąca w każdej kobiecie, nawet jeżeli tę tęsknotę brutalnie ruguje ze świadomości.

- Czyli - podchwycił kapitan - miał rację Milski, kiedy powiedział, że każda nowoczesna chłopczyca w skrytości ducha marzy o zamążpójściu.

- Agnieszce nie chodziło o zamążpójście. Po prostu, widać, musiała pokochać, bo domagał się tego cały nie tknięty zasób czułości, poświęcenia, pasji duchowej. Może to, co dotychczas przeżywała, pod wpływem tej tęsknoty straciło swą wartość. Jak sądzisz?

- Skąd mogę wiedzieć? - odezwał się Wołodko. - Nie mam wprawy w takim subtelnym rozszczepianiu włosa na czworo.

- Ale problem jest subtelny! - ciągnął doktor, zaabsorbowany tematem. - Traf chciał, że w chwili, kiedy wybuchła w niej ta długo tłumiona tęsknota, pod rękę nawinął się Milski. Z równym powodzeniem mógł okazać się w pobliżu ktoś inny. On chyba jednak nie był najgorszy, przynajmniej pod względem intelektualnym. Agnieszka była na to wrażliwa. Zainteresowała się jego specjalnością, ekonomią. Imponował jej poziom jego wiedzy w tej dziedzinie.

- Uważasz go za dobrego ekonomistę?

- Jest nieco powierzchowny, ale błyskotliwy. I bezsprzecznie to erudyta obeznany z najnowszą literaturą ekonomiczną, polską i światową.

- Tak, zna kilka języków.

- Nie umiałbym rozwiązać tego problemu - z tymże przejęciem kontynuował Gellert. - Nie wiem, sam nie wiem, o co tu chodziło. Głowię się nad tym i wciąż jeszcze nie wiem.

- Powiedz no... - zaczął Wołodko uderzony nową myślą.

- To znaczy, że gdybym ją spotkał o dwa miesiące później, to mógłbym ja być na miejscu Milskiego?

- Niewykluczone. Miałbyś szansę. Chociażby poziom intelektualny, którego ci nikt nie odmówi. Niewątpliwie wyższy niż u Milskiego. Zwłaszcza gdybyś potrafił zainteresować ją kryminologią, która przecież ma porywające aspekty. Próbowalesz?

- Nie. Wydawało mi się, że to nie może jej obchodzić. Poza tym przypominam: rozmawialiśmy tylko dwa razy, jeżeli nie liczyć ostatniego spotkania.

- No tak.

- piałbym szansę, mówisz... Abrakadabra! Ale to już nieważne. Jedźmy dalej.

No więc. Przede wszystkim zlustrowałem jej biurko, wyłożyłem na wierzch ów list rozpoczęty i zabrałem pudełko z korespondencją (kluczyk leżał tuż obok). Chciałem w domu przejrzeć listy do niej i zniszczyć mój, który wysłałem wraz z jej zdjęciem.

Potem wydobylem z kieszeni fiolkę z luminalem, z której odsypałem pięć sztuk. Zadbałem o wszystkie poszlaki na konto Sewerynka: otarłem starannie ze śladów wszystko, czego dotykałem. Odstawiłem na miejsce kieliszki, butelkę schowałem pod oknem kuchennym.

Rozejrzałem się, czy czegoś nie zapomniałem. Włożyłem z powrotem do jej torebki klucze. Odkręciłem dwa kurki i wyszedłem, cicho przymykając za sobą drzwi. Była za pięć dwunasta. Na dole nikogo nie spotkałem. Oszczyrko już chyba był u swojej kochanki.

I to już wszystko.

Znów cisza, tym razem nie przerywana nawet tykaniem zegara, który od pewnego czasu zaniemówił.

Wołodko siedział, nie dostrzegając nic poza tym, co kotłowało się w jego głowie. Był zszarzały i jakby wypatroszony.

- Czy nie uważasz - spytał ostrożnie Gellert - że należy uchylić balkon? Choćby na chwilę. Od kilku godzin dusimy się w tym pudle, a wypaliliśmy dwie paczki papierosów.

- Balkon? - powtórzył Wołodko i spojrzał na doktora bezmyślnym wzrokiem. - Aha, balkon... Może nas ktoś zobaczyć z ulicy.

- Nikogo już nie ma. Zresztą możemy zgasić światło.

- Która godzina? - z kolei spytał kapitan.

- Spójrz na swój zegarek, bo ten duży stanął.

Wołodko nadal siedział w bezruchu, z jakimś żalonym wyrazem.

- Która godzina - powtórzył bezradnie.
- Mówię przecież: spójrz na swój zegarek, bo ja nie mogę.
- Kiedy... kiedy ja też nie mogę.
- Dlaczego?
- Bo... bo zdrętwiały mi ręce, zupełnie jak tobie.

Doktor uważnie mu się przyjrzał:

- Spróbuj się podnieść.
- Próbowałem właśnie. Nie mogę. Z nogami też kłapa - potrzęsnał głową i się skrzywił. - Mów, do diabła, co mi jest?!

Doktor pochylił się do przodu i powolnym ruchem wyciągnął dłoń. Ujął pistolet i przeniósł go na swoją stronę. Wołodko śledził jego mchy w nieprzytomnym zdumieniu.

- Powiem, co ci jest - wycedził Gellert. - Całkiem dokładnie. To ty połknęłaś truciznę, nie ja. I już podziałała.

- Niemożliwe! Kiedy?

- O ósmej dwadzieścia. Kiedy piliśmy po raz pierwszy twojego napoleona.

- Jak to się stało? Zatruty kieliszek przesunąłeś do siebie, widziałem na własne oczy!

- Ale go nie wypilem.

- Wypileś, to też widziałem!

- Widziałeś, jak piłem; lecz był to już inny kieliszek.

- Co ty mi głowę zawracasz! Bajki!

- Nie złość się, zaraz ci wytłumaczę. Tylko pozwól, że się rozprostuję. Cały zeszywniałem.

Z trudem podniósł się, rozsunał kotarę i jednym szarpnięciem otworzył balkon na oścież. Wionęło wilgotną świeżością, wyraźniej zaszumiał deszcz. Smugi szarego dymu, jakby tłocząc się i popychając nawzajem, popłynęły przez otwór na ulicę.

Doktor chciwie wciągnął świeże powietrze i spojrział na zegarek.

- O rety! -zawołał.-Pięc po dwunastej! Muszę natychmiast zatelefonować.

Przycisnął wystającą wtyczkę i nakręcił numer.

- Hallo! Adaś? Chwała Bogu, jesteś. Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko w porządku. Tak, tak. Jutro do ciebie

zadzwoń. Dobranoc! Spokojnego dyżuru.

Wrócił do stołu, ale nie usiadł. Przechadzał się, wciąż jeszcze poruszając się trochę sztywno, i mówił:

- Więc to było tak. O twoim dowcipnym urządzeniu i usterkowym doskonale wiedziałem. Wykryłem je podczas jednej z poprzednich wizyt, kiedy byliśmy tu we trójkę z waszą sekretarką. Wyszedłem do łazienki, zostawiając was sam na sam. Wracając zobaczyłem, że pani Alina ma atak czułości i darzy cię namiętym uściskiem. Zasłaniała, ci widok na korytarz. Skorzystałem z tego i otworzyłem drzwi do twojego sanktuarium.

Rzeczywiście, dowcipne. Dwuczęściowa szafka naścienna, umieszczona na wprost tego okienka, była otwarta; na wewnętrznej stronie drzwiczek są lustra, z obu stron do ich ram przymocowałeś przenośne lusterka z uchwyty, regulowane za pomocą zawiasów. Zmieniając kąt nachylenia, można sięgnąć dokładnie do każdego punktu w tym pokoju.

Zrobiłem jeden krok - i już widziałem was oboje w lustrze. Nie wyobrażasz sobie, jak komicznie wyglądałeś w objęciach Alinki! Z jednej strony nie chciałeś jej urazić oporem, więc potulnie się poddawałeś, z drugiej strony bałeś się, że za bardzo się roznamiętni, toteż poruszałeś głową, usiłując uchylić się przed pocałunkiem. Doprawdy to było arcykomiczne! Przypominałeś biblijnego Józefa.

Nie mogłem jednak tym się bawić. Od razu cofnąłem się z powrotem na korytarz, przyknałem znów drzwi kuchenne i dopiero wtedy dyskretnie kaszlnąłem. Kiedy wszedłem do was, pani Alina już oglądała żurnale.

Tego dnia zrozumiałem, dlaczego strzeżesz wstępu do kuchni, powołując się na przykre zapachy i złą wentylację

- skończył swoje wyjaśnienie Gellert.

- Jednak nie rozumiem: jaki kieliszek w końcu wypiliśmy? Przecież sam widziałem, jak piłeś ten, który przesunąłeś do siebie, czyli zatruty.

- Zapomniałeś o drobnym szczególe. Zanim przystąpiliśmy do konsumpcji, usłyszałem ponoć jakiś podejrzany szmer na schodach. Spytałem: czy ktoś nas nie podsłuchuje? Odruch

warunkowy kazał ci natychmiast wyjść do przedpokoju i sprawdzić. Wystarczyło mi tego, żeby ponownie zamienić nasze kieliszki.

- Rzeczywiście... Proste a genialne.

- Uprzedzając cię, że źle się czuję i nie będę nic jadł, tylko pił, zagwarantowałem sobie, że zatrujesz koniak a nie coś z jedzenia. Zresztą, przy kolacji, jak zauważyłeś, byłem bardzo wstrzemięźliwy. Pieczarki zjadłem dopiero[^] gdy nałożywszy nam obu z patelni, spróbowałeś swoją; porcję. Kawę też mogłem wypić spokojnie, ponieważ zaparzyłeś ją w mojej obecności. Bardzo uważałem, jak widzisz. Jakoś nie chciało mi się jeszcze umierać.

Wołodko siedział oszołomiony. Już wierzył, ale jeszcze nie uprzytomnił sobie swojego położenia. Jego reakcje były zwolnione, miał otepiały wyraz twarzy.

Doktor odkorkował nową butelkę, nalał wody i podał mu do ust.

Kapitan chciwie przypadł do kubka.

- Kryniczanka... - powiedział Gellert. - Ja bym na twoim miejscu unikał takich pamiątek.

Wołodko skwitował to tylko spojrzeniem. Doktora tknęło przykre uczucie.

- Wybacz - powiedział i znów wyszedł na balkon.

Teraz on z kolei, jak godzinę temu gospodarz, czuł potrzebę rozładowania po długim napięciu. Wychylił się za poręcz i głęboko oddychał. Deszcz ustawał, rzadkie strużki zmoczyły mu włosy i pociekły za kołnierz. Poczul się lepiej. Wrócił do pokoju i kontynuował wędrówkę od ściany do ściany. Przemówił, żeby przełamać to ciężkie milczenie. Uważał, że powinni powiedzieć sobie wszystko do końca.

- O właściwościach ergotoxu wiedziałem nie gorzej od ciebie, przestudiowałem to. Spodziewałem się, że zastosujesz ten właśnie środek, który wprowadził cię w zachwyt już przy sprawie .Zawadzkiego. Miałeś do niego dostęp, został w milicyjnym archiwum, wśród dowodów rzeczowych.

Nie byłem oczywiście całkowicie pewien, jaką trucizną wybrałeś, więc na wszelki wypadek zacząłem spekulować

pierwsze objawy. Trochę wcześniej, niż należało, jak to słusznie zauważyłeś. Bo chciałem zyskać na czasie.

- Ryzykowałeś, że to mnie zaalarmuje.

- Ryzykowałem z musu. Miałeś rację mówiąc, że odrętwienie kończyn występuje w terminie zależnym od stanu organizmu osobnika zatrutego. Toteż usilnie podkreślałem, że jestem chory na grypę. Ty zaś, według moich przypuszczeń, nie powinieneś był odczuć działania ergotoxu wcześniej niż po trzech godzinach - przecież zdrowy byk jesteś. Tak też się stało.

- Kiedy?

- Jakies trzy kwadransy temu. Usiadłeś właśnie dlatego, że już trudno było ci się poruszać, choć nie zdawałeś sobie z tego sprawy, bo byłeś wzburzony.

- Tak, teraz to sobie przypominam. Byłem bardzo ociężały.

- Tak więc zacząłem symulować trochę wcześniej, niż wypadałoby zgodnie z instrukcją. Twoje reakcje potwierdziły, że właśnie na te objawy czekałeś. Symulowałem dalej.

- Nie doceniłem twojej przebiegłości - odezwał się Wołodko Miał przytomniejsze spojrzenie.

- Przebiegłość? Można to i tak nazwać. Mając do czynienia z takim potężnym przeciwnikiem, musiałem Wyćwiczyć pewne zdolności. Już dawno zorientowałem się, że prowadząc dalej tę grę, ryzykuję głową. Nie wycofałem się jednak, było za późno na odwrót.

- A kiedy zauważyłeś, że domyślam się twoich podejrzeń?

- Jeszcze przedtem. Kiedy nalegałem, że morderca niekoniecznie należy do stałych znajomych Agnieszki, że mógł ją poznać na wczasach. Spojrzałeś na mnie jakoś dziwnie i uciąłeś rozmowę. Potem do tego nie wracałem, udając, że uwierzyłem w winę Milskiego. Ale ty chyba mi nie uwierzyłeś, że przekonałem się do tej wersji?

- Oczywiście. Mniej więcej wtedy zacząłem śledzić cię ze wzmożoną czujnością.

- Nawiasem mówiąc, nie wątpiłem, że to ty podrzuciłeś Milskiemu korespondencję Agnieszki podczas rewizji w jego mieszkaniu. Po to uczestniczyłeś w tej rewizji, prawda?

- Jasne. Ale jakim byłem durniem! Nie doceniłem twojej

zimnej krwi, twojej mocnej głowy! Sądziłem, że potrafisz tylko przeprowadzać mistrzowskie analizy psychologiczne, a ty... Dopiero dziś, kiedy uraczyłeś mnie końską dawką rewelacji, zrozumiałem, jak byłeś dla mnie cały czas niebezpieczny, i tym bardziej cieszyłem się, że ciebie nareszcie się pozbywam. Kretyn, kretyn!

- Tak, nie doceniłeś mnie. Psychiatra też zna reguły podwójnej gry. Otwartość jest pożądana u chorych, nie u nas. Często w interesach leczenia musimy bluffować, ukrywać swoje intencje. Wobec niepodatnych pacjentów używa się, jak ty to nazywasz, przekładanki.

- Nasza chyba była rekordowa, co?

- Może. W ciągu ostatnich miesięcy ja, widać, poznałem cię gruntowniej niż ty mnie. Poznałem twoją mentalność, reakcje i ulubione chwytły. I twoje słabe strony.

- Jakże?

- Gdy ci coś gładko idzie według twoich obliczeń, odrobinę za wcześniej zaczynasz tryumfować, a to osłabia zmysł obserwacji. Dziś na to z góry liczyłem i, jak widzisz, nie przeliczyłem się.

- Mów konkretniej.

- Proszę. Za Wcześniej przestałeś mnie kontrolować. Nie zdziwiło cię, że potrafię po zatruciu tak długo i płynnie snuć zawile wywody. Że udzielam konsultacji swojemu mordercy zamiast splunąć mu w mordę. Nie jestem Jezuskiem, doprawdy. Po co, dowiedziawszy się, że mnie otrułeś, miałbym wdawać się z tobą w rozmowy?

- Żeby zabić czas, jak sam powiedziałaś. Skazańcy niekiedy spędzają ostatnie godziny grając w szachy.

- Przecież nie z własnym katem!

- Ja też z tobą teraz rozmawiam.

Doktor stanął jak wryty.

- Ja nie jestem katem - odparł z siłą. - Zapomniałeś, kto nalał trucizny do twojego kieliszka.

Podszedł i ujął kapitana za przegub ręki. Ten drgnął, górna warga poleciała mu do góry.

- Tylko mnie nie ugryź. Zbadam ci tętno. Chcę cię ratować.

Podniósł słuchawkę, znów nakręcił numer.

- Halo! Panie majorze? Tu Gellert, dobry wieczór. Przepraszam, że dzwonię tak późno, pan chyba już spał. Nie? Tym lepiej. Panie majorze, sprawa nadzwyczaj pilna. Telefonuję od radcy Wołodki. Tak, jest tu, obok. Nie, nie może podejść.

Panie majorze, proszę przyjechać tu możliwie szybko, wraz z wozem milicyjnym i obstawą. Mamy mordercę Agnieszki Marczak. Nie Milski, inny. Wszystko wyjaśnię na miejscu. A po drodze proszę wstąpić do waszego archiwum. Tam, wśród dowodów rzeczowych do sprawy Zawadzkiego... tak, Zawadzkiego... jest intoxin 102, w proszku. Powtarzam intoxin 102. Proszę koniecznie i jak najprędzej przyjechać i przywieźć ten preparat. To wszystko. Dziękuję.

Znów przechadzał się, patrząc w podłogę.

- Odratujesz mnie? - przerwał milczenie Wołodko. - Bardzo szlachetnie. A nie boisz się, że oskarżą cię o próbę zabójstwa? Nie było świadków naszej rozmowy, więc sam rozumiesz... Wszystkiego się wyprę.

- Nie bój się, mam dowody. W mojej teczce leży włączony dyktafon. Japoński, ostatni model. Miniaturowe чудо: bezszelestny, pracuje na bardzo zwolnionych obrotach, daje zapis przez trzy godziny w jedną stronę, potem automatycznie przestawia się na odwrotny kierunek. W naszym fachu też korzysta się z genialnych wynalazków tego rodzaju. Wynurzenie chorych, za ich wiedzą i zgodą, utrwała się na taśmie, nam to jest bardzo potrzebne. Więc jestem obyty z całą tą maszyną.

- A do kogo telefonowałeś za pierwszym razem?

- Do przyjaciela, lekarza z pogotowia. To był środek ostrożności, o którym cię nie powiadomiłem. Przed pójściem do ciebie podałem Adasiowi twój adres i umówiłem się, że jeżeli nie odezwę się do niego przed północą, on powinien tu przyjechać; gdyby nikt nie otworzył, miał wezwać milicję. Nie wyjaśniłem mu, o co chodzi - sam zrozumiał, że sprawa jest poważna. Wiesz, zabezpieczyłem się, jak mogłem.

- Gdyby twój Adaś przyszedł z milicją, zastrzeliłbym ciebie i siebie, jak powiedziałem. I twoje odkrycia zmarnowałyby się, a Milskiego jednak skazano by na śmierć.

- Wątpię. Poza listem do dyrektora zostawiłem w domu list do

majora, z dokładnym wyłuszczeniem moich podejrzeń i zebranych dowodów, wyłącznie ze zdjęciem Agnieszki, przez ciebie zrobionym. Klucz zaś od mieszkania Agnieszki, należący do Milskiego, jak też skargę pani Skorupko znaleziono by w twojej kieszeni, a dyktafon z zapisem naszych dzisiejszych rozmów - w mojej teczce.

- Geniusz! Bismarck! - sarkastycznie skrzywił się Wołodko.

- Niestety, niedoceniony. W dzieciństwie nikt nie rokował mi wielkiej kariery, toteż nie roszczę sobie do niej pretensji.

- Będziesz sławny, będziesz! Zwłaszcza po tej sprawie. Sherlock Holmes, Poirot i Maigret w jednej osobie.

- Nie zanosi się na to. Mój udział w śledztwie był przypadkowy i nie zachęca do powtórzenia. Wolę moją specjalność.

- Szkoda. Ludzkość wiele traci.

- Powiem ci jeszcze jedno. Kilkakrotnie zahaczyliśmy o rolę przypadku w waszym i naszym fachu. Przytoczę przykład ostatni.

Dzisiaj z samego rana nie mogłem myśleć o niczym prócz naszego wieczornego spotkania. Dręczyło mnie poczucie, że czegoś nie przeanalizowałem do końca, coś przeoczyłem, a może w czymś pomyliłem się.

O tym, że narażam życie, wiedziałem, ale tu akurat, zdawało się, przewidziałem wszystko co do joty, zabezpieczyłem się, jeżeli nie na sto, to na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Co prawda, i jednego procentu wystarczy, żeby wytrącić człowieka z równowagi. Ale ja byłem roztrzęsiony nie z tego powodu. Jednak byłem, i to nie do zniesienia. Im bliżej siódmej, tym nieznośniej się czułem.

Za wszelką cenę musiałem się uspokoić, bo w takim stanie mogłem zawalić cały plan. Nie wiedząc, co począć ze sobą, błąkałem się po ulicach - i nagle, zupełnie bezmyślnie, wpakowałem się do taksówki. Kazałem się zawieść byle gdzie, nie podając żadnego adresu. W rezultacie znalazłem się przed cmentarzem, więc poszedłem na grób Agnieszki. W taką pogodę nie było tam żywej duszy.

Pochowano ją w rodzinnym grobie Marczaków. Obok okazałego nagrobka profesora Kajetana Alojzego Marczaka -

świeża mogiła, jeszcze bez płyty, z czarno-białą tabliczką: „Agnieszka Marczak. Zmarła 6 lutego 1966. Żyła 22 lata”. Ziemia porosła gęstą trawą, u wezglowia duży wazon z różami, po bokach ścięte goździki, kalie i inne kwiaty. Grób bardzo zadbany. Przy grobowcu ojca jest ławeczka. Usiadłem.

Była cisza, była samotność, był deszcz. I była Agnieszka. Nie wiem jak to się stało - może inny psychiatra mógłby mi to wytłumaczyć - ale spłynął na mnie jakiś dziwny, kojący spokój. Wśród zmarłych nabrałem dystansu do całej sprawy, więc i o tobie pomyślałem bez zaciętrzewienia, jakie odczuwałem ostatnio. Nie chciałem zresztą zatrzymywać się na tobie - zbyt częściej zajmowałem się tym przez całe miesiące.

Nie pamiętam, o czym myślałem - może o niczym. Było mi coraz spokojniej. Kiedy dokuczał chłód, wstawałem i przechadzałem się, potem znów siedziałem z Agnieszką.

Wyszedłem o pół do siódmej, niedługo przed zamknięciem cmentarza. Pojechałem do Kameralnej, napiłem się gorącej kawy i zjadłem parę kanapek. Stamtąd już na piechotę - do ciebie. Zjawiłem się, o ile zauważyłeś, w przyzwoitej formie. A przecież, gdyby nie czysty przypadek, nie przyszłoby mi do głowy w taką pluchę wlec się na cmentarz!

Wyjął z teczki dużą białą kopertę, ostrożnie wyciągnął z niej zdjęcie.

- To ona - pokazał z daleka Wołodce.

W pokoju, gdzie dziś tyle o niej się mówiło, ukazała się Agnieszka Marczak. Patrzyła na kapitana z wyzywającą przekorą. Czarne zrośnięte brwi przecinały twarz grubą poziomą kreską, ogromne czarne oczy migotały wilgotnym blaskiem: ni to się śmiały, ni to groziły. Ślicznej twarzy nie szpecił nawet ironiczny grymas.

- Zostawiłem sobie kopię - powiedział doktor chowając zdjęcie. - Oryginał niestety muszę oddać.

- Powiedz jeszcze... - zaczął Wołodko rwącym się głosem. - Może to głupio, że o to pytam, ale wszystko jednocy ja jestem typem zbrodniarza o odpowiednim, jak mówisz, formacie psychicznym?

- Masz format psychiczny niespecjalnie do zbrodni. Jesteś

obdarzony inteligencją, mocną wolą, odwagą. Masz też gwałtowne namiętności, o czym sam nie wiedziałeś. A upragnioną kobietę traktujesz, w przeciwieństwie do Witolda Gracza, jako rzecz, którą wolisz zniszczyć, niż odstąpić komuś innemu.

Nie ludź się: to nie twoja niemoc seksualna popchnęła ciebie do mordy, tylko zazdrość, która przybrała chorobliwe rozmiary. Pożądałeś Agnieszki, jak żadnej innej kobiety, i to na swoją wyłączną własność. Z chwilą gdy pokochała Miłskiego, straciłeś nadzieję, że ją odzyskasz. Nie była to zemsta za twoje schorzenie, które przecież mogłeś uleczyć, zwracając się do pierwszego z brzegu seksuologa. Ty zaś zabiłeś Agnieszkę i zламаłeś sobie życie.

- A takie słowa to nie okrucieństwo? - krzyknął Wołodko. - Mówisz do skazańca.

Doktor podszedł i spojrzał mu w twarz.

- Jurek - powiedział. - Ty jesteś teraz człowiekiem chorym, ciężko chorym. Ciebie trzeba leczyć, a nie sądzić. W każdym razie, będę tego dowodził.

Więcej już nic nie powiedzieli do siebie.

Na schodach rozległ się tupot nóg, wpadł zdyszany major w asyście milicjantów.

- Gdzie morderca? - spytał rozglądając się po mieszkaniu.

- Tu. Jerzy Wołodko. A tu ma pan taśmy z jego własnym zeznaniem. Jest intoxin? Proszę dać prędeej.

I doktor śpiesznie zajął się przyrządzeniem odtrutki.

Zakończenie bardzo krótkie

Przed bramą stał wóz milicyjny, czarna szewroleta majora i taksówka, sprowadzona przez sierżanta dla pana doktora.

Po dniu deszczowym i wietrznym chmury zaczęły się rozłazić i przez szparę wyjrzał pyzaty księżyc. Niezwłocznie pociągnął r tęciowym blaskiem liczne kałuże i wypolerował asfalt ulicy. Po bokach jezdni z gderliwym warkotem pędziły spienione

strumienie, zagłuszając nieśmiało pukanie rzadkich kropli spadających z dachów i drzew.

Zaczęli się żegnać.

- Dziękuję, panie docencie - powiedział major, mocno ściskając dłoń Leszka. - Uratował pan życie niewinnego człowieka, narażając własne. Balansował pan nad przepaścią!

- Przesada, majorze! Ryzyko nie jest tak wielkie, kiedy dokładnie się wie, skąd grozi niebezpieczeństwo. No i trzeba liczyć na łut szczęścia...

- Teraz dam panu spokój, a jutro przyjdę o ósmej, po przesłuchaniu całości.

- Tak, teraz jestem niezdatny do pracy. Jutro już będę w formie.

- Więc do rychłego! Życzę dobrego wypoczynku.

- Nawzajem.

Szewroleta odjechała, za nią podążył radiowóz, a doktor otworzył drzwiczki taksówki. Przy kierownicy siedział Wacław Pawlak.

- Znowu się spotykamy? - zdziwił się Leszek. - Nie zastąpił pana kolega?

- Owszem, pracuję... godziny nadliczbowe... trzeba trochę zarobić. A tym razem pan wie, dokąd mamy jechać?

- Wiem, tylko wolę iść na piechotę. Miałem niełatwy wieczór.

- Słyszałem, co mówił pan major.

- No więc chcę się przewietrzyć, przechadzka dobrze mi zrobi.

- Jasne. Nie ma jak świeże powietrze.

- Nie będzie pan się gniewał za próżne czekanie?

- Nie będę, proszę pana. Każdemu może się zdarzyć.

- Doskonale. Ile jestem dłużny?

- Nic. Z góry zapłacone.

- Tamto się nie liczy. Pan nawet nie wie, jak wiele panu zawdzięczam. Osiem, godzin temu zdałem się na pańską fantazję i dobrze na tym wyszedłem. Zawiózł mnie pan akurat tam, gdzie trzeba.

- Cała przyjemność, jak to się mówi, po mojej stronie. Pan to nie byle pasażer, od razu to widać. Pan ma ważniejsze sprawy. Jeżeli mogłem się przydać...

- Bardzo!

- To kwita. Życzę dobrej przechadzki, moje uszanowanie!

I stanowczym ruchem skasował osiem złotych polskich na liczniku.

Jeszcze przez chwilę patrzył na wysokiego szczupłego mężczyznę w deszczowcu i bez kapelusza, który garbiąc się ze zmęczenia, powolnym krokiem ruszył w samotną drogę ku Alejom Jerozolimskim.

- A jednak docent! - powiedział do siebie pan Wacek i uśmiechnął się z satysfakcją.

zł 70,-

Ali-Baba

ISBN 83-07-00676-7